TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO

ZESZYT POŚWIĘCONY POLSKIEJ WYPRAWIE HIMALAJSKIEJ

ZAKOPANE, LISTOPAD 1949 R.

ROCZNIK XXXI NUMER 1 — 2

TATERNIK
ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO P. T. T.

ROCZNIK XXXI 1949 Nr 1-2 (149-150)

ZAKOPANE, LISTOPAD 1949.

TREŚĆ



Fot. inż. J. Bujak

NANDA DEVI EAST (7430 m)

(Himalaje Gharwalu)

TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ROCZNIK XXXI — ZAKOPANE, LISTOPAD 1949 R. — NR 1-2 (149-150)

Zeszyt poświęcony Polskiej Wyprawie Himalajskiej.

Pismo nasze już po raz drugi przedstawia przebieg i wyniki Pierwszej Polskiej Wyprawy Himalajskiej. Pierwszy raz stało się to jeszcze za czasów okupacji, w wydawanym w Warszawie konspiracyjnym Taterniku. Ponieważ jednak konspiracyjnie wydane zeszyty miały nakład bardzo mały, a obecnie jako unikaty bibliograficzne znajdują się w posiadaniu kilku zaledwie zbieraczy, uważaliśmy za konieczne udostępnić ogółowi wiadomości o największym czynie polskiego alpinizmu i zarazem o jednym z największych osiągnięć sportu polskiego.

Ogłoszone tu materiały tyczące się Polskiej Wyprawy Himalajskiej stanowią prawie dosłowny przedruk wszystkich artykułów na ten temat w konspiracyjnych rocznikach XXV (1941) i XXVI (1942) Taternika, częściowo poprawionych i uzupełnionych. Dodano też pewne całkiem nowe materiały i dano częściowo inne ilustracje. Zawarte tu materiały nie są jeszcze kompletne, z przyczyn personalnych (trzech uczestników wyprawy już nie żyje) i finansowych. Redakcja zamierza wydać w przyszłości dalsze uzupełnienia.

Słowo wstępne

Marzeniem kilku pokoleń taternickich przez dziesiątki lat była wyprawa w Himalaje. Marzenie to — mające zrazu całkiem iluzoryczne szanse realizacji — postanowił wcielić w życie Klub Wysokogórski P. T. T. Od chwili pierwszej klubowej wyprawy alpejskiej w r. 1931 polscy taternicy dążyli wytrwale do Himalajów poprzez Alpy i Kaukaz, poprzez Andy i Spitsbergen. Wprawiali się w technice lodowcowej, zbierali doświadczenia wysokościowe, uczyli się organizacji dalekich i trudnych wypraw. Przekonywali siebie i społeczeństwo, że potrafią stawić czoło groźnej przyrodzie himalajskiej.

Komitet Himalajski Klubu Wysokogórskiego mógł mieć w r. 1939 uzasadnione zaufanie, że postawione polskim wysokogórcom zadanie himalajskie zostanie podjęte z pełnym zapałem i z taką dozą umiejętności, która umożliwi jego rozwiązanie. Miarą ufności w swe siły był wybór głównego celu akcji himalajskiej w postaci — zdobycia K2, drugiego najwyższego szczytu świata! Wyprawa z roku 1939 pomyślana była jako treningowa i przygotowawcza.

Jeśli samo dojście do skutku Polskiej Wyprawy Himalajskiej w 1939 r. było dowodem wysokich ambicji naszego sportu wysokogórskiego, to dzień 2 lipca 1939 r. stał się dniem świetnego triumfu polskiego alpinizmu. A miarą tego zwycięstwa górskiego jest z jednej strony szósta pozycja Nanda Devi East w szeregu zdobytych szczytów świata — z drugiej strony fakt, że w ciągu dziesięciu lat jakie upłynęły od chwili zat-

knięcia polskiej flagi na wysokości 7430 m raz jeden tylko równorzędną zdobycz zanotowały kroniki alpinizmu światowego: wejście radzieckich alpinistów na Pik Pobiedy w pasmie Tiań-Szań w roku 1948.

Fatalny los sprawił, że wyprawa nasza zakończyła się tragiczną katastrofą Bernadzikiewicza i Karpińskiego, że za sukces zapłacono najcięższą cenę. Jeszcze raz objawiła się groza i moc Himalajów, pochłaniających najlepszych swych zdobywców: Mummery... Mallory... Welzenbach...

Los dziejów sprawił, że straszliwa zawierucha wojenna przecięła stromo w górę dążącą linię rozwojową polskiego alpinizmu, że pomiędzy pierwszą naszą wyprawą himalajską a następną zieje długa przerwa. Wskutek tego zarówno wyniki propagandowe wyprawy, jak jej praktyczne dla naszego ruchu wysokogórskiego znaczenie musiały pozostać na razie niewykorzystane. Polski sport wysokogórski rozpoczął jednak na nowo swój marsz ku wyżynom — »przebędzie znowu pokonane już raz etapy »drogi do wielkości», aby wreszcie osiągnąć drogi tej cel najwyższy«!

Jan Kazimierz Dorawski
Prezes Klubu Wysokogórskiego PTT

Nanda Devi East

I.

Zamiast wstępu

Któregoś dnia przedstawiono mnie bardzo wybitnemu alpiniście brytyjskiemu, jako członka Polskiej Wyprawy, która zdobyła Nanda Devi East. Wielki człowiek potrząsnął moją dłoń i rzekł: »Nanda Devi East! Bardzo ładne, bardzo ładne!«

Nie przypadła mi do smaku ta jego uwaga, nie z racji leciutkiej nuty wyższości, z jaką mówił — był dość wielki aby móc sobie na to pozwolić, ja zaś byłem dość skromnie nastrojony by to przyjąć. Ale słowa »bardzo ładne« najzupełniej nie pasowały w tym wypadku. Miałem wiele ładnych wspinaczek w życiu i kilka ładnych wakacji alpinistycznych. Nanda Devi jednak to było coś innego. To był wycinek prawdziwego życia z jego wysiłkami i zmaganiami, z planowaniem i działaniem, z nadziejami i zawodami, z osiągnięciami, niepowodzeniami i katastrofami. Większość z tego wciśnięta w okres paru krótkich miesięcy i wyjaskrawiona na tle egzotycznego świata, nowego dla mnie.

Znajomy wspinacz zapytał mię raz: »Czy wspinaczka tam była przyjemna, czy też psuł ją wpływ wysokości?« I znów miałem uczucie nieodpowiedniości słowa »przyjemna« w tym zestawieniu. Nie, to nie było ani «ładne», ani »przyjemne». To było w zupełnie innym wymiarze.

Historia zaczęła się wiele lat temu, wkrótce po rozpoczęciu mej kariery wysokogórskiej. Nie pamiętam już obecnie, co wzbudziło moje zainteresowanie Himalajami, być może, jakieś sprawozdania z wypraw. Tak czy inaczej, idea ta urzekła mię gruntownie i stała się jednym z głównych punktów mego programu życiowego, jeśli coś takiego istniało. Oczywiście nie było to wyrozumowane, po prostu jakiś wewnętrzny impuls, ale impuls dość silny, by przetrwać chyba z dziesięć lat, dopóki nie zdołał się przeistoczyć w działanie.

Zżyłem się z tą ideą i żona moja również. Często mówiłem o przyszłości, gdy będę jechał w Himalaje; zupełnie w ten sposób, w jaki mały chłopczyk mówi, co będzie robić, gdy dorośnie.

Kiedyś, na krótko już przed moim wyjazdem do Indii, zaszedł do nas jeden z przyjaciół. »Wiesz, Kuba jedzie w Himalaje« — oznajmiła mu moja żona. »O tak, wiem« — brzmiała uprzejma, nieco znudzona odpowiedź. Słyszał to biedak tyle razy, i nie zdradzał już istotnego zainteresowania. »Ale on jedzie naprawdę, teraz, w ciągu dwóch tygodni«, nastawała żona. Nigdy nie widziałem doskonalszego przykładu zaskoczenia i zdumienia, niż to, co odbiło się na obliczu mego przyjaciela. Nie dziwiłem mu się. Parę tygodni temu, gdy przyszła wiadomość, że tak długo istniejące przeszkody w wysłaniu wyprawy zostały niespodzianie pokonane — byłem wprost przerażony. To znaczyło, że wyruszamy w możliwie najkrótszym czasie. Bardzo jest dobrze projektować i pieścić idee, ale zupełnie co innego — podjąć decyzję. To oznaczało po prostu, że muszę w krótkim terminie rzucić posadę i opuścić rodzinę. Suma uzyskana ze sprzedaży mego auta powinna wystarczyć im na parę miesięcy, a potem — o ile wszystko pójdzie pomyślnie — ja już wrócę.

Tak było trudno powziąć decyzję, jak trudno jest zamknąć drzwi źle dopasowanym kluczem: coś hamuje, coś przeszkadza, ale gdy wreszcie klucz się obróci, jest w tym jakieś ostateczne zatrzaśnięcie. Zdawało się, jak gdyby wszystkie me wątpliwości i wahania, wszystkie obawy i nieczyste sumienie zostały hermetycznie zamknięte. Byłem gotów jechać.

II.

W służbie bogini Nanda

Różni ludzie różnych mają bogów: często bogiem bywa pieniądz, czasem — znaczenie, kariera, niekiedy tylko butelka o odpowiedniej zawartości. Naszym bogiem — raczej boginią — na przeciąg długich miesięcy stała się NANDA DEVI — Bogini Nanda.

Wspaniała góra o dwóch szczytach w kształcie skalnych, lodem pancernych piramid, połączonych ze sobą długą granią, imponujący twór przyrody, najwyższy punkt Imperium Brytyjskiego — jest Nanda Devi w wierzeniach okolicznej ludności siedzibą bogini Nanda.

Patrząc na naszą górę, na jej potężne 3000 metrów wysokie ściany, porżnięte głębokimi żlebami, na jej ozdobione koronką nawisów granie, na jej śnieżną czapą przybrany szczyt — i my zaczynamy wierzyć, że jest w niej coś nadprzyrodzonego, coś co przejmuje grozą, onieśmiela i każe się zastanowić, czy nie porwaliśmy się na zbyt wielkie przedsięwzięcie, czy nie przerasta ono naszych sił.

Takie były moje uczucia, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy »żywą«, oświetloną promieniami popołudniowego słońca, z dala, bo z 20-kilometrowej odległości, w głębi doliny Lwanl, którą zamyka swym potężnym cielskiem.

Po tym pierwszym wrażeniu przyszła kolej na spokojne, systematyczne, rozumowe badanie kolejne wszystkich etapów projektowanej drogi — przez 15-krotną lornetę. Rezultat był dość zachęcający: góra wydaje się możliwą do zdobycia, choć na pewno łatwa nie będzie.

Dnia 25 maja 1939 r. założyliśmy obóz główny na wysokości 4300 m na wprost wschodniej ściany Nanda Devi. Obóz ten miał stanowić nasze schronisko w czasie przeszło sześciotygodniowego pobytu u stóp Nanda Devi lub na niej — miejsce do którego wracaliśmy na odpoczynek w razie zmęczenia lub choroby. Nieraz z góry wpatrywaliśmy się w biały punkt wielkiego namiotu-jadalni, hen, daleko w dole, na zielonej łące. W tych dniach walki z ciężkimi nieraz warunkami atmosferycznymi i trudnościami terenu, obóz główny był dla nas symbolem wygody, ba — komfortu cywilizowanego świata, pozostałego gdzieś w niezmiernej odległości. Ale w rzadkich tylko chwilach patrzyliśmy w dół: oczy nasze i myśli zwrócone były przeważnie w górę — ku szczytowi.

Już na drugi dzień po założeniu bazy ruszył pierwszy transport ekwipunku i żywności ku górze. Przygotowani byliśmy na ciężkie oblężenie: 30 ładunków, wagi do 20 kg każdy, miało być przetransportowane w górę, do Obozu I, a znaczna ich część — wyżej.

W ładunkach tych zawarta była żywność, potrzebna nam czterem i czterem naszym tragarzom wysokogórskim w czasie całomiesięcznego pobytu na górze, zawarte były namioty i śpiwory, potrzebne do założenia i urządzenia pięciu obozów, stanowiących nasze etapy w powolnym lecz upartym pochodzie ku szczytowi, zawarty był wreszcie sprzęt techniczny: liny, haki, karabinki, przy pomocy których mieliśmy ubezpieczyć trudne i niebezpieczne odcinki drogi.

Przez kilka dni z rzędu co dzień, a czasem nawet dwa razy dziennie, szły transporty do Obozu I, położonego na wysokości 4950 m u stóp żebra skalnego, ograniczającego z jednej strony potężne żlebisko, schodzące z Przełęczy Longstaffa (5910 m); na tę przełęcz należało się wydostać i z niej dopiero długą, trzykilometrową granią dążyć ku szczytowi. Innej możliwości wejścia na szczyt nie było.

Pierwszym więc zadaniem — obok transportowania ładunków do Obozu I — było znalezienie drogi na przełęcz. Karpiński i Klarner w dwudniowym wywiadzie wchodzą na przełęcz wspomnianym poprzednio żebrem i wracają do bazy. Droga, aczkolwiek dla alpinistów nie przedstawiała większych trudności, była jednak stanowczo za trudna dla prowadzenia licznych transportów. Toteż w parę dni później, kiedy wszystkie potrzebne ładunki były już w Obozie I, rusza pierwszy transport nie żebrem, lecz owym ogromnym 1000 metrowej wysokości żlebem, wyprowadzającym wprost na przełęcz. Śnieg w żlebie okazuje się dobry, a w górnej części żlebu, który przechodzi w rodzaj płytkiego kotła, wyodrębniają się grzędy skalne, umożliwiające dojście do przełęczy w sposób bezpieczny, nawet — jak się później okazało — przy świeżym opadzie śnieżnym.

W ten sposób — dnia 1 czerwca — zostaje obsadzony Obóz II na przełęczy. Na skalno-piarżystej półce, poniżej starego, częściowo stopniałego nawisu śnieżnego, którego sople lodowe stanowią nasze zapasy wody, stanęło kilka namiotów. I znów powtarza się wielokrotny transport z Obozu I do Obozu II, dokonywany przez tragarzy pod okiem Bernadzikiewicza. Jednocześnie Karpiński z Klarnerem zaczynają działać na grani powyżej przełęczy.

A nie łatwo ta grań wygląda. Tuż nad przełęczą piętrzy się stumetrowej wysokości turnia, opadająca pionowymi ścianami; ani mowy o pokonaniu jej wprost, ale z prawej strony wcina się w ściany turni

skalno-piarżysta rynna, miejscami wypełniona lodem, którą szturmowa dwójka wydostaje się na szczyt turni. Droga to trudna a przy tym niezupełnie bezpieczna; niezmiernie kruche skały rynny gotowe są przy najmniejszej nieuwadze wspinającego się posłać w dół pociski w formie kamieni, groźne dla idących niżej. Czasem — podczas silnej operacji słonecznej — luźne kamienie, związane tylko lodem z podłożem, ruszają w dół same, nie trącone przez nikogo. Pewnego razu blok kamienny wagi jakichś 30 kg, zaczął się staczać wprost na tragarza znajdującego się o kilkanaście metrów niżej. Na szczęście kruchość skały sprawiła, że po przebyciu paru metrów blok rozpadł się na kilka mniejszych kawałków, z których jeden ugodził w ogromny wór, niesiony przez tragarza i wypełniony namiotami i śpiworami, nie czyniąc mu żadnej szkody.



Obóz II na Przełęczy Longstaffa (5910 m) i pierwsza turnia pd. grani Nanda Devi East.
Fot. J. Bujak

Dla ułatwienia i przyspieszenia przejścia tej niemiłej rynny, jak również dwóch dalszych turni skalnych, Bernadzikiewicz i Klarner założyli stałe liny, przymocowane do wbitych w skałę haków. Zużyli na to 250 metrów liny i parę dni czasu, ale trud ten opłacił się sowicie. Można było dzięki temu prowadzić tą drogą tragarzy z transportami ciężarów, a nawet po pewnym czasie puszczać ich tamtędy samodzielnie. Jak bardzo »uczęszczana« była ta droga dowodzi fakt, że niektórzy z nas przechodzili ją 14 razy, to jest siedem razy w górę i tyleż samo w dół.

Po dokonaniu tego pierwszego i trudnego odcinka grani udaje się Karpiński wraz z jednym z tragarzy (Dawa Tseringiem) na dalszy wywiad, dla przekonania się, co nas czekać będzie dalej, na jakie trudności napotkamy. Po drodze zakłada Obóz III na wysokości 6250 m i do-

ciera do wysokości ok. 6400 m. Stąd musi zawrócić, piękna dotychczas pogoda psuje się i nastaje okres kilkudniowej, niezwykle silnej śnieżycy; grubość warstwy śniegu spadłego w ciągu paru dni dochodzi do jednego metra. Oczywiście w tych warunkach nie ma mowy o posuwaniu się dalej. Siedzieć zaś na grani i oczekiwać na pogodę nie warto — szkoda zjadać z trudem wyniesione na grań zapasy żywności. Poza tym załodze grani należy się odpoczynek po całotygodniowych trudach, tym cięższych, że przypadających na początkowy okres przebywania na większych wysokościach, kiedy to organizm ludzki nie przystosowany jeszcze do zmniejszonego ciśnienia i zmniejszonej ilości tlenu reaguje w sposób bardzo przykry na brak tego tlenu.

— — — — — —



Alpinista i tragarz na pd. grani Nanda Devi East. W głębi na lewo pierwsza turnia tej grani. W głębi na środku Przełęcz Longstaffa.

W całej dotychczasowej akcji nie brałem wcale udziału; choroba która owładnęła mną na drugi dzień po przyjściu do bazy, przykuła mnie nie do łoża wprawdzie — bo łóżek nie było — ale do nadymanego powietrzem materaca gumowego. Leżąc w namiocie, gnębiony gorączką dochodzącą niemal do 40 stopni, przyglądałem się przez uchylone wejście namiotu ruchliwemu życiu obozowemu i wsłuchiwałem się w jego odgłosy. Byłem wykreślony z listy czynnych uczestników Wyprawy na szereg — zdawało się — tygodni. Poważnie rozważano ewentualność przetransportowania mnie do szpitala (najbliższy szpital był o dwanaście dni marszu). Na szczęście nie doszło do tego. Dwukrotny zastrzyk omnadiny i specjalne lekarstwa, które mi zaaplikował lekarz naszej wyprawy, major dr J. R. Foy, spowodowały, że choroba tropikalna — infekcja przewodu pokarmowego — przełamała się po kilku dniach. Go-

rączka opadła, zacząłem chodzić, a raczej z trudem włóczyć się po obozie. Przez wielką lornetę obserwowałem grań, pragnąc wyśledzić postępy czynione przez przyjaciół. Serdecznie życzyłem im jak najszybszego posuwania się naprzód, tłumiąc w sobie żal, że mnie nie ma z nimi tam w górze, że prawdopodobnie nie wezmę w ogóle udziału w akcji. Przecież doktor przepowiadał mi co najmniej dwutygodniową rekonwalescencję. A do pracy na tych wysokościach trzeba zdrowego, sprawnego i silnego organizmu, a nie wynędzniałego rekonwalescenta, który z trudem powłóczy nogami.

Ale doktor okazał się pesymistą; już piątego dnia po ustąpieniu gorączki byłem dość silny, aby wejść na wyniosłość górującą o 700 metrów nad obozem, skąd roztaczał się wspaniały widok na całe otoczenie doliny Lwanl. A w dwa dni później wyruszyłem do obozu I, aby



A. Karpiński i tragarz na pd. grani Nanda Devi East. W głębi na lewo pierwsza turnia tej grani.

dołączyć się do przebywających na grani towarzyszy. Tego samego dnia jednak zaczął się ów okres niepogody, który zmusił przebywających na grani do jej opuszczenia. Następnego dnia zaś spotkałem wracających z góry przyjaciół. Ucieszyliśmy się wzajemnie, ja — słysząc dobre nowiny o postępach uczynionych na grani, oni — widząc, że niedawny kandydat na »umrzyka« jest zdrów i chodzi o własnych siłach.

Wracamy razem do bazy we mgle i silnej zadymce śnieżnej, gubiąc, to znów odnajdując drogę w chaosie zwałów morenowych, zalegających dolinę.

»Za trzy dni ruszamy znowu w górę« — brzmi decyzja kierownika Wyprawy.

III.
Łaska i niełaska bogini Nanda

Po trzech dniach odpoczynku w bazie mieliśmy znowu ruszyć w górę, ale w ciągu tych trzech dni nieraz ogarniało mnie zwątpienie czy niepogoda nie przedłuży pobytu w bazie przymusowo i to kto wie na jak długo — może do końca trwania wyprawy?

To nie była zwykła niepogoda — przejściowy opad, po którym następuje rozpogodzenie na czas dłuższy, to był początek monsunu, pory deszczowej, trwającej około trzech miesięcy. Czy w czasie trwania monsunu trafią się przerwy pogodowe dość długie, żeby pozwolić nam na skuteczną działalność górską? A jeżeli będzie niepogoda, to czy nie uniemożliwi ona bezwzględnie wszelkich skutecznych poczynań wyżej, na grani? Takie pytania zadawaliśmy sobie siedząc w obozie w namiotach.

A śnieg tymczasem padał. Co dzień z rana, obudziwszy się, widzieliśmy grubą powłokę spadłego w nocy śniegu, pokrywającego wszystko dokoła. W ciągu dnia śnieg topniał, ale następnej nocy pojawiała się nowa pokrywa, grubości 20—30 cm. Pewnego razu załamał się nawet pod śniegiem nasz wielki namiot-jadalnia. Tak minął dzień jeden, drugi, trzeci — nic nie zapowiadało zmiany. Tu na dole w bazie śnieg topniał co dzień, w czasie krótkiego, przemijającego rozpogodzenia. Ale tam wyżej, na grani, temperatura jest o tyle niższa, że nowy śnieg zbiera się, narasta i utworzy, Bóg wie, jak grubą warstwę.

Jak długo to potrwa? — pytamy naszego doktora; mieszkając od kilkudziesięciu lat w Indjach musi on znać obyczaje monsunu. Odpowiedź jego nie jest dla nas zachęcająca: »Teraz w czerwcu, może się jeszcze trafić parodniowa przerwa, ale później nie, monsun będzie trwał bez przerwy aż do początku września«. Ładna perspektywa: to znaczy, że wszystkie nasze nadzieje i projekty można uważać za przekreślone, bo z jednej strony — spóźniliśmy się trochę (zresztą nie z naszej winy) z przyjazdem, a z drugiej strony monsun zaczął się nieco wcześniej niż zwykle. To znaczy, że z wieloletnich starań i przygotowań, z kilkotygodniowej podróży, z trudu włożonego w czasie dotychczasowej działalności na Górze — ma nie wyniknąć nic? Że na tym się wszystko skończy? Nie, na to nie mogliśmy się zgodzić i byliśmy zdecydowani walczyć o nasz szczyt, nie ustępując tak łatwo przed przeciwnościami atmosferycznymi. Nie! nasze przedsięwzięcie nie może się skończyć takim fiaskiem, a bogini Nanda nie będzie chyba tak niełaskawa dla przybyłych z daleka pielgrzymów.

I bogini okazała swoją łaskę. Po trzech dniach pobytu w bazie, a pięciu dniach nieprzerwanej niemal śnieżycy, zaświtał niespodzianie pogodny poranek, piękny błękitem bezchmurnego nieba i olśniewającą bielą świeżych śniegów. To było hasłem wyruszenia.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dochodzimy do Obozu I z pełnym kompletem sześciu tragarzy wysokogórskich; namioty uginają się pod brzemieniem ciężkiego, mokrego śniegu, który częściowo topniejąc przeniknął do środka i stworzył na podłogach kałuże wody. Trzeba wycierać, suszyć, o ile to w słabych promieniach chylącego się ku zachodowi słońca jest możliwe — wreszcie trzeba spać w mokrym namiocie. Nie szkodzi. Jutro pójdziemy wyżej.

Następnego dnia idziemy na przełęcz, do Obozu II. Pokonanie prawie 1000 m różnicy wzniesienia jest na tej wysokości — mimo niezbyt



Nanda Devi East (7430 m) w Himalajach Garhwalu.

Fot. Polskiej Wyprawy Himalajskiej.

trudnego terenu — sporym wysiłkiem. Zwłaszcza w tym głębokim kopnym śniegu, przy ciężkich plecakach, jakie dźwigamy, i zwłaszcza dla mnie, który po raz pierwszy — nie tylko w czasie trwania obecnej wyprawy, ale i pierwszy raz w życiu — przekraczam wysokość 5500 m.

Małymi wtórnymi żlebami, wciętymi w ogromne żlebisko, którym idziemy, zsuwają się raz po raz lawiny mokrego śniegu. Manewrując między nimi docieramy bezpiecznie na przełęcz, gdzie na wysokości 5900 m znajduje się Obóz II. Ale dziś ledwie można ten obóz zobaczyć: namioty, ustawione tutaj, zasypane są tak dokładnie, że tylko czubki ich wystają. W ciągu dwóch godzin pracy odkopujemy namioty: Obóz II zaludnia się na nowo.

Stąd do szczytu — tylko trzy kilometry odległości; stąd do szczytu — tylko 1500 m wzniesienia. Niedaleko? Tak, ale trzech tygodni czasu potrzebowaliśmy na przebycie tego kawałka drogi. Zabawne ale prawdziwe. I nie znaczy to, żeby trudności terenu zmuszały do posuwania się aż w tak żółwim tempie jednego kilometra na tydzień; pod koniec pobytu



Nanda Kot (6867 m) z pd. grani Nanda Devi East, z okolicy Obozu III.

na Górze doszliśmy do tego, że przestrzeń między przełęczą, a najwyższym, piątym obozem, można było przebyć w ciągu dwóch dni. Na długie trwanie walki o szczyt składa się szereg czynników; trudno by wyliczać wszystkie, ale dwa najważniejsze z nich, to pogoda i transporty.

Istnieją dwa rodzaje taktyki zdobywania wielkich gór: wypadowa i oblężeniowa. Pierwsza z nich dobra do wysokości nie większej niż 7000 m — zastosowana do gór wyższych zawodzi. Była już zresztą przyczyną wielkich katastrof górskich. W naszym wypadku mogła w grę wchodzić jedynie taktyka oblężenia. To znaczy, że na obranej przez nas drodze musieliśmy założyć szereg obozów, z których każdy wypo-

sażony musiał być w namioty, żywność i paliwo. To znaczy, że odległości między tymi obozami musiały być takie, aby, idąc w górę, z dużym obciążeniem, nawet w niekorzystnych warunkach pogodowych, można było przejść z obozu do obozu w ciągu jednego dnia. Wreszcie jeden z obozów, położony u stóp piramidy szczytowej, w odległości dwóch dni drogi od szczytu, urządzony być musiał jako tzw. wysunięta baza. Postanowiliśmy go wyposażyć w zapasy żywności, wystarczające dla 6 osób na przeciąg 10 dni. W tych warunkach dopiero mogliśmy mieć pewność, że jakaś gwałtowna, parodniowa śnieżyca nie będzie dla nas groźna, że w razie nadejścia złej pogody nie będziemy zmuszeni uciekać w dół, do bazy, lecz potrafimy przetrwać tam, wysoko, na grani, że wreszcie będziemy mogli nawet krótki okres dobrej pogody wykorzystać do ataku szczytowego.

Aby to wszystko zrealizować, trzeba było nosić, nosić i jeszcze raz nosić. Trzeba było prowadzić transporty niesione przez tragarzy wysokogórskich, odprowadzać tych tragarzy w dół po to, aby ich znów z powrotem do góry prowadzić. Po założeniu obozu trzeba go zaprowiantować, a po zaprowiantowaniu wyszukiwać dalszą drogę; po jej wyszukaniu i ewentualnym ubezpieczeniu stałymi linami prowadzić transport wyżej, zakładać dalszy obóz itd.



Na pd. grani Nanda Devi East: J. Klarner przy stałej linie (poręczówce) na górnym uskoku Śnieżnej Kopy.

Fot. J. Bujak

Jednocześnie z dołu dostarczać trzeba dalszych ładunków żywności na miejsce przeniesionych wyżej. Szara, ciężka, mozolna robota, tym bardziej, że prowadzona często w złej pogodzie, przerywana czasem przymusowymi dniami odpoczynku w razie silnej śnieżycy czy wichury. Prowadziliśmy ją w dwóch grupach, złożonych każda z dwóch alpinistów i przeważnie dwóch tragarzy. Grupa pierwsza, górna, zakładała obozy, doprowadzała do nich pierwsze zapasy, szukała dalszej drogi, torowała ją. Grupa dolna dostarczała dalszych ładunków z dołu. Ten okres zakładania obozów na grani trwał osiem dni; rezultatem pracy było urządzenie i zaopatrzenie w zapasy Obozu III, na skalno-śnieżnej części naszej grani, na wysokości ok. 6250 m, i Obozu IV u stóp spiętrzenia grani, zwanego przez nas Wiel-

kim Uskokiem, na wysokości 6550 m, na szerokim łagodnie nachylonym polu śnieżnym, stanowiącym najwyższą część lodowca, spływającego południowymi ścianami naszego szczytu.

Nie sposób opowiedzieć tu szczegółowo wszystkiego, co się działo: trzeba by na to całej książki. Wspomnę tylko o jednym zdarzeniu tego okresu, które szczególnie dobrze utkwiło mi w pamięci.

Szedłem wraz z Karpińskim śnieżną granią, torując drogę powyżej obozu trzeciego. Grań opada w jedną stronę stromym stokiem lodowym, z drugiej strony ścięta jest jeszcze stromszą ścianą. Daleko w próżnię wywieszone na stronę owej ściany śnieżne nawisy zmuszają do trzymania się z dala od ich krawędzi; ale im dalej od tej krawędzi, tym stromszy jest lodowy stok, którym idziemy, pokryty źle trzymającym się śniegiem. Trzeba więc żonglować między jednym a drugim, trzymając się zasady »złotego środka«. Mgła, chwilami rzedniejąca, chwilami zaś bardzo gęsta, nie zawsze pozwalała na dobrą widoczność. Idąc jako pierwszy na linie usłyszałem nagle gdzieś pod sobą i wkoło siebie krótki, głuchy trzask: to nawis pękł pode mną! Rzecz stała się zbyt szybko, żeby móc w jakikolwiek sposób jej przeciwdziałać. Po prostu olbrzymia masa stwardniałego śniegu, bryła długości jakich 10 m a wagi kilku ton, urwała się i poszła w dół. Na szczęście bogini Nanda i tu okazała swą łaskę: pęknięcie przebiegało dokładnie pod moimi nogami tak, że znalazłem się okrakiem na krawędzi śnieżnego obrywu. Na prawo ode mnie w dole, grzmiała w 2000 metrowej ścianie lawina, którą utworzył spadający nawis. Spojrzałem na Karpińskiego: stojąc w bezpiecznym miejscu ściągnął linę, gotów utrzymać mnie w razie upadku. Na szczęście nie doszło do tego. Przez długą minutę, a może i dwie, wsłuchiwaliśmy się w huk coraz bardziej oddalającej się lawiny: jak straszliwie długo trwa spadek z tej podniebnej wysokości! Wreszcie lawina ucichła, zamarła gdzieś niezmiernie głęboko pod nami. Idziemy dalej.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Założenie i zaopatrzenie w żywność Obozu IV (6550 m), było zakończeniem przygotowawczej części akcji. Stąd przy pomocy jeszcze jednego obozu wyższego i przy sprzyjających okolicznościach można by osiągnąć szczyt w ciągu dwóch dni. W rzeczywistości od założenia Obozu IV do zdobycia szczytu miało upłynąć długich i pracowitych dni dwanaście.

IV.

Idziemy do szczytu

Na olbrzymim, lekko pochyłym polu śnieżnym stoją trzy małe namioty: to Obóz IV, wysokość 6550 m. Od szczytu Nanda Devi East dzieli nas jeszcze 900 m różnicy wzniesienia i trzy strome skalne spiętrzenia grani. Najniższy z tych skalnych stopni, Wielki Uskok, mimo 300-metrowej wysokości nie wydawał się nam z dołu zbyt trudny; drugi z kolei, Środkowy Uskok, choć tylko 100 m wysoki, zdawał się stanowić swym gładkim skalnym koniem najpoważniejszą przeszkodę, wreszcie trzeci, Szczytowy Uskok mógł swymi 40 metrami skały zamknąć drogę tuż przed osiągnięciem upragnionego celu.

Po przeprowadzeniu wywiadu terenu i znalezieniu drogi przez Wielki Uskok, który rzeczywiście okazał się nietrudny, ruszają Berna-

dzikiewicz i Klarner wraz z dwoma tragarzami w górę. Dziś założą Obóz V, na grani ponad Wielkim Uskokiem, a jutro posuną się wyżej. Jeśli dobrze pójdzie, może osiągną szczyt, a w każdym razie zrekognoskują Środkowy Uskok.

Siedząc w Obozie IV patrzymy na oddalających się towarzyszy: jakże powolnym, prawdziwie żółwim krokiem posuwa się człowiek na tej wysokości. W ciągu pierwszej godziny pokonali zaledwie sto metrów różnicy poziomu; wyżej na stromszym stoku tempo zmalało jeszcze bardziej. Ale czegóż nie można dokazać wytrwałością i cierpliwością! Było już dobrze po południu, kiedy cztery małe figurki ludzkie, ukazujące się chwilami w chmurach obejmujących szczyt, dotarły do górnej krawędzi uskoku i znikły za tą krawędzią sprzed naszych oczu.

Wieczór się zbliża, niedługo powinni wrócić z góry tragarze, którzy towarzyszyli naszym kolegom. Ale cóż to? Z góry dochodzą jakieś okrzyki; wsłuchujemy się w nie i możemy z trudem rozróżnić: »Schodzimy na dół, wyjdźcie naprzeciw z latarkami«. Coś musiało się wydarzyć. Zaniepokojeni zbieramy się szybko i wychodzimy: chciałoby się biec naprzeciw schodzącym, być przy nich jak najprędzej. Nie można. Krok za krokiem wleczemy się ku górze, zapadając się w śniegu po łydki. Ślady naszych towarzyszy, którzy szli tędy rano, zawiało śniegiem zupełnie. O zmroku już spotykamy się ze schodzącymi. Mieli wypadek, który niemal cudem tylko zakończył się szczęśliwie. Osiągnąwszy wysokość blisko 7000 m, zatrzymali się dla założenia obozu, odsyłając w dół tragarzy; po przejściu zaledwie kilkunastu metrów, pod jednym z tragarzy, idącym na przedzie, pękł nawis, którego potwornych rozmiarów nie przeczuwało się zupełnie; śnieg po którym szli — zdawało się — bezpiecznie, bo w odległości jakich dziesięciu metrów od krawędzi grani, był w rzeczywistości częścią nawisu o zasięgu kilkunastu metrów. Tragarz Indżung poleciał w dół wraz z urwanym nawisem i zawisł w powietrzu na linie łączącej go z drugim tragarzem, Dawą. Grozę sytuacji powiększał fakt, że Dawa stał na części nawisu, która też odpękła, jednak trzymała się jeszcze. W każdej chwili i ta część mogła się urwać, powodując katastrofę. Bernadzikiewicz i Klarner ściągnęli naprzód Dawę w bezpieczne miejsce, a potem wspólnymi siłami wydostali wiszącego między niebem a ziemią Indżunga. Nie odniósł on na szczęście żadnych obrażeń, ale zarówno wstrząs jakiego doznał, jak i ucisk liny, na której wisiał długo, bo prawie pół godziny, zanim udało się go wyciągnąć, sprawiły, że był w stanie zupełnego wyczerpania i załamania psychicznego. Trzeba go więc było sprowadzić na dół.

Następnego dnia Klarner i Bernadzikiewicz zeszli jeszcze niżej na przełęcz, odprowadzając tragarzy do Obozu II, skąd Dawa sprowadził Indżunga do bazy.

Z kolei wyruszyła z Obozu IV w górę druga dwójka: Karpiński i ja. Nie mając tragarzy, sami dźwigamy znaczne jak na tę wysokość wory, których waga dochodzi do 15 kg. Ostatniej nocy spadł świeży śnieg, w którym brniemy z trudem, zapadając się chwilami po kolana. Tempo naszego marszu jest jeszcze wolniejsze, niż naszych kolegów przed dwoma dniami. Za każdym krokiem wykonać trzeba trzy, lub nawet cztery oddechy, znów krok — i trzy oddechy. I tak pomału, beznadziejnie pomału pełzniemy ku górze. Po godzinie marszu oglądam się — obóz opuszczony przez nas wydaje się tak śmiesznie bliski, że można by zejść do niego w dół w ciągu niewielu minut, a przecież przej-

ście tego kawałka drogi tyle pracy kosztowało! I tyle jeszcze setek metrów wysokości mamy do pokonania.

To był chyba dla mnie dzień największego wysiłku w czasie całej wyprawy. Walka z brakiem tlenu, z gniotącym nieznośnie ciężarem na ramieniu i głębokim, grząskim śniegiem, a pod koniec dnia w dodatku walka z niepogodą. Po południu zaczął wiać wiatr zachodni, zrazu umiarkowany, potem przybierający na sile aż do natężenia huraganu. Zdaliśmy sobie sprawę, że przy wietrze takim nie sposób iść granią bez poważnego ryzyka odmrożenia. Z ciężkim więc sercem decydujemy się na odwrót z wysokości 6900 m. Wyniesione przez siebie ładunki zostawiamy na miejscu.

Nanda Devi po raz drugi odrzuciła nasz szturm szczytowy, pokazując nam, jak nikłe są nasze siły i jak niewiele trzeba, żeby uniemożliwić nam zbliżenie do szczytu.

Przez szereg dni następnych nie było mowy o ponowieniu ataku. Po jednym dniu daremnego wyczekiwania na poprawę pogody w Obozie IV zeszliśmy na przełęcz, do Obozu II. Powodem był zły stan zdrowia Karpińskiego, trwający już od szeregu dni. Niezwykłym wysiłkiem woli potrafił on mimo to znaleźć w sobie siły potrzebne do ciężkiej pracy na tak wielkiej wysokości, obecnie jednak był już u kresu sił.

Tu w obozie II po ciężkiej walce z samym sobą, zdecydował się on zejść do bazy. Wiem, ile ta decyzja, oznaczająca rezygnację z wejścia na szczyt, musiała kosztować jego, który od lat planował wyprawę w Himalaje, i który tyle pracy i wysiłku włożył zarówno w zrealizowanie tych planów, jak i dotychczasową pracę wspinania się na Nanda Devi. Po zejściu do bazy lekarz stwierdził u niego tropikalną dyzenterię.

Tymczasem druga dwójka, Bernadzikiewicz i Klarner, podążyła znowu w górę. W obozie III musieli w ciągu dwóch dni przetrzymać silną niepogodę, po czym spędzili znowu jeden dzień przymusowo w Obozie IV. Panowała tam niezwykle silna wichura, zasypująca śniegiem namioty, nawet przy pięknej pogodzie.

W nocy zbudzeni ciężarem przygniatającego ich namiot śniegu, musieli wyjść na zewnątrz o godzinie trzeciej nad ranem i zająć się odkopywaniem namiotu, które trwało przeszło dwie godziny. Następnego dnia znalazłem się i ja w Obozie IV; przyszedłem tu razem z tragarzem Dawą.

Pogoda poprawiła się nieco: wiejący stale silny wiatr zachodni osłabł cokolwiek. Wyruszamy z Obozu IV w sześciu. Oprócz nas trzech idzie jeszcze trzech tragarzy. Niosąc tym razem umiarkowane ciężary, bo część ekwipunku i żywność była już wyniesiona przedtem w górę, przechodzimy znaną nam już dobrze drogą Wielki Uskok, po czym posuwając się niezbyt stromą, lecz groźną wskutek nawisów śnieżną granią, osiągamy wysokość 7000 m. Tu na sterczącej ze śnieżnego zbocza skale, wysokiej na jakich 20 m, zakładamy Obóz V. Dwa szturmowe małe namioty stają na niewielkiej platformie, wykopanej w śniegu i wymurowanej z kamieni. Zostajemy tu w czterech: naszą trójkę uzupełnia Dawa, dwaj inni tragarze schodzą do Obozu IV.

I znów dzień przymusowego odpoczynku, do którego zmusza nas wściekły wicher i mgła, w której jesteśmy zanurzeni. Jeśli pogoda taka potrwa dłużej niż dwa dni — trzeba będzie zejść na dół, bo żywność

się skończy. A kiedy znów uda się ponowić atak — Bóg raczy wiedzieć. Na szczęście już po jednym dniu i dwóch nocach spędzonych w Obozie V nastał poranek wietrzny wprawdzie, ale pogodny. I mroźny! O godzinie piątej rano termometr wskazywał -15^0 C. W połączeniu z wiatrem, ciągle jeszcze silnym, stwarzało to poważne niebezpieczeństwo odmrożenia, ale to ryzyko musieliśmy ponieść; na dłuższe czekanie nie było czasu.

Dnia 2 lipca, o godzinie 7.30 wyruszamy dwiema dwójkami. W pierwszej idę ja z Dawą, w drugiej Bernadzikiewicz z Klarnerem. W ciągu dwóch godzin przechodzimy dzielącą nas od Środkowego Uskoku, nietrudną część grani i stajemy oko w oko z uskokiem, najgroźniejszą naszą przeszkodą. Tu Bernadzikiewicz, który od rana czuł się źle i szedł z wielkim wysiłkiem, decyduje się zawrócić do Obozu V. Ponieważ



J. Klarner na pd. grani Nanda Devi East, tuż poniżej wierzchołka (powyżej górnego uskoku). Zdjęcie zrobione w dół. W lewym górnym rogu Nanda Kot.
Fot. J. Bujak

chodzić musimy w dwójkach, Dawa wraca razem z nim, zaś Klarner i ja zwracamy się ku górze z determinacją: »Musimy zrobić szczyt« — ale też z tajonym uczuciem niepokoju: »czy puści?«

I puściło. Środkowy Uskok, zaatakowany w miejscu — zdawało się — najdostępniejszym, przyjął nas zrazu gładzizną stromych płyt, o których przejście trudno się było nawet kusić. Ale oczy, przywykłe do wypatrywania drogi w urwiskach skalnych, szukają — i znajdują. Tu w prawo wiedzie wąska półeczka skalna, nią dostaniemy się na ostrze grani; tam dobre stopnie skalne, wyżej pólko śniegu. Przewieszki? Przedziwny korytarzyk skalny o podłodze ze śniegu, wcięty między dwie pionowe ścianki, na których zapieramy się rękami, wyprowadza ponad przewieszki. Stąd w kilka chwil dochodzimy na ostrze grani już śnieżne, ponad Środkowym Uskokiem. Główna trudność pokonana.

Dalsza część grani, to pracowite rąbanie i kopanie stopni w firnie o zmiennej konsystencji i wyścig z czasem, który wydaje się właśnie tego dnia dziwnie szybko uciekać. Późnym już popołudniem stajemy pod skałami Szczytowego Uskoku. Tylko dwie długości liny, a skała okazuje się nietrudna.

Idąc jako pierwszy, wynurzam się w pewnej chwili — niespodziewanie zupełnie — ze stromizn skał uskoku na olbrzymią śnieżną równię: to szczyt! Brnąc w głębokim, nierównym, pozwiewanym śniegu, potykając się i zataczając, walcząc z bezustannie dmącym wichrem, zdążamy do kulminacyjnego punktu tej równi, lekko ponad otoczenie wyniesionego. Jest godzina piąta po południu.

Serce wali jak młotem, a za gardło coś chwyta. Zmęczenie? Tak, zmęczenie, wyczerpanie, ale i wzruszenie i uczucie szczęścia, że oto właśnie dziś, że teraz, i że właśnie nam przypadł ten zaszczyt. Po tylu latach planów i starań, tylu miesiącach przygotowań, tylu tygodniach wysiłków na Górze, tylu nadziejach i zawodach — powiodło się i oto jesteśmy n a s z c z y c i e!

Jakub Bujak

Przypisek Redakcji: Część I powyższego opowiadania jest fragmentem drukowanego w Alpine Journal artykułu Bujaka pt. »My Highest« (w tłumaczeniu Zofii Radwańskiej-Paryskiej), a części II-IV są przedrukiem artykułów Bujaka w roczniku XXVI (1942) konspiracyjnego Taternika.

Tirsuli

(Fragment wspomnień)

Siedem niewielkich namiotów domkowych rozstawiliśmy nieregularnie dookoła namiotu jadalni, tuż przy morenie bocznej lodowca Milam, zakładając Bazę Tirsuli.

Od razu od następnego dnia rozpoczął się na lodowcu ruch, jakiego śnieżno-lodowe olbrzymy u swych stóp nigdy dotąd nie oglądały. Duch bojowy, wywodzący się z końcowej fazy działań na Nanda Devi, ożywiał w równej mierze nas wszystkich, jak i Szerpów.

W ciągu sześciu dni akcji przeprowadziliśmy w terenie, dotychczas alpinistom nieznanym, trzy wywiady dla ustalenia wyboru drogi ku szczytowi, oraz założyliśmy i zaopatrzyli do dalszej akcji dwa obozy (na wysokości 4750 i 5670 m).

Zamknięciem tego przygotowawczego okresu było osiągnięcie przez Kubę i Siama grani szczytowej Tirsuli II na wysokości 6400 m.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dnia 17 lipca znaleźliśmy się we czwórkę wraz z czterema Szerpami w Obozie II. Przy wspólnie spożywanej kolacji prowadzimy długie dysputy na temat bliskiego, w naszym przekonaniu, zdobycia szczytu.

Tirsuli — »trójząb« — trzy szczyty położone w grupie górskiej Milam w Himalajach Garhwalu. Wysokość ich jest: 7150, 7070 i 7040 m. Przedmiotem pierwszego ataku Polskiej Wyprawy Himalajskiej był szczyt drugi.

Wszyscy wyrażamy podziw dla niezwykłej malowniczości tej grupy górskiej. Strome, do 3000 m wysokie ściany szczerzą się surowo

ciosaną skałą. Spękane w potężne szczeliny lodowce spływają uskokami, wpadając jako »dopływy« do wielkiego lodowca Milam.

Setkami ostro opadających rynien szorują nieustannie obsuwy śnieżne, tworząc tak charakterystyczną dla Himalajów rzeźbę ścian.



Grupa Tirsuli (7150 m) w otoczeniu lodowca Milam. Z prawej strony szczyt Tirsuli II (7070 m), na którego stokach — w części już niewidocznej na zdjęciu — nastąpiła katastrofa.

Lodowce wiszące przypominają co i raz o swym istnieniu łoskotem obrywów lodowych, przeszywającym świątynną ciszę gór.

Pełna uroku i siły przyciągającej jest surowość i malowniczość tych gór. Szczególnie pełni zachwytu są Akar i Siam, którzy uważają grupę lodowca Milam za najpiękniejszą pośród licznych gór, jakie w życiu oglądali. Obydwaj oni porównują Tirsuli ze wspaniałym, ale bezlitosnym dla szturmujących go Nanga Parbat.

Idziemy na spoczynek w jak najlepszych nastrojach z zamiarem założenia następnego dnia Obozu III na wysokości 6300 m przy udziale wszystkich alpinistów i tragarzy. Wszyscy będą nocować w Obozie III oprócz dwóch tragarzy, którzy zejdą po resztę ładunków.

Niepewna pogoda z rana następnego dnia opóźnia wymarsz. Przy formowaniu ładunków dla tragarzy okazuje się, że jest ich osiem, a nie pięć, jak poprzednio przypuszczaliśmy. Zachodzi więc konieczność powrotu wszystkich czterech tragarzy do Obozu II. Wobec tego celowym jest pozostanie przez jeden dzień dwóch alpinistów w Obozie II dla przeprowadzenia następnego dnia transportu do Obozu III. Zgłaszam się na ochotnika na pozostanie w obozie, po krótkim namyśle przyłącza się do mnie Kuba. Akar i Siam odchodzą wraz z czterema tragarzami. Żegnamy się: »Do jutra«.

Większą część ich drogi obserwujemy z obozu. Powolność marszu zwraca naszą uwagę. Przyczyna tego wyjaśnia się po dwóch godzinach, kiedy z trudem chwytamy dochodzące z góry słowa Siama, wołającego: «Indżung tragarz chory! Odsyłamy go na dół!« Wieczorem schodzą z góry pozostali trzej tragarze i przynoszą nam list od Akara, który donosi, że wskutek choroby Indżunga i związanej z tym konieczności przepakowania ciężarów, nie zdążyli dojść do upatrzonego poprzednio miejsca na obóz. Założyli więc tymczasowo na jeden dzień Obóz III na wysokości 6150 m, w miejscu, jak podkreślił w liście Akar, całkowicie bezpiecznym.

Następnego dnia wychodzę wczesnym rankiem wraz z Kubą i z czterema tragarzami. Trzeba jak najwcześniej dotrzeć do Obozu III, żeby zdążyć przenieść go jeszcze tego samego dnia o około 150 m wyżej. Przy pięknej pogodzie i przemarzniętym lekko śniegu posuwamy się szybko. O godzinie dwunastej jesteśmy u stóp wiszącego lodowca, skąd pozostaje nam ledwie godzina drogi do obozu naszych towarzyszy. Tak pomyślny przebieg marszu wprawia nas w jak najlepsze humory. Omawiamy taktykę jutrzejszego lub najdalej pojutrzejszego ataku szczy-



Widok z obozu na lodowcu Milam na szczyt Tirsuli II (7070 m), na którego stokach zginęli S. Bernadzikiewicz i A. Karpiński.

towego. Wchodzimy na próg lodowca, skąd otwiera się rozległy widok w górę. Pytamy się Szerpów, którzy wczoraj rozbijali wraz z Akarem i Siamem obóz, w jakim miejscu został on założony? Wskazują nam kierunek.

Jeden rzut oka wystarczy, by wzbudzić nagły dreszcz niepokoju. Bez słowa chwytam za lornetkę. Po krótkiej już obserwacji nie mam wątpliwości: wskazane miejsce zalegają zwały wielkiej lawiny. Każdy

z nas, zastanawiając się, zdaje sobie sprawę, że wszystko przemawia za tym, iż towarzyszy naszych spotkał los tragiczny. Nie jesteśmy jednak w stanie uwierzyć w to, chwytamy się myśli, że Szerpowie mogą się mylić w określeniu miejsca obozu.

Szybko posuwamy się wczorajszym śladem naprzód. Idziemy bez słowa, nie odrywając oczu od lawiniska i jego okolicy, a uczucie grozy przejmuje nas coraz bardziej. Szerpowie są wyraźnie stropieni, zaczynają jeden po drugim cmokać i pojękiwać, co wyraża przejęcie się i boleść. Rozumieją oni już teraz, tak samo jak i my, że obóz został zgładzony przez lawinę.

Świadomość śmierci naszych przyjaciół nie może się zagnieździć w naszych głowach. Wczoraj jeszcze prowadzone rozmowy i wspólnie snute plany noszą zbyt dużo cech teraźniejszości, ażebyśmy mogli pogodzić się z tak brutalną i zimną rzeczywistością. Wszak lawina mogła zejść dziś przed południem, obóz mógł być wtedy opuszczony.

Wchodzimy na lawinisko. Szerpowie po krótkim namyśle wskazują: tu stał obóz. Miejsce to zalegają obecnie zwały bloków lodowych, przetykanych zbitym śniegiem. Gorączkowo przeszukujemy powierzchnię. Wkrótce znajdujemy wbity w krawędź wielkiej szczeliny lodowej but.

Stało się, nie można mieć już żadnej wątpliwości ani nadziei. Stajemy wszyscy nad tym dowodem nieszczęścia, które spadło tak gwałtownie, że wydaje się wprost nierealne.



Na lawinisku na Tirsuli: krzyż postawiony na miejscu, gdzie prawdopodobnie zginęli S. Bernadzikiewicz i A. Karpiński.

Fot. J. Klarner

W wyniku poszukiwań prowadzonych przez dwa dni wykopujemy drugi but, większy od poprzednio znalezionego, oraz szereg drobnych przedmiotów. Poszukiwania są jednak beznadziejne. Lawinisko ma 250

m długości, 150 m szerokości, a grubość jego warstwy dochodzi do 8 m, przy czym składa się ono z bloków lodowych i zbitego przez nie śniegu. Co można zdziałać tutaj w kilku? Sprowadzenie większej ilości ludzi jest nie do pomyślenia ze względu na trudność i niebezpieczeństwo dojścia żebrem skalno-śnieżnym, które jest dostępne jedynie dla wspinaczy. Drugiego dnia wieczorem postanawiamy zakończyć poszukiwania.

U stóp ścianki lodowej, w miejscu, które uważamy za najbardziej prawdopodobny grób naszych towarzyszy, stawiamy niewielki krzyż. Zdejmujemy czapki. Pogrążamy się w zadumie nad wspólnie przeżytymi pogodnymi chwilami, nad wspólnie pokonanymi trudami, które nas tak zbliżyły, oraz nad ciężką teraźniejszością.

Odchodząc, staramy się odczytać z pozostałych śladów przebieg lawiny. Bezpieczne pozornie miejsce, lodowy początek lawiny z potężnych bloków, poruszenie w czasie jej biegu na niższym, łagodnym stoku lawiny śnieżnej, przebieg w fazie końcowej na znacznej przestrzeni po płaskim terenie, wreszcie śmierć śpiących w obozie — wszystkie te szczegóły są analogiczne jak w katastrofie, która spotkała przed kilku laty niemiecką wyprawę na Nanga Parbat. Tam zginęło 16 ludzi.

Dziwnym się teraz wydaje, że właśnie Ci, którzy zginęli, porównywali potężne stoki Tirsuli z Nanga Parbat.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Zwinęliśmy bazę. Działalność wysokogórska Wyprawy jest zakończona. Z niewielką tym razem, bo z 26 kulisów złożoną karawaną, zdążamy z powrotem do Almory.

Minęliśmy osadę Milam i w miejscu, gdzie załom doliny zaczyna nam zakrywać Tirsuli, wyłania się nagle z bocznej doliny Panchu — Nanda Devi. Stajemy. Karawana nas mija. Zostajemy w ciszy wobec majestatu dwóch olbrzymów górskich. Oba są równie potężne i imponujące, lecz jakże różne budzą w nas uczucia.

Tirsuli stał się największą klęską, jaką mogliśmy ponieść, Nanda Devi był naszym triumfem największym.

Janusz Klarner

Wspomnienie o Adamie Karpińskim i Stefanie Bernadzikiewiczu

Niniejsze wspomnienie napisane zostało w styczniu 1941 roku, w czasach beznadziejności życia okupacyjnego, w czasach gdy kres wojny był jeszcze daleki i mglisty, a nasze umysły i stan emocjonalny pozostawały pod presją katastrofy wrześniowej i utraty własnej państwowości. Stąd bierze się we wspomnieniu ton może nadmiernego przeczulenia. Wielu z nas, będąc pod świeżym jeszcze wrażeniem tragicznej śmierci naszych najbliższych przyjaciół i kolegów: Bernadzikiewicza i Karpińskiego — zazdrościło im czasem w głębi duszy, że nie dożyli klęski, że zginęli jeszcze jako obywatele Niepodległego Państwa. Wydawało się także wówczas, że Tatry, Alpy, dni przeżyte w górskiej walce, noce spędzone na biwakach w ścianie, czy przy ognisku koleby — wszystko to są raz na zawsze zamknięte wspomnienia młodości, którą wybuch wojny przeciął w sposób bezpowrotny.

Pomimo to — a może właśnie dlatego — chcąc zgodnie z życzeniem Redakcji zachować autentyczność atmosfery tamtych czasów, oddaję wspomnienie do powtórnego druku bez żadnych istotnych zmian.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Mam zatem pisać o Was, drodzy Towarzysze dni górskich. O Tobie, Adamie, wiecznie zaaferowany myślami o górach, egzotyce, o dalekich wyprawach — rozgorączkowany, dyskutujący, płomienny — i o Tobie, Stefanie, w którego bladoniebieskich, zapatrzonych w dal oczach zgadywałem śnieżną pustkę podbiegunowych przestrzeni.

Tak dziwnie pisać mi o Was jak o zmarłych, bo przecież ciągle mi się zdaje, że wreszcie po latach spotkamy się znowu wszyscy razem w jakimś zapomnianym schronisku, w górskiej głuszy, w huku pękających lawin.

Byłem Wam towarzyszem i uczniem. Wszakże to Ty, Stefanie, uczyłeś mnie po raz pierwszy w życiu przypinać raki do nóg, pamiętasz? — tam na stokach Styrbnej Przełęczy, w dalekiej Czarnej Jaworowej, w ową słoneczną, cudną Wielkanoc 1935 roku. Gnani nadmiarem sił żywotnych lekceważyliśmy zmęczenie wywołane przetransportowaniem do doliny bagażu na dwutygodniowe obozowanie i jeszcze tego samego dnia poszliśmy dalej, niby to na rekonesans warunków śnieżnych po świeżych opadach. Prędko na przełęcz, bo wiosenne słońce stoi już nisko nad granią! Mocny Boże, cóż wtedy znaczyło dla naszych sił, dla młodzieńczego rozmachu wejść jeszcze granią na dziewiczy zimą wierzchołek Środkowej Śnieżnej Turni. Na szczycie zabawimy tylko tyle, aby zajrzeć w głąb Śnieżnej Dolinki. Potem z powrotem na przełęcz i żlebem w dół na łeb na szyję cudownym głębokim puchem.



Stefan Bernadzikiewicz, w drodze do Indii w roku 1939.

A w dzień później pamiętam jak podziwiałem Twoją spokojną, opanowaną technikę lodowo-skalnej wspinaczki na trawersie Wieśka Stanisławskiego, w czasie rekonesansu na próg Śnieżnej Dolinki. Asekurowałem Cię ze żlebu, a Ty przez godzinę lub dwie demonstrowałeś mi Swe mistrzostwo w operowaniu czekanem, rakami i liną. Potem zostawiliśmy linę zawieszoną na hakach, używając do tego celu — mocą jednogłośnej decyzji... liny nieobecnego chwilowo kolegi.

Lina ta przewisiała chyba z tydzień, w czasie którego gdzie indziej dążyły nasze ścieżki, aż wreszcie — czy pamiętasz ten czarowny biwak, po dniu kluczenia wśród lawin poprzez piętra Śnieżnej Dolinki, biwak w namiocie przylepionym do podnóża skał Zwornika Lodowego, wysoko ponad światem? Noc spokojną wśród białych i cichych olbrzymów górskich, a jedynie dalekie światła dolin przypominały, że istnieje gdzieś koszmar zwany cywilizacją.

A potem rano — z mrocznej głębi żlebu wychodzimy w prawo na jego krawędź; diabelnie stroma była ta krawędź, ale było na niej słoń-

ce, a Ty je przecież tak lubiłeś, Stefanie. Toż w dwie godziny później wygrzewałeś się beztrosko na grani, wdychając w płuca zapach młodej wiosny górskiej, jakby Cię nic nie obchodziły trudności dopiero co przebytej drogi.

Na Lodowy jeszcze kawał drogi, ale to głupstwo — cały czas łatwo — wybiegnie się w półtorej godziny, a to dopiero dziesiąta rano. Czy pamiętasz potem zejście? Twój upadek pod Ramieniem Lodowego, tak groźnie się zapowiadający, a tak zabawnie zakończony? Albo ostatni fragment: marsz poprzez równię dolnego piętra Czarnej Jaworowej, kiedy to w grząskim wiosennym śniegu przy zachodzącym słońcu zapadaliśmy się za każdym krokiem wyżej pasa, klnąc i śmiejąc się zarazem z naszej idiotycznej sytuacji. Do namiotów jeszcze sto kroków, jeszcze osiemdziesiąt — rozmawiamy już swobodnie z pozostałą w obozie towarzyszką, a nie możemy ani rusz przyśpieszyć marszu, zupełnie jak w dokuczliwym majaczeniu sennym.

W nocy przyszła raptowna odwilż. Pamiętasz jak pływaliśmy dosłownie w namiotach wśród kompletnie zmoczonych zapasów i ubrań, szczękając zębami z zimna w przemoczonych śpiworach? Czy pamiętasz następnego dnia nasze zabawne perypetie w poszukiwaniu Małej Kapałkowej?

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

A przecież to z Tobą, Adamie, poznałem po raz pierwszy radość alpejskich wyżyn. Przyjechałem tam jako kompletny nowicjusz, przytłoczony wielkością lodowo-śnieżnych kolosów, zgubiony w bezkresnych przestrzeniach zdradliwych lodowców. Tyś mnie tam prowadził, uczył jak omijać niebezpieczeństwo szczelin, uczył torować szlak na wielkich płaszczyznach, tak białych jak tylko we śnie wymarzyć się mogą, uczył znajdować wyjście w zawiłym labiryncie lodowych złomisk i lodowych czeluści. Opiekowałeś się mną w początkowej fazie wyprawy, gdy z trudem przełamywałem złą formę fizyczną po przebytej chorobie. Za to później — gdy znów poczułem pełną sprawność serca i mięśni — byłem Ci wiernym towarzyszem, Adamie. Byłem przy Tobie cały czas w dzień i w nocy, aż do chwili rozstania się z Alpami. Dni te pełne słońca, śnieżnej białości i błękitu niebios zostaną na zawsze w mych wspomnieniach najsilniejszym wyrazem młodości, dynamizmu sił żywotnych i beztroski, podobnie jak owa uśmiechnięta, słoneczna Wielkanoc 1935 roku.



Adam Karpiński w Himalajach.

I takim Ty w mych wspomnieniach zostaniesz, Adamie: młodzieńczy, radośnie roześmiany, wiecznie pełen energii i pomysłów.

»Odpocznijcie tu godzinkę na przełęczy«, mówisz do towarzyszy, »my z Wawą wyskoczymy tylko na Sonnblick i Granatspitze«. — I już

nas nie ma, już pędzimy granią, po wielkich omszałych głazach. Po co? Po to, żeby zajrzeć ze szczytu w zieloną głąb dolin Kals i Gschlöss, żeby zajrzeć wzajem w głąb swych zachwyconych oczu, w których odbijał się błękit nieznanych przestrzeni.

»Chodź, Adamie, albo lepiej — jakeśmy Cię zwykle zwali — Akarze«. Worki i czekany leżą już pod skałką na przełęczy — nie ma na co czekać. Lekko, jakże niesamowicie lekko biegnie się pod górę, granią na Amertalerhöhe. Nie gra roli długotrwałość marszu poprzez doliny, tak jakby powietrze, słońce i góry przypięły nam skrzydła do ramion.

Już schodzimy. Zbiegamy skalistym stokiem, zjeżdżamy na butach poprzez niewielkie poletka śniegu. Rozmawiamy. Pędzisz przodem i co chwila wybuchasz głośnym śmiechem — z moich żartów? — nie, ze szczęścia.

»No, Akarze, nie ma co zalegać pola — pół dnia odpoczynku w obozie nad Schlattenkees to chyba dosyć. Dziewicza północna ściana Schwarze Wand'u czeka na polskich zdobywców«.

Idziemy, to idziemy, choć słońce już wysoko. Pod ścianą jesteśmy o drugiej popołudniu. No, trochę za późno, ale cóż z tego. Patrzymy chwilę sobie w oczy i ruszamy. Milcząca była to ugoda i porozumienie. Zdaje się, Adamie, że wzajem na siebie liczyliśmy: Ty na moją sprawność wspinacza, ja — na Twoje doświadczenie starego wilka górskiego.

Nie zawiedliśmy się. W pięć godzin później ściana była za nami. Trzeba jeszcze tylko zejść do obozu. Ba, nie tak to łatwo, bo nad górami już noc zapadła. Ale zejść się jakoś w końcu musi, przecież siedzieć tu do rana nie myślimy. Idziesz naprzód granią i już w dwie lub trzy godziny później wkraczamy na bezpieczną ścieżkę tuż koło naszego obozu. Cóż bowiem dla Ciebie znaczyło odnaleźć w nocy nikły, zawikłany szlak wśród szczelin — niezapomniany Towarzyszu alpejskich wędrówek.

Wśród wspomnień o Was mam jeszcze jedno — może najcenniejsze. Wspominam inną Wielkanoc tatrzańską — chmurną, mglistą, siekącą śniegiem — na rok to było przed Waszą tragiczną wyprawą.

— No, Akarze, zobaczymy, czy Sobkowa Grań jest trudniejsza od »naszego« Schwarze Wand'u. — No, Stefanie, przypomnijmy sobie, jak to było w Śnieżnej i na Lodowym. Przecież to nasze strony.

Trawersujemy lasem popod Holicę. Na Gałajdowej Polanie wiele się zmieniło przez te trzy lata. Nie ma już poczciwej, starej Gaszperlowej, nie ma też po co zatrzymywać się w leśniczówce.

I znów jak przed laty dążę Twoim, Stefanie, śladem narciarskim wśród wysokopiennego boru. Znowu — jak ongiś — depczemy po małych smreczkach, szukając przejścia przez potok w pustce i głuszy Jaworowej Doliny.

Biwak w dolinie był niemal komfortowy. Wygodne śpiwory, podkładki kauczukowe, dobra kolacja. Nawet nie trzeba rozpinać namiotu. Przyjemniej jest spać tak pod gołym niebem wśród mgieł, z pośród których przebłyskują niekiedy ośnieżone szczyty.

Rankiem poszliśmy dalej. Żmudnym stokiem po głębokim śniegu wspięliśmy się na grań, potem trawersujemy wśród mgły i padającego

śniegu Małą i Środkową Sobkową Turnię, aż popod spiętrzoną grań Wielkiej Sobkowej. Stefan prowadzi. W pięknej lodowo-skalnej wspinaczce pokonuje trzydzieści solidnie trudnych metrów uskoku. Jest już jednak późne popołudnie, a śnieżyca wzmogła się wielokrotnie. Decydujemy z Adamem, że trzeba zabiwakować na przełączce pod uskokiem. Stefan wraca i we trójkę kopiemy platformę na nocleg. Ustawiamy na niej rozpiętą na czekanach płachtę biwakową i włazimy do śpiworów. W nocy więcej gadamy i palimy niż śpimy, bo zadymka rozszalała się na dobre. Śnieg zacina do namiotu, w śpiworach robi się mokro i porządnie zimno. Klniemy, ale nie tracimy humoru.

»Pamiętacie, Akarze, nasz biwak na Oedenwinkelkees. Tam ci dopiero było zimno. Albo lepiej tę noc, kiedyśmy z Korosadowiczem i Staszlem biwakowali na ścianie Glockerinu«.

Adam roztkliwia się nad naszą odpornością na ciężkie warunki zimowego biwaku. Zacny Adamie, niezmordowany wychowawco narybku taternickiego. Przyzwyczaiłeś się do kaprysów nowicjuszy, do ich utyskiwań na byle śnieżycę — zapomniałeś już prawie, jak to się chodzi ze »starymi« taternikami.

»Byłaby z nas trójka himalajska«, cieszy się Adam co chwila. Zapala się i marzy. O czym marzy? O wielkich białych przestrzeniach himalajskich, wśród których niezmordowanie posuwa się nasza trójka w kierunku niebosiężnego szczytu.

Przy Was bowiem było moje miejsce, drodzy Towarzysze dni górskich. Inaczej jednak pokierował los, który po stokroć przeklinałem w dniach klęski.

Nie wiem, gdzie jesteście. Czy ciała Wasze wytopiły ze śniegów wiosenne monsuny, czy też spoczywają na wieki w dumnym grobowcu, siedem tysięcy metrów nad poziomem morza, gdzie jest pustka i wieczna cisza, gdzie nie dosięgnie ich nigdy warkot samolotów, huk artylerii, ani żaden z innych upiorów cywilizacji.

Wiem tylko, że wiosną, kiedy śnieg topnieje w Litworowej, uwalnia się z lodu Batyżowiecki Staw, w Koperszadach zazielenia się młoda trawa — duchy Wasze wędrują ku tatrzańskim stawom i turniom — zadumane i szczęśliwe.

Warszawa, styczeń 1941 r.

J. Wawrzyniec Żuławski

Wspomnienie o Jakubie Bujaku

Któż z nas nie znał Kuby? kto go nie lubił, kto przede wszystkim nie cenił go i nie szanował? A o to nie bywa łatwo ani w Klubie, ani w życiu w ogóle. Lubi się — mniej lub więcej — większość kolegów, ceni się niewielu, szanuje tylko nielicznych wybrańców. Kuba był rzadkim wyjątkiem, któremu wszystkie te uczucia razem przypadły w udziale. Spokojny i zrównoważony — zarazem pełen życia i żywotności; wybitnie inteligentny i wszechstronny — a niezwykle skromny; uczynny i koleżeński nie rzadko aż do zaparcia się samego siebie; bez krzty egoizmu; prostolinijny i o bardzo zdecydowanej osi moralnej, etycznej i ideowej; subtelny i delikatny; głęboko uczuciowy — a pełen opanowania — oto ani na jotę nie przesadzony obraz charakteru Kuby.

Był to człowiek w całym najpełniejszym tego słowa znaczeniu kryształowy, człowiek, którego jakieś wady — o ile je miał — znikły zupełnie wobec jego niecodziennych, niezwykłych zalet i przymiotów.

Jakub Zygmunt Bujak urodził się dnia 6 grudnia 1905 r. w Krakowie. Rodzina jego pochodziła ze środowiska chłopskiego. Ojciec, znany działacz ludowy słowem i czynem, Franciszek Bujak, urodzony jako syn chłopa, zdobył wykształcenie i został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, poświęcając się badaniom nad historią i socjologią chłopów polskich.

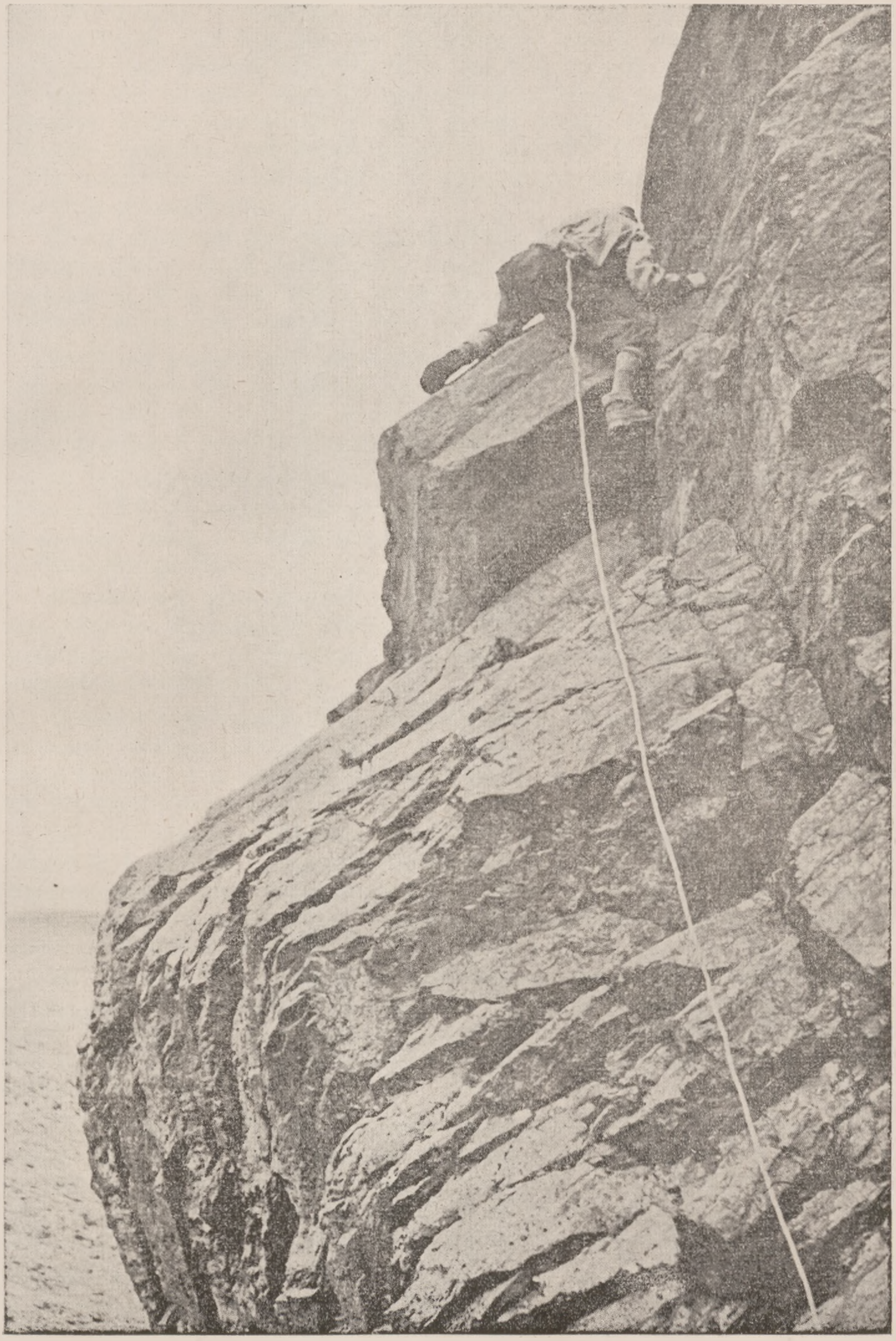


Jakub Bujak.

Jakub ukończył w Warszawie szkołę średnią im. Stanisława Staszica, studia wyższe zaś odbywał na Politechnice Lwowskiej na wydziale mechaniki u prof. Witkiewicza, gdzie odznaczył się wybitnymi zdolnościami. Pracował wynalazczo wraz z Adamem Wicińskim nad zagadnieniem doładowania silników Diesla (silniki odrzutowe). Dyplom inżyniera otrzymał w roku 1930.

Do lat 18-tu Bujak nie uprawiał żadnych sportów. Wyrósł zbyt szybko i czas jakiś miał na tym tle kłopoty z sercem. Jednak w miarę poprawy stanu fizycznego zaczyna interesować się turystyką górską i narciarstwem. Około 1925 r. jest już członkiem Lwowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i Karpackiego Towarzystwa Narciarzy.

Po ukończeniu Politechniki Jakub odbywa praktykę zawodową w Anglii u Vickersa, po czym w Niemczech w Hamburgu. W okresie, kiedy kończy się termin praktyki, Jakub postanawia odbyć większą wyprawę turystyczną. W marcu 1931 r. wybrał się do Norwegii, gdzie w ciągu przeszło miesiąca przebył samotnie na nartach duży szmat kraju, zwiedzając po drodze dwa najwyższe szczyty Skandynawii: Galdhöpiggen (2468 m) i Glittertind (2481 m), oraz kilka pomniejszych.



Jakub Bujak na Clogwyn du'r Arddu w północnej Walii.

Z przeżyć i wspomnień tej wyprawy urodziła się książka »Na nartach przez Norwegię« — książka prosta i szczera, jak szczerym i prostym był sam Kuba. Nie silił się na górnolotne opisy wspaniałej przyrody północnej, nie ubierał w wyszukane słowa swych wrażeń, ale często najprostszym właśnie zdaniem wyrażał najwięcej: »Nie mam zamiaru opisywać szczegółowo widzianych krajobrazów: nie potrafię. Powiem tylko, że... gdybym tak teraz, mimo zapewnień Norwegów, »wsiąknął« w jaką szczelinę, to nie byłaby to zbyt wygórowana zapłata za to, co tego dnia przeżyłem«.

Pasja alpinistyczno-podróżnicza rozwija się w nim coraz silniej, pochłania go — obok pracy zawodowej — coraz bardziej. W roku 1932 wyjeżdża w Alpy Francuskie, gdzie dokonywa szeregu pięknych wejść górskich, m. in. na Aiguille Verte.

Podziwu godna jest konsekwencja i wytrwałość, z jaką Bujak wytycza sobie i osiąga wszystkie swe życiowe cele. Zarówno wyprawę do Norwegii, jak wyjazdy w Alpy realizuje wyłącznie własnymi siłami, przy skromnych środkach materialnych, bez niczyjej pomocy.

W Alpach spotyka się z członkami polskiej wyprawy Sekcji Turystycznej PTT. Zetknięcie to decyduje o wstąpieniu Kuby do STPTT tegoż jeszcze roku, a potem również do Koła Wysokogórskiego Oddziału Warszawskiego PTT.

Działalność alpinistyczna Bujaka w Tatrach zaznacza się przede wszystkim w wyprawach zimowych. Ma on już przed oczyma ciągle ów nieodmienny cel każdego taternika: wysokie góry świata z ich śniegiem i lodowcami.

Wespół z kolegami klubowymi dokonywa pierwszorzędnych wejść zimowych, takich jak I wejście z Doliny Dzikiej na Durną Przełęcz i Mały Durny, I wejście z Doliny Suchej wprost na Lodowy Szczyt, oraz szeregu innych.

Działa również czynnie w akcji organizacyjnej: w zarządzie KWOWPTT, potem w pierwszym zarządzie Klubu Wysokogórskiego po zlaniu się wszystkich organizacyj taternickich; bierze udział w komisjach Klubu, przede wszystkim w Komisji Himalajskiej, przekształconej następnie w Komisję Wypraw.

W czerwcu 1934 r. wstępuje w związek małżeński z Marią Łomnicką, artystką-dekoratorką, po czym — wierny zawsze górom — wraz z żoną wyjeżdża w Alpy Austriackie. Zwiedza je częściowo także z Adamem Sokołowskim, wchodząc m. in. na Grossglockner, Grosses Wiesbachhorn i Grossvenediger.

Wreszcie nadchodzi wyprawa kaukaska Klubu Wysokogórskiego w 1935 roku. Kuba, jako członek tejże wyprawy, wsławia się zdobyciem Burdżuli (4358 m), Saudor - Choch (ok. 4100 m) i zwłaszcza Szchary (5184 m); bierze również udział w wyprawie ratunkowej po członka ekspedycji radzieckiej, który uległ wypadkowi górskiemu.

Wielka erudycja Kuby, bardzo pilne i staranne przygotowywanie się »teoretyczne« do każdej wyprawy, święciły triumfy na Kaukazie. — »Chodząca encyklopedia — kolega Bujak poznawał szczyt po szczycie, pokazywał nam przez lornetkę teren naszych przyszłych działań i bojów... mając utrwalone w pamięci setki fotografij i nazw tych gór« — pisze Wiktor Ostrowski, również uczestnik wyprawy kaukaskiej.

Sam Bujak napisał także kilka interesujących reportaży z Kaukazu, drukowanych w Gazecie Polskiej. W reportażach tych przeplatają się gruntowne wiadomości historyczno-geograficzne z poczuciem piękna przyrody górskiej, a wnikliwa umiejętność obserwowania i wnioskowania połączona z prostą, szlachetną formą narracyjną i obrazowym stylem stawiają te utwory na wysokim poziomie literackim. Również artykuły w Taterniku odznaczają się tymi zaletami, może w większym jeszcze stopniu. Pisywał również liczne artykuły fachowe w czasopismach technicznych.

Po wyprawie kaukaskiej znowu tatrzańskie wspinaczki. Pięknie to świadczy o Bujaku, że nie spoczął na laurach wypraw zagranicznych, nie gardził Tatrami po powrocie z innych, wyższych gór. Były mu one zawsze tymi jedynymi »swoimi« Tatrami, których szlaki miały własny urok i powab, których piękno szło prosto w serce, a których skała ciągle była świetnym terenem zaprawy alpinistycznej.

W 1936 r. Jakub Bujak robi doktorat. Niespożyty ten człowiek umiał pogodzić pracę zawodową, naukowe badania i pasję górską. Starczało mu czasu na wszystko, a przecież miał i rodzinę, dla której był oddanym mężem i ojcem. Sztuka to nie lada, umieć sobie tak ułożyć, tak zaplanować życie, by w nim wszystko pomieścić. A to właśnie była umiejętność Kuby. Jego maksyma brzmiała: »Co roku jakieś osiągnięcie«.

W roku 1937 Klub Wysokogórski planował drugą wyprawę w Kaukaz. Kierownikiem tej wyprawy wyznaczono Bujaka, w uznaniu jego wszechstronnych dla tego celu kompetencyj. Niestety, wyprawa nie doszła do skutku.

Jeszcze jedną umiejętnością Kuby była fotografia. Prześliczne zdjęcia jego roboty, znakomite panoramy Kaukazu, fotografie tatrzańskie i alpejskie, a wreszcie himalajskie, zdobią zeszyty Taternika, różne wydawnictwa zagraniczne i zdobiły spalony, na nieszczęście, w Powstaniu Warszawskim album Klubu. Fotografij tych i przezroczy używał też Kuba do ilustrowania swych licznych, bardzo ciekawych odczytów i prelekcyj, wygłaszanych w kraju i za granicą.

Rok 1939. Wyprawa w Himalaje. Nareszcie! Któż bardziej, niż Kuba nadawał się na członka takiej wyprawy. Jego walory fizyczne i jego nieporównane zalety duchowe, jego charakter kwalifikował go w pierwszym rzędzie spośród członków Klubu Wysokogórskiego na himalaistę.

Wyprawa pojechała, i tu, u stóp obleganego Nanda Devi, los ciężko doświadczał biednego Kubę: zapadł poważnie na zdrowiu, i w czasie, gdy koledzy jego przypuszczali ataki szczytowe, on leżał w namiocie w bazie, chorując. Na szczęście wyszedł z choroby nadspodziewanie prędko, i jeszcze słaby ciałem, ale silny duchem przyłączył się do akcji. Warto przytoczyć tu niektóre z jego zapisków osobistych, robionych wyłącznie dla siebie samego, w czasie choroby i potem. Malują one najlepiej świetlany charakter Jakuba.

»14. VI. 39. Ja czuję się słabo... ale kiedy pokazuje się, że Akar nie może iść z powodu chrypki, a Siam uważa, że... trzeba dzień odpocząć — deklaruję gotowość pójścia.«

»21. VI. 39. ...chętnie wziąłbym udział w wejściu na szczyt, ale jeśli tamci zdążą wejść przed niepogodą — także będę w stu procentach zadowolony.«

»28. VI. 39. Daj Boże, aby wyżej było bez mgły i żeby tamci zrobili (szczyt)... Dziś powinni zaludnić nareszcie obóz V, a jutro — — . Szkoda, że mnie nie ma w górze. Ale pojutrze powinienem tam być,... żeby pomóc likwidować.«

To jest Człowiek! Nie ambicja osobista, nie nadzieja przyszłej sławy własnej — tylko jeden wielki cel: zadanie Wyprawy; jej trzeba wszystko podporządkować, dla jej dobra co trzeba — poświęcić, jej dobrem kierować się we wszystkich najdrobniejszych bodaj poczynaniach, a nawet myślach.

A dalej! Wiemy, dobrze przecież wiemy, jak na wszystkich wyprawach zdarzają się tarcia i kwasy, jak trudno to opanować, jak mało kto stara się opanować to podrażnienie, występujące często na większych wysokościach. I znów krótka notatka: »30. V. 39. Zdaje mi się — że jedną z moich zalet w zespole jest umiejętność godzenia ludzi, którzy się na siebie boczą, i boję się, że będzie źle, jeśli tych dwóch pryncypialistów... nie będzie miało tego bufora« (wskutek choroby Bujaka).

I nigdy chyba los nie okazał się sprawiedliwszy, niż wówczas, gdy stało się, że jednak Bujak zdobył Nanda Devi East. A jego własna o tym notatka: »Więc to już szczyt!... wstyd powiedzieć — beczę — ze wzruszenia, z radości — że jednak się udało, że spełniły się marzenia i zamysły blisko dziesięciu lat.«

To był wspaniały, szczytowy moment osiągnięć alpinistycznych Jakuba Bujaka. Zdobywszy, wspólnie z Klarnerem, polski rekord wysokości, zostaje przyjęty do Alpine Clubu, jako jedyny dotąd Polak. Wygłasza liczne odczyty o Polskiej Wyprawie Himalajskiej, w Indiach i w Anglii, pisze artykuły w zagranicznych pismach, zawsze na temat osiągnięć Wyprawy, pomijając swoją w niej rolę.

Prawie równocześnie z zakończeniem Wyprawy Himalajskiej wybucha wojna. Kuba zdążył jeszcze dojechać do kraju, ale nie zdołał już zobaczyć się z żoną i dwojgiem dzieci. Wydostawszy się znów za granicę, najpierw do Francji, potem do Anglii, pracuje w lotnictwie jako mechanik.

Godzi się wspomnieć, że w swej pracy zawodowej Bujak zawsze i wszędzie zbierał odznaczenia, pochwały i nagrody.

Znamienną rzeczą jest też, jak bardzo kochali go i liczyli się z jego zdaniem wszędzie i zawsze pracujący z nim robotnicy. Często zdarzało się, że przychodzili do niego po rady w sprawach zawodowych, a nawet rodzinnych, życiowych.

Wszystkie środowiska, wszyscy ludzie otaczający Bujaka mieli dla niego nieodmiennie uczucia czci, podziwu, gorącej sympatii i przywiązania.

Pod koniec wojny wyreklamowuje go firma Rolls Royce i zatrudnia w jego specjalności, silnikach odrzutowych. Zaraz po ukończeniu wojny Jakub robi starania o powrót do kraju, oczekując niecierpliwie na ostateczne załatwienie formalności.

Niestety, nie było mu sądzonym wrócić do Polski. Dnia 5 lipca 1945 r. zaginął w tajemniczy sposób w Kornwalii na wycieczce górskiej. Pomimo poszukiwań, nie znaleziono ani jego, ani żadnych śladów po nim.

Nasuwa się mimowolna analogia z Mallorym. Ten »rycerz bez skazy i trwogi« angielski — czyż ustępuje mu nasz Kuba? To samo umiłowanie gór, ta sama szlachetność i nieskazitelność charakteru, taż inteligencja i erudycja, ta miłość i cześć wśród kolegów — i wreszcie to samo tajemnicze zniknięcie! W Indiach nie wierzą w śmierć Mallory'ego, my nie możemy uwierzyć w śmierć naszego drogiego, kochanego Kuby.

I do Niego, do takich jak On, właśnie stosują się słynne słowa Younghusbanda: »Ci, których pragnieniem jest zmierzyć się z najwyższą górą świata, muszą nie tylko stać u szczytu swych sił fizycznych i posiadać wyrobienie górskie najwyższego stopnia, ale — co ważniejsza — musi ich ożywiać duch nieugięty, duch niezłomny a wytrwały i tak ambitny, by pchnąć ciało do krańcowego wysiłku, duch pełen takiego samozaparcia, by umieć odrzucić wszelką nadzieję sławy w imię nieopuszczenia towarzysza, lub ustąpienia mu miejsca, gdyby przez to cel miał być tym niechybniej osiągnięty.«

Zofia Radwańska-Paryska

Ważniejsze wyprawy górskie Jakuba Bujaka

Zestawił W. H. P.

W poniższym zestawieniu nie podano nazwisk towarzyszy Jakuba Bujaka w jego poszczególnych wyprawach (nazwiska te można znaleźć w rocznikach Taternika). Towarzyszami tymi byli: Stefan Bernadzikiewicz, Wincenty Birkenmajer, Maria Łomnicka-Bujakowa, Bolesław Chwaściński, Hanna Chwaścińska, Stanisław Groński, Adam Karpiński, Jan Kiełpiński, Janusz Klarner, Wiktor Ostrowski, Adam Sokołowski, Marian Sokołowski, Witold Wyszyński, Maciej Zajączkowski i inni.

Zestawienie niniejsze nie jest kompletne, zwłaszcza co do Alp i Tatr.

A. Norwegia.

Berak Open (ok. 1600 m). Wejście zimowe w 1931 r.
Galdhöpiggen (2468 m). Wejście zimowe w 1931 r.
Glittertind (2481 m). Wejście zimowe w 1931 r.
Snehetta (2301 m). Wejście zimowe w 1931 r.

B. Alpy.

Aiguille du Moine (3412 m) w grupie Mont Blanc. I przejście dolnej części pd.-zach. grani, 7 sierpnia 1932.
Aiguille du Moine. Wejście zwykłą drogą od pd., 8 sierpnia 1932.
Petite Aiguille de Talèfre (3606 m). Wejście na pierwszą turnię w zach. grani, 13 sierpnia 1932.
Col du Mont Mallet (3481 m). 16 sierpnia 1932.
Grande Rocheuse (4102 m). IV wejście od pd. i zejście na Col de la Grande Rocheuse (4051 m), 18 sierpnia 1932.
Aiguille Verte (4121 m). Wejście wsch. granią, zejście najpierw pd. granią, a później drogą Whympera, 19-20 sierpnia 1932.
Kitzsteinhorn (3202 m). 27 lipca 1934.
Grosses Wiesbachhorn (3570 m). Wejście i zejście przez Kaindlgrat, 27 lipca 1934.
Hohe Riffl (3346 m). Wejście od Toten Kopf, zejście przez Riffl Tor, 30 lipca 1934.
Griesskogel (3065 m). W r. 1934.
Grossglockner (3798 m). Wejście zwykłą drogą, 5 sierpnia 1934.
Romariswandkopf (3508 m). W roku 1934.
Grossvenediger (3660 m). W roku 1934.

C. Tatry.

Zimowe przejście graniami od Walentkowej po Zawrat, r. 1937/38.
Młynarz. I wejście zimowe wprost od pd. z nad Czeskiego Stawu, 11 kwietnia 1936.
Lodowy Szczyt. I wejście zimowe wprost z Doliny Suchej, r. 1938/39.
Durna Przełęcz (I wejście zimowe z Doliny Dzikiej) — Mały Durny Szczyt (III wejście zimowe), 1 kwietnia 1934.

D. Kaukaz.

Burdżula (4358 m). I wejście pn. ścianą na pn.-wsch. grań i I wejście tą granią na szczyt, zejście drogą Selli (ogółem III wejście na Burdżulę i I trawersowanie), 16-22 lipca 1935.
Saudor-Choch (ok. 4100 m). II wejście (I w. od zach.), 26-27 lipca 1935.
Dychtau (5198 m). Próba wejścia (do wysokości ok. 4850 m), 11-13 sierpnia 1935.
Baszcha-Auz-Baszi (4452 m). III wejście (zach. ścianą i pn. granią, prawdopodobnie nową drogą, zejście tą samą drogą), 14-15 sierpnia 1935.
Szchara (5184 m). V wejście na główny wierzchołek (wejście i zejście drogą Cockina z nowym wariantem), 17-20 sierpnia 1935.
Przełęcz Canner (4000 m). Wejście, 6 sierpnia 1935.

E. Himalaje.

Nanda Devi East (7430 m). I wejście, 2 lipca 1939.
Tirsuli (7150 m). Próba wejścia (do wysokości 6400 m), 16 lipca 1939.
Nitaltaur (6200 m). Próba wejścia (do wysokości ok. 5900 m), 27-28 lipca 1939.

Bibliografia pism górskich Jakuba Bujaka

Zestawił W. H. P.

Na nartach przez Norwegię. Lwów 1932. Stron 64 + ilustr.
Aiguille Verte. — Tat. 17 (1933), 1-5.
Śmiertelna jazda. Wspomnienie uczestnika polskiej wyprawy alpejskiej. — Ilustracja Polska, Poznań, 22 stycznia 1933.
Polska wyprawa w Kaukaz. — Tat. 19 (1935), 192-194.
Polska wyprawa wysokogórska w Kaukaz. I. Alpinistyczny podbój Kaukazu. — Gazeta Polska, Warszawa, 15. IX. 1935.
Polska wyprawa wysokogórska w Kaukaz. X. Biwak. — Gazeta Polska, Warszawa, 1. X. 1935.
Polska wyprawa wysokogórska w Kaukaz. XVII. Szchara. — Gazeta Polska, Warszawa, 22. X. 1935.
Polska wyprawa wysokogórska w Kaukaz. XVIII. Szchara (dokończenie). — Gazeta Polska, Warszawa, 23. X. 1935.
Kronika Wyprawy (w Kaukaz). — Tat. 20 (1936), 69-73.
Szchara. — Tat. 20 (1936), 80-83.
Uwagi historyczno-topograficzne (o Kaukazie). — Tat. 20 (1936), 87-95.
Sezon alpinistyczny 1936 r. w Kaukazie. — Tat. 21 (1936/37), 13-15.
Durna Przełęcz — Mały Durny Szczyt (itinerarium). — Tat. 21 (1936/37), 76-77. (Wspólnie z M. Sokołowskim i M. Zajączkowskim).
W drodze ku górom (o Wyprawie Himalajskiej). — Polska Zbrojna, Warszawa, 1 sierpnia 1939.
(Tytuł nieznany: o katastrofie na Tirsuli). — W polskiej prasie, 21 sierpnia 1939.
(Tytuł nieznany: o Wyprawie Himalajskiej). — Times of India, r. 1939.
Première ascension de la Nanda Devi Orientale (7434 m) par la première Expédition Polonaise à l'Himalaya (avril-août 1939). — La Montagne, 1940, 1-4.
The Polish Ascent of Nanda Devi East, 1939. — Himalayan Journal, 1940, 65-80 + mapka i fotografie.
The Polish Ascent of Nanda Devi, East Peak, 1939. — Alpine Journal, 1941, 31-45. (Wspólnie z S. B. Blake).
W służbie Bogini Nanda. — Tat. 26 (1942), nr 1-2, s. 2-8.
Łaska i niełaska Bogini Nanda. — Tat. 26 (1942), nr 1-2, s. 8-14.
Idziemy do szczytu. — Tat. 26 (1942), nr 1-2, s. 14-20.
Wspomnienie o śp. inż. Adamie Karpińskim. — Jednodniówka Lotnictwa Polskiego w Anglii, w czasie wojny.
Wspomnienie o śp. inż. Adamie Karpińskim. — Poradnik dla Pracowników Świetlic Żołnierskich, wydawnictwo Polskiej Y.M.C.A. w Wielkiej Brytanii, Londyn, maj 1943, nr 4 (33).
Polish Himalayan Expedition. Glasgow 1944. Stron 16, ilustr.
The Carpathians and the Tatra. — Alpine Journal, 1944, 360-372.
My Highest. — Alpine Journal (rok nieznany).
Nanda Devi East. — Tat. 31 (1949), 2-15.

Powyższe zestawienie pism górskich Jakuba Bujaka niewątpliwie nie jest pełne. Poza tym ogłosił on szereg prac fachowych w wydawnictwie Stowarzyszenia Inżynierów Mechaników Polskich etc.

Szerpowie

Szkice

Olbrzymy himalajskie, wyrastające wyżej siedmiu czy ośmiu tysięcy metrów ponad poziom morza, bronią się przeciw wdzierającym się intruzom specyficznymi warunkami wysokościowymi nieokiełznanej natury, oraz trudnościami technicznymi skały i lodu.

Z nagromadzenia tych przeciwności wynika, że zdobywanie ich przestaje być atakiem na szczyt, a zamienia się w długotrwałe oblężenie góry, związane z zakładaniem całego łańcucha obozów, wymagających wyposażenia w sprzęt oraz stałego zaopatrywania w żywność.

Główny ciężar tej podstawowej funkcji transportowej spada na barki tragarzy wysokogórskich. Niezwykle ciężka praca dźwigania ładunków na wielkich wysokościach, w rozrzedzonym powietrzu, nie dająca się porównać z noszeniem największych nawet ciężarów na mniejszych wysokościach, połączona jest z wystawieniem na największe trudy — leżące niejednokrotnie na pograniczu walki o życie. Pracy tej nie ożywia przy tym tak ważny dla alpinisty czynnik ambicji — szansa zdobycia szczytu nieomal z reguły nie będzie dana tragarzowi wysokogórskiemu.

Przyczyna niepowodzeń wielu wypraw himalajskich leży w załamaniu się tragarzy. Przez wiele lat rekrutowano ich z wszelkich możliwych szczepów. Wszystkie te próby dawały niepomyślne rezultaty. Jedni załamywali się na skutek trudów, inni na tle wierzeń i przesądów o podłożu religijnym. Dopiero wyprawa everestowska z 1929 r. odkryła talenty górskie szczepu Szerpów. Odtąd stali się oni nieodłącznymi towarzyszami wszystkich wypraw himalajskich[1]).

Szerpa jest to niewielki szczep góralski, zamieszkujący wschodni skraj Nepalu na pograniczu indyjsko-tybetańskim. Jak wszystkie plemiona pograniczne nie posiadają oni zdecydowanego oblicza rasowego. Przeważnie reprezentują typ mongolski, lecz również często mają rysy aryjskie.

Kilkunastoletnia tradycja wypraw stworzyła wśród Szerpów szczególne zwyczaje. Branie udziału w wielkich zdobywczych wyprawach, zwłaszcza połączone z osiągnięciem możliwie najwyższego obozu, daje tytuł do zażywania w szczepie szczególnej powagi.

Pobudka ta nie byłaby wystarczającym dopingiem dla narażania się na niezwykłe trudy wypraw. Bojowych Szerpów, przezywanych przez Anglików »Tygrysami«, znamionuje silnie rozwinięta żyłka sportowa, zamiłowanie do ryzyka i znajdowanie przyjemności w pokonywaniu trudów i przeciwności. Ich psychika i ich zapał tworzą wartości, za które słusznie należy im się miano, nadawane przez niektórych alpinistów: towarzyszy-tragarzy.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

W czasie przygotowań do wymarszu z Almory rozdaliśmy pomiędzy Szerpów przywiezione dla nich ubrania. Najbardziej podobają się wojskowe mundury sukienne i białe wojłokowe serdaki. Mimo panują-

---

[1]) Poza Szerpami również sąsiadujący z nimi po stronie tybetańskiej szczep Bhutia wykazał się wielkimi zaletami tragarzy wysokogórskich.

cego upału, przy którym ludność miejscowa chodzi półnago, Szerpowie stroją się zaraz w swetry i mundury, nakładając na nie serdaki. Po czym korzystają z pierwszej sposobności opuszczenia naszego *bungalow*, żeby zwartą szóstką przedefilować przez całe miasteczko, budząc podziw mieszkańców dla wspaniałego i »egzotycznego« stroju »polskiego wojska kolonialnego«. Wracają do *bungalow* spoceni jak rude myszy, ale jednocześnie rozpromienieni osiągniętym efektem.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Podejście jest długie, zapadający się śnieg zwiększa jego uciążliwość. Szerpowie obładowani ciężarami wznoszą się po stromym spadku powolnym, miarowym krokiem. Wielkie wory ładunkowe, spoczywające na plecach, a podwieszone na postronkach przez głowę, utrudniają im zachowanie równowagi. Przy każdym kroku wydają oni głośne, rytmiczne jęki. Jeden tylko idzie, nie wydając głosu. Wbrew pozorom, ten właśnie jest wyczerpany, a nie ci, którzy jęcząc dają wyraz swemu dobremu samopoczuciu.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Pierwszy transport, złożony z sześciu tragarzy, doprowadziliśmy na Przełęcz Longstaffa. Wszyscy jesteśmy jeszcze niezaaklimatyzowani. Podejście to zmęczyło nas mocno. Najbardziej wyczerpany i cierpiący jest Bocktey. W odległości kilkunastu kroków od namiotów rysuje się przez gęstwę otaczających nas chmur jego sylwetka. Leży na śniegu, rozebrany do pasa. Wieczorny mróz nie chłodzi go dostatecznie, więc przyjaciel Nima okłada mu głowę i plecy śniegiem. Gdy *sahib* zbliża się, nadrabia on miną. Bocktey podlega silnie wpływowi wysokości, w dodatku przy pierwszej wspinaczce okazał się zupełnie surowy, więc kiedy wyruszamy wraz z trzema tragarzami w górę, poruczamy mu spełnianie drugorzędnej funkcji noszenia ciężarów między Obozem I i II. Ale Bocktey miał ambicję i odwagę, miał także serce do gór. Po sześciu tygodniach działań był najlepszym spośród Szerpów. Pewny we wspinaczce zarówno w skale jak w lodzie, wytrzymały, po największym nawet wysiłku chętny do nowej pracy, wesoły, z wiecznie roześmianą gębą, uczynny, odważny — wspaniały był z niego towarzysz.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Nie tylko w wojsku bywają markieranci. Wśród Szerpów mieliśmy też dwóch i to wybitnych: Paldina i Kipę. Zdolniejszym spośród nich był niewątpliwie Paldin — wstyd przyznać się, że mianowaliśmy go »od pierwszego wejrzenia« wodzem naszych Szerpów. Różnych używał fortelów, w rezultacie których udało mu się nie przekroczyć wysokości Obozu II. Paldin — energiczny i władczy w dolinach — potulniał na widok ściany »żandarma« lub spiętrzenia lodowca. Mimo braku zdolności aktorskich przystępował natychmiast do odgrywania przed nami obrazu najokropniejszych boleści, dręczących go i uniemożliwiających dalsze posuwanie się naprzód. Rozkaz zejścia na dół działał na jego cierpienia kojąco. Po chwili już schodził krokiem rześkim i z miną rozpromienioną.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dawa Tsering brał udział już w kilku wyprawach. Ma piękne z nich świadectwa, będące jego najwyższą dumą. Dawa był najbardziej doświadczonym z naszych Szerpów; posiadał najlepszą technikę, wielką pewność stąpnięcia i jeszcze większą pewność co do swojej wyższości

w stosunku do innych Szerpów. Był on »primabaleriną«. Zapisał się on w dziejach naszej wyprawy specjalnie mocno dzięki dwom wypadkom. Dwukrotnie zdarzyło się, że pierwszy z idących oberwał się z nawisem na pionowej niemal ścianie. W obu wypadkach asekuracja była lotna, a drugim na linie był Dawa. Obydwa razy utrzymał on z ręki prostopadle spadającego, zachowując przy tym całkowity spokój. Pamięta to dobrze jego przyjaciel Indżung, pamiętam to równie dobrze ja.

Janusz Klarner

Pierwsza Polska Wyprawa Himalajska

(Sprawozdanie nieoficjalne)

I. Cel. Organizacja.

Myśl zorganizowania wyprawy w Himalaje nurtowała wśród taterników od lat kilkunastu. Przybrała ona realne kształty w latach 1935/36, kiedy w wyniku dyskusji, zainicjowanych na terenie Klubu Wysokogórskiego PTT przez Adama Karpińskiego, został skonkretyzowany program wypraw himalajskich.

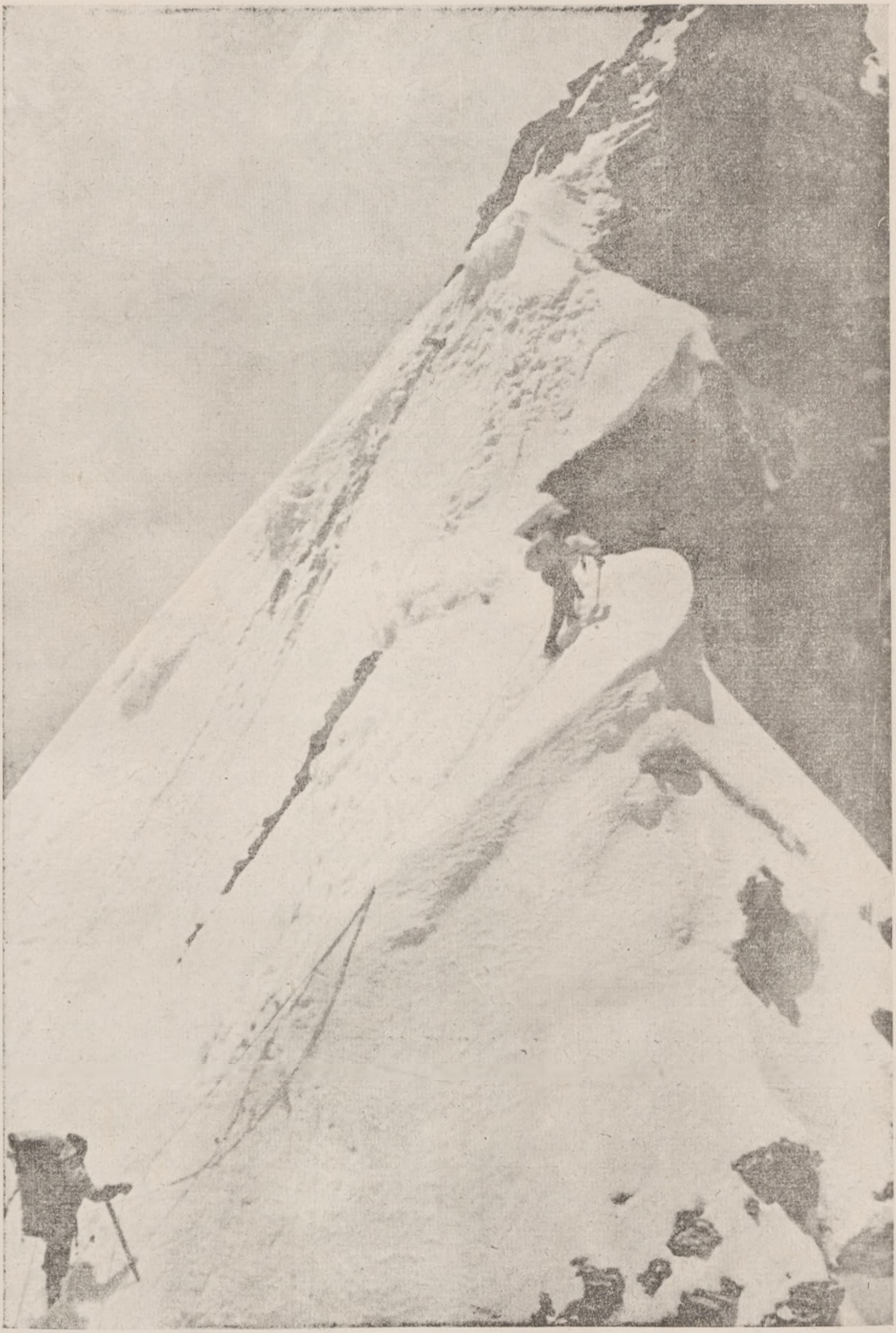
Celem ostatecznym programu był atak na jeden z najwyższych szczytów, przekraczających 8.000 metrów, z których żaden dotąd nie został zdobyty. Podjęcie tego rodzaju wielkiej próby, przedstawiającej nawet dla najbardziej doświadczonych himalaistów minimalne szanse powodzenia, wymagało uprzedniego przeprowadzenia co najmniej dwóch wypraw o charakterze przygotowawczym.

Wyprawa roku 1939 miała być pierwszym krokiem w tym kierunku. Zadania jej nie były zdobywcze. Celem wyprawy było zebranie doświadczeń z zakresu organizacji wypraw himalajskich i prowadzenia akcji alpinistycznej w warunkach odbiegających całkowicie od spotykanych w Alpach lub innych górach egzotyku, oraz nawiązanie kontaktu z władzami indyjskimi i Himalayan Club'em.



Członkowie Pierwszej Polskiej Wyprawy Himalajskiej, w bazie pod Nanda Devi East. Od lewej: Janusz Klarner, Adam Karpiński, Jakub Bujak, Stefan Bernadzikiewicz.

Wybór terenu padł na Himalaje Garhwalu. Przedmiotem ataku miał być szczyt wschodni Nanda Devi (7430 m), oraz szczyty niezbadanych grup górskich Pan Chuli (do 6900 m), lub otoczenia lodowca Milam (4 szczyty powyżej 7000 m). Wybór ten okazał się szczęśliwy — cele były dla małej, czteroosobowej wyprawy trudne, a jednocześnie osiągalne.



Na grani Nanda Devi East: polski alpinista z tragarzem.

Fot. Polskiej Wyprawy Himalajskiej.

Prace przygotowawcze przeprowadził Komitet Organizacyjny Polskiej Wyprawy w Himalaje pod przewodnictwem Aleksandra Znamięckiego, utworzony przez Klub Wysokogórski w lecie 1938 r.

Zezwolenie władz angielskich na przeprowadzenie wyprawy nadeszło w ostatnich dniach lutego. Spóźniony termin stawiał jasno dwie ewentualności: przeprowadzenie działań górskich w niekorzystnej porze monsunowej, lub przesunięcie planów na rok następny. Zdecydowano przystąpić natychmiast do organizacji wyprawy.

Na podstawie opracowanych uprzednio planów działania, rysunków ekwipunku i kosztorysów przeprowadzono w przeciągu siedmiu tygodni wielką pracę: wykonania ekwipunku, dokonania zakupów, nawiązania kontaktu z odpowiednimi czynnikami w Indiach, oraz uzupełnienia gromadzonego od dwóch lat przez PTT Funduszu Himalajskiego.

W skład wyprawy weszli: inż. Stefan Bernadzikiewicz, dr inż. Jakub Bujak, inż. Adam Karpiński oraz inż. Janusz Klarner. Podział funkcji ustalono następująco: kierownik wyprawy: A. Karpiński; prasa, zdjęcia kinematograficzne, żywność: S. Bernadzikiewicz; skarbnik i sekretarz: J. Bujak; transporty: J. Klarner. Przeprowadzenia badań meteorologicznych oraz promieniowania podjął się A. Karpiński, prowadzenia zaś zbiorów botanicznych i entomologicznych — J. Bujak.

Himalayan Club przydzielił do wyprawy - jako oficera łącznikowego i doktora — majora J. R. Foya, którego troskliwości i opiece, zarówno w sprawach lekarskich, jak i w załatwianiu stosunków z ludnością tubylczą wyprawa zawdzięcza wiele.

Wydatki Wyprawy
(w złotych przedwojennych)

ekwipunek	ok. 9.000	zł
bilety kolejowe	„ 1.500	„
„ okrętowe	„ 4.000	„
transport bagażu	„ 1.500	„
koszt utrzymania w czasie podróży	„ 2.000	„
żywność dla alpinistów i tragarzy	„ 3.500	„
kulisi — żołd	„ 3.500	„
tragarze wysokogórscy — żołd, podróż	„ 1.500	„
różne	„ 4.000	„
razem	ok. 30.500	zł

II. Kronika Wyprawy.

1. Podróż Warszawa — Bombaj — Almora.

Członkowie wyprawy odbyli podróż w dwóch grupach. Pierwszy wyrusza z Warszawy Karpiński w dniu 10 kwietnia. Podróż morską z Triestu do Bombaju odbywa III klasą na statku Conte Rosso (Lloyd Triestino). Do Bombaju przybywa 24 kwietnia, gdzie przeprowadza zakupy żywności na cały okres wyprawy i nawiązuje kontakt z instytucjami geograficznymi i meteorologicznymi oraz z prasą.

3 maja przyjeżdża Karpiński do Almory (1800 m npm.), miasteczka podgórskiego, będącego punktem wyjścia wyprawy. Przeprowadza on tutaj wszystkie prace przygotowawcze i organizacyjne, związane z wyruszeniem karawany.

7 maja przybywa do Almory mjr dr J. R. Foy, który został przydzielony przez Himalayan Club, jako oficer łącznikowy wyprawy, wraz z S. Blake'iem, który wobec poparcia przez tenże klub weźmie udział w wyprawie jako »turysta w celach krajoznawczych«.

Druga grupa: Bernadzikiewicz, Bujak i Klarner wyjeżdża z Warszawy 23 kwietnia. W Wiedniu przeprowadzono szereg zakupów sprzętu górskiego. Podróż z Genui do Bombaju odbyto na statku M. S. Victoria (Lloyd Triestino) II klasą wobec braku miejsca w III klasie.

8 i 9 maja. Pobyt w Bombaju wykorzystano dla przeprowadzenia uzupełniających zakupów.

Zarówno Karpiński, jak i pozostali członkowie wyprawy przez cały czas pobytu w Bombaju pozostawali pod troskliwą opieką konsulatu z konsulem dr Banasińskim na czele.

Po dwudniowej podróży koleją, zakończonej ośmiogodzinną jazdą autobusem, druga partia uczestników osiąga 11 maja Almorę.

2. Marsz dojściowy Almora — baza Nanda Devi.

11. V. przybywa do Almory 6 tragarzy wysokogórskich, zakontraktowanych dla wyprawy przez Himalayan Club w Dardżilingu. Czterech z nich to Szerpowie: Paldin, Kipa, Bocktey i Nima, oraz dwóch ze szczepu Bhutia: Dawa Tsering i Indżung. Paldin, Dawa i Indżung brali już udział w wyprawach. Pozostali są nowicjuszami.

12. i 13. V. Przeprowadzenie przygotowań końcowych, związanych z zakupem żywności dla tragarzy na marsz dojściowy, uformowaniem ładunków, przygotowaniem karawany kulisów, oraz z szeregiem prac organizacyjnych.

14. V. — 25. V. Marsz z Almory przez Bageshwar, Tejam, Mansiari i Martoli do górnego piętra doliny Lwanl odbyto w 12 etapach o długości 15 do 25 km przy różnicy wzniesień do 1000 m. Etapami marszu były: Takula, Bageshwar, Kapkot, Sama, Tejam, Girgaon, Mansiari, Lilam, Baugdiar, Martoli, Narspanpatti, baza. Karawana składała się z 74 doskonałych zawodowych kulisów Dootiali, idących pod wodzą *sirdara* (zaangażowanych za pośrednictwem agencji transportowej). Kulisi nieśli ładunki do 36 kg, biorąc wynagrodzenie 10 anna dziennie (1 rupia = 16 anna = 8 zł przedwojennych). Poza najwyższą niezamieszkałą strefą górską o wyżywienie swoje dbali kulisi sami. Cały transport przeprowadzono bez zmiany kulisów, co jest bardzo pożądane, a rzadko tylko możliwe.

Na przestrzeni Almora-Martoli marsz odbywał się wygodną ścieżką górską, będącą szlakiem karawan złożonych z kóz, owiec lub rzadziej kulisów, przebiegającą poprzez szereg grzbietów górskich na wysokości 1000 do 3200 m npm. Dwa ostatnie etapy, Martoli — Narspanpatti — dolina Lwanl, odbyto po ginącej miejscami ścieżce pasterskiej, stanowiącej dla obładowanych kulisów znaczną trudność.

Wielkość poszczególnych etapów marszu na trasie karawanowej jest uświęcona tradycją — na zmianę ich kulisi się nieomal nigdy nie zgodzą. Punkty noclegowe są ściśle określone. Pięciokrotnie nocowano w dak-bungalow (schronisko-zajazd), a właściwie, ze względu na wysoką temperaturę, przy nich. W pozostałych wypadkach rozbijano na noc obóz. Kulisi z reguły nocują pod gołym niebem, mimo braku wszelkiego ekwipunku.

Temperatura powietrza wahała się w czasie marszu między 35^0 C a zerem, stwarzając tym samym niezwykle ciężkie warunki dla transportu i obozowania. Pogoda poza dwiema krótkimi ulewami była całkowicie bezchmurna.



Baza Pierwszej Polskiej Wyprawy Himalajskiej pod Nanda Devi East.

Po siódmym etapie marszu w Mansiari pozostawiono część ładunków żywności, przeznaczonych do prowadzenia zamierzonej akcji górskiej w grupie Pan Chuli.

Wywiad miejsca na bazę przeprowadzili Karpiński i Klarner, przyśpieszając marsz dwóch ostatnich etapów. Bazę założono na wysokości 4300 m w górnym piętrze doliny

Lwanl u wschodnich stoków Nanda Devi. Kulisów odprawiono po założeniu bazy z powrotem, pozostawiając czasowo dziesięciu dla przeprowadzenia transportów do Obozu I.

3. Nanda Devi — okres przygotowawczy.

Przedmiotem pierwszego ataku wyprawy zgodnie z jej założeniem ma być wierzchołek wschodni Nanda Devi (7430 m).

Wybór drogi zdecydowano na podstawie obserwacji przeprowadzonych przy pomocy 15-krotnej lornety: z górnego piętra doliny Lwanl na Przełęcz Longstaffa żebrem skalnym, ograniczającym żleb przełęczowy od południa; z przełęczy na szczyt granią południową.

26. V. Bernadzikiewicz prowadzi pierwszy transport w górę przy udziale 6 kulisów i Bockteya, Kipy i Nimy. Na wysokości 4900 m w bok od wylotu żlebu przełęczowego zakłada on Obóz I. Po południu Paldin i Indżung zanoszą dwa dalsze ładunki do Obozu I. Wszyscy członkowie wyprawy podlegają lekkim dolegliwościom wysokościowym.

27. V. Zatarg z kulisami — zostają oni odprawieni. Karpiński, Bujak i Klarner idą dalej i przeprowadzają wraz z 6 Szerpami transport do Obozu I. Karpiński i Klarner idą dalej na wywiad szlaku na przełęcz. Do wysokości 5100 m towarzyszą im Bocktey i Kipa. Biwak zakładają w stoku żebra ograniczającego żleb, na wysokości 5200 m.

28. V. Karpiński i Klarner podchodząc stokiem żebra pokonują trudną ściankę lodową, którą ubezpieczają, po czym grzbietem żebra osiągają po krótkim trawersie Przełęcz Longstaffa (5910 m), w południowej grani Nanda Devi East, oddzielającej dolinę Lwanl od Basenu Nanda Devi. Widok grani w kierunku szczytu przedstawia się groźnie. Klarner cierpi na silny ból głowy. Tą samą drogą wracają do bazy. Sześciu Szerpów zanosi ładunki do Obozu I. Bujak choruje na tle żołądkowym; 38,6° C. Do pomocy w bazie przyjęto kulisa, Gobin Singa, przezwanego przez Szerpów »Martoli«.

29. V. Bocktey, Indżung, Kipa i Martoli zanoszą ładunki do Obozu I, który jest już dostatecznie zaopatrzony. Bujak jest poważnie chory, 39,5° C — paratyfus, dyzenteria tropikalna? Dr Foy przewiduje konieczność transportu do szpitala. Pozostali alpiniści — objawy chorobowe na tle wysokościowym.

30. V. Dzień odpoczynkowy. Bernadzikiewicz przynosi z niższej partii doliny drągi dla transportu Bujaka do szpitala (39,3° C). Paldin wskutek złośliwego wrzodu na nodze odpada na dłuższy czas z akcji.

31. V. Stan zdrowia Bujaka ulega znacznej poprawie. Doktor przewiduje powrót do sił co najmniej za dwa tygodnie. Karpiński, Bernadzikiewicz, Klarner, 5 Szerpów i Martoli idą do Obozu I, gdzie nocują.

1. VI. Karawana dziewięciu posuwa się w górę. W trakcie marszu Karpiński zmienia trasę szlaku na przełęcz, decydując się na podejście stromym żlebem przełęczowym. Podejście ciężkie. Silna operacja słoneczna. Wszyscy odczuwają bardzo brak aklimatyzacji i różnego rodzaju dolegliwości. Najbardziej cierpi Bernadzikiewicz. Szerpowie niosą ładunki po 18 kg, alpiniści po 11 kg. Przełęcz osiągają po 8 godzinach marszu, prowadzonego ze znacznym wysiłkiem (1000 m różnicy poziomów). Karpiński i Klarner rozbijają obóz i nocują na przełęczy. Bernadzikiewicz z Szerpami schodzi do Obozu I. Na przełęczy o godz. 19: −1° C; o godz. 23: −12° C.

2. VI. Karpiński i Klarner — ostre dolegliwości. Wychodzą oni z przełęczy o 10,30 na wywiad drogi przez turnie sterczące pionowo nieomal ponad przełęczą. Turnię I pokonują trudną zalodzoną rynną we wsch. ścianie turni, częściowo zaś tąż ścianą. Z turni I na II przechodzą ostrą śnieżną granią. Stąd powrót na przełęcz. Bocktey, Indżung i Nima wychodzą z ładunkami z Obozu I w górę. W połowie wysokości żlebu nocują. Pozostali — dzień odpoczynkowy w Obozie I.

3. VI. Karpiński i Klarner — bez sił; dzień odpoczynkowy. Bocktey, Indżung i Nima kończą podejście żlebem, dochodzą na przełęcz. Bernadzikiewicz wraz z Dawą, Kipą i Martoli podchodzi z Obozu I do II. Bocktey i Martoli schodzą z powrotem do Obozu I. Widoczne są pierwsze objawy nadciągającego monsunu.

4. VI. Bernadzikiewicz i Klarner wchodzą na turnię I. Bernadzikiewicz wraca z Indżungiem na przełęcz, zakładając w rynnie poręczówkę. Klarner i Dawa idą na wywiad grani, przechodzą turnię II i III oraz trudną ściankę Śnieżnej Kopy; ubezpieczają dwa lodowe uskoki w zejściu z turni II, po czym wracają na przełęcz. Karpiński choruje na żołądek. Bernadzikiewicz i Klarner mają silny ból głowy.

5. VI. Karpiński z Dawą idą na dwudniowy wywiad grani do stóp Wielkiego Uskoku. Po przejściu Śnieżnej Kopy pokonywają w dużym tempie trudności śnieżno-skalnej grani i zakładają po przejściu Śnieżnej Kopy biwak na wysokości ok. 6200 m. Bernadzikiewicz z Nimą ubezpieczają stałą liną podejście na turnię II. Bocktey i Martoli przynoszą na przełęcz dwa ładunki. Kipa i Martoli wyczerpani dolegliwościami wysokościo-

wymi wracają do bazy. Bernadzikiewicz i Klarner cierpią na niezwykle intensywny ból głowy.

6. VI. Karpiński i Dawa docierają nawisową granią do połowy drogi między biwakiem a Wielkim Uskokiem (6300 m). Śnieżyca z wiatrem zatrzymuje ich. Wracają do biwaku (ok. 6200 m). Klarner wraz z Bockteyem, Indżungiem i Nimą prowadzi z przełęczy pierwszy transport w górę, ubezpiecza poręczówką ściankę Śnieżnej Kopy. W czasie pokonywania ścianki w śnieżycy Nima załamuje się. Ładunki zostają złożone u stóp ścianki, następuje odwrót na przełęcz. Śnieżyca trwa całą noc — pierwszy atak monsunu.

7. VI. Karpiński z Dawą wraca na przełęcz. Karpiński jest wyczerpany stale trwającymi dolegliwościami żołądkowymi i silną chrypą. Wobec nieustannej śnieżycy i złej kondycji fizycznej schodzą wszyscy na trzydniowy odpoczynek do bazy. W okolicy Obozu I spotykają podchodzącego z bazy rekonwalescenta Bujaka wraz z Paldinem.

8, 9, 10. VI. Trzydniowy odpoczynek w bazie przy ustalonej niepogodzie monsunowej. Śnieg na przemian z deszczem pada bez przerwy. Wszyscy dochodzą do formy. Karpiński leczy się bez rezultatu.

4. Nanda Devi — atak.

11. VI. Bernadzikiewicz, Bujak i Klarner oraz 6 Szerpów podchodzą do Obozu I.

12. VI. Ta sama ekipa podchodzi żlebem do Obozu II. Żleb zryty jest rynnami lawinowymi, którymi schodzą obsuwy śnieżne. W głębokim świeżym śniegu, przy prażącym słońcu i dużym obciążeniu, podejście jest ciężkie. Wyraźna poprawa formy wszystkich. Karpiński z Foyem podchodzi do Obozu I. Foy wraca do bazy.

13. VI. Bernadzikiewicz, Bujak i Klarner z Bockteyem, Dawą i Indżungiem prowadzą transport w kierunku Obozu III. W świeżym puchu zakładanie śladu jest bardzo uciążliwe. Nawisy. Śnieżyca zacina z wiatrem. Asekuracja lotna. Po zejściu z turni II Klarner obrywa się z mostem śnieżnym. Zawisa na poręczówce. U stóp Śnieżnej Kopy składają ładunki (6 godzin). Powrót. Karpiński podchodzi z Obozu I na przełęcz bez formy, z chrypką. Bernadzikiewicz ma ból głowy. Kipa, Nima i Paldin schodzą do Obozu I po ładunki.

14. VI. Bernadzikiewicz, Klarner i Dawa idą z ładunkami w górę, w celu założenia Obozu III. Przetarty szlak — dobre tempo. Do ścianki Śnieżnej Kopy dochodzą w 2 godz. 20 min. Ścianka zalodzona i pokryta śniegiem. Powyżej ścianki ciągnie się śnieżna grań. Olbrzymie nawisy. Wzdłuż krawędzi grani przebiega złośliwa szczelina lodowcowa. Mgła i chmury. Klarner obrywa się z nawisem, spada 12 m w pionie. Asekuracja lotna. Szarpnięcie utrzymuje Dawa. Lina — ósemka. Osiągają wierzchołek Śnieżnej Kopy. Brak miejsca na biwak. Schodzą 70 m poniżej. Biwak na wysokości ok. 6100 m. Klarner ma lekkie porażenie oczu. Kipa, Nima i Paldin przynoszą na przełęcz ładunki z Obozu I.

15. VI. Bernadzikiewicz, Klarner, Bocktey i Dawa zwijają biwak po licznych trudnościach obozowych o godz. 12. Podchodzą na Śnieżną Kopę, poniżej wierzchołka trawers po stronie Basenu Nanda Devi i zejście na przełączkę. Biwak. Karpiński, Bujak, Indżung i Nima przenoszą ładunki z przełęczy do miejsca poprzedniego biwaku. Klarner, Bocktey i Dawa schodzą po te ładunki i przenoszą je poza Śnieżną Kopę.

16. VI. Bernadzikiewicz, Klarner, Bocktey i Dawa wracają pod ściankę Śnieżnej Kopy i zabierają 6 ładunków. Na ściankę ładunki zostają wyciągnięte na linach. Dalej idą wszyscy z obciążeniem ok. 27 kg. Kipa i Paldin nie nadają się do akcji wysokogórskiej, schodzą z przełęczy do bazy.

17. VI. Bernadzikiewicz, Klarner, Bocktey i Dawa torują ślad w górę, niosąc 2½ ładunku. Grań skalno-śnieżna, poszarpana. Nawisy. Szczelina lodowcowa wzdłuż grani. Nieuleżały śnieg. Po drodze likwidują obóz założony przez Karpińskiego. Na wysokości 6250 m składają ładunki i wracają do biwaku. Karpiński, Bujak, Indżung i Nima podchodzą z przełęczy w górę, zakładają Obóz III na wysokości 6200 m, o 50 m powyżej biwaku.

18. VI. Karpiński i Bujak idą z Obozu III torować szlak w górę. Dochodzą śnieżną granią przetykaną skałami do wysokości 6300 m — wracają. Bernadzikiewicz, Klarner, Bocktey i Dawa z biwaku (6150 m) schodzą na przełęcz. Zabierają resztę ładunków, zanoszą je do biwaku. Pogoda: mgła i chmury. W południe silna operacja słoneczna przez mgłę. W nocy spadł śnieg.

19. VI. Karpiński i Bujak zakładają ślad pod Wielki Uskok. Grań trudna: Dwukrotnie obrywają się nawisy. Oba razy pozostają oni na krawędzi obrywu. Bernadzikiewicz, Klarner i 4 Szerpów likwidują biwak, przenoszą go do Obozu III, po czym z ładunkami doganiają szlakujących. Obóz IV zakładają na polu śnieżnym u stóp Wielkiego Uskoku na wysokości 6400 m. Karpiński i Klarner schodzą z Szerpami do Obozu III. W nocy spada znaczny opad śnieżny.

20. VI. Bernadzikiewicz i Bujak przeprowadzają wywiad Wielkiego Uskoku. Po przebyciu stoku śnieżnego pokonują prostopadły nieomal próg skalny, który ubezpieczają.

Po pokonaniu kilku ostrych bloków skalnych osiągają wysokość 6700 m — dwie trzecie Wielkiego Uskoku jest zrobione. Wracają do Obozu IV. Karpiński, Klarner i 4 Szerpów przenoszą ładunki z Obozu III do IV. Podejście w świeżym śniegu jest bardzo ciężkie. Karpiński, wyczerpany chrypą i dolegliwościami żołądkowymi, jest całkowicie bez formy. Bocktey i Nima, otrzymawszy polecenie powrotu do bazy, schodzą do Obozu III. Całą noc pada śnieg.

21. VI. Bernadzikiewicz, Klarner, Dawa i Indżung wyruszają z Obozu IV do ataku szczytowego. Szerpowie niosą po 14 kg, alpiniści po 7 kg. W świeżym śniegu, przy średnich trudnościach technicznych pokonują Wielki Uskok, po czym śnieżną nawisową granią osiągają 6930 m, gdzie postanawiają założyć Obóz V. W czasie pierwszych przygotowań do rozbicia obozu urywa się olbrzymi nawis wraz z Indżungiem, który spada w pionie 15 m. Asekuracja Dawy. Wobec skomplikowanego charakteru obrywu wydobywanie Indżunga trwa blisko pół godziny. Indżung doznał wstrząsu nerwowego i zewnętrznych obrażeń. Wskutek posiadania na miejscu jednego tylko namiotu, zachodzi konieczność sprowadzenia poszkodowanego na dół. Ładunki pozostają. Wszyscy schodzą do Obozu IV. Bocktey i Nima schodzą z Obozu III do bazy.



Na pd. grani Nanda Devi East.

22. VI. Bernadzikiewicz, Klarner i Dawa sprowadzają Indżunga z Obozu IV na przełęcz. Karpiński i Bujak — dzień odpoczynkowy w Obozie IV. Pogoda: chmurno, wiatr, przelotne opady śnieżne.

23. VI. Karpiński i Bujak ruszają ciężko obładowani do ataku szczytowego. Śnieżyca, wiatr i utrata sił załamują atak na wys. ok. 6750 m. Powracają do Obozu IV. Dawa sprowadza Indżunga z przełęczy do bazy. Otrzymują oni polecenie przysłania jak najszybszego Bocktey'a i Nimy, z zapasem żywności i benzyny, na których oczekują na przełęczy Bernadzikiewicz i Klarner. Pogoda zła.

24. VI. Karpiński i Bujak pozostają w Obozie IV. Bernadzikiewicz i Klarner oczekują na przełęczy na nadejście Szerpów. Bocktey, Kipa, Nima i Paldin przynoszą z bazy na przełęcz ładunki. Pogoda kiepska, opady, wiatr.

25. VI. Karpiński i Bujak schodzą z Obozu IV na przełęcz. Powód: zła pogoda, choroba Karpińskiego. Bernadzikiewicz, Klarner, Bocktey i Nima podchodzą z przełęczy do Obozu III. Cały dzień: śnieżyca, wiatr.

26. VI. Zła pogoda, silny wiatr zmusza Bernadzikiewicza i Klarnera do pozostania w Obozie III. Karpiński, schorowany, rezygnuje z udziału w akcji. Schodzi wraz z Ki-

pą i Paldinem do bazy, żeby przysłać Dawę jako towarzysza dla oczekującego na niego na przełęczy Bujaka.

27. VI. Bernadzikiewicz, Klarner, Nima i Bocktey pozostają w Obozie III. Rano śnieżyca, bardzo silny wiatr. Bujak oczekuje na przełęczy na Dawę. Dawa przychodzi na przełęcz z bazy, nabawiając się po drodze zapalenia oczu.

28. VI. Bernadzikiewicz, Klarner, Nima i Bocktey podchodzą z Obozu III do IV. Obóz ten znajdują całkowicie zasypany śniegiem. Bujak kuruje na przełęczy oczy Dawy.

29. VI. W nocy namioty Obozu IV zostają zasypane całkowicie śniegiem niesionym przez huraganowy wiatr. Zachodzi konieczność dwukrotnego odkopywania i przestawiania ich. Bernadzikiewicz i Klarner zmęczeni ciężką nocą, pozostają w Obozie IV. Bujak z Dawą podchodzi z przełęczy do Obozu IV.

30. VI. Bernadzikiewicz, Bujak, Klarner, Bocktey, Dawa i Nima idą z Obozu IV w górę. Alpiniści niosą po 9 kg, Szerpowie 2 ładunki po 14 kg. Ścięty śnieg ułatwia podejście. Silny wiatr. Mróz. Po drodze zabierają ładunki pozostawione na wysokości 6750



Obóz V na pd. grani Nanda Devi East.

i 6930 m. W wyższej partii grań nawisowa. Wysięg nawisów dochodzi do 15 m. Obóz V rozbijają na wysokości 7020 m. Bocktey i Nima wracają do Obozu IV. Godzina 19: -11^0 C.

1. VII. Grań w chmurach. Niezwykle silny wiatr zmusza będących w Obozie V do zrezygnowania z akcji. Bocktey i Nima pozostają w Obozie IV.

2. VII. Godz. 5 rano: bardzo silny wiatr, mróz -16^0 C; pogoda bezchmurna. Bernadzikiewicz, Bujak, Klarner i Dawa ruszają o siódmej do ataku szczytowego. Aż do stóp Środkowego Uskoku śnieżna nietrudna grań. Tutaj (ok. 7200 m) wyczerpany całkowicie Bernadzikiewicz rezygnuje z dalszego udziału w akcji. Schodzi on wraz z Dawą z powrotem do Obozu V. Silny wiatr i mróz trwa. Środkowy Uskok — trudne, gładkie zalodzone skały — pokonują Bujak i Klarner o godz. 13,30. Powyżej śnieżna, miejscami zalodzona ostra grań. Uskok Szczytowy, który w bazie budził największe obawy, okazał się niezbyt trudny.

SZCZYT NANDA DEVI EAST (7430 m) OSIĄGAJĄ BUJAK I KLARNER O GODZINIE 17,20. Odwrót rozpoczynają po godzinie 18. Powrót do Obozu V o godz. 21 po ciemku. Bocktey i Nima pozostają w Obozie IV.

3. VII. Bernadzikiewicz, Bujak, Klarner i Dawa likwidują Obóz V, schodzą do Obozu IV, po zwinięciu którego udają się wraz z Bockteyem i Nimą, objuczeni wielkimi ciężarami, do Obozu III.

4. VII. Bernadzikiewicz z 3 Szerpami schodzi na przełęcz, zabierając ładunki. Szerpowie wracają do Obozu III, Bernadzikiewicz zaś do bazy.

5. VII. Bujak i Klarner z 3 Szerpami likwidują Obóz III, schodzą na przełęcz. Po zwinięciu Obozu II zostają na przełęczy 4 ładunki, pomimo że Szerpowie zabierają po 27 kg. Wszyscy wracają do bazy.

6. VII. Dzień odpoczynkowy w bazie. Zapada decyzja skierowania dalszej działalności wyprawy w grupę górską, otaczającą najwyższą część lodowca Milam, a nie w grupę Pan Chuli, jak planowano dotąd. Po południu Karpiński i Blake idą na szczyt ponad bazą, nazwany przez nich Nanda Lapak (ok. 5700 m). Kipa schodzi do Martoli, do Devan Singa, który ma sformować karawanę kulisów. Bernadzikiewicz, Bujak i Klarner są dość wyczerpani długotrwałą akcją na dużych wysokościach — wielka strata sił i wagi, osłabienie serca, niegojące się skaleczenia, opuchlizna i ropienie porażeniowe, odmrożenia I i II stopnia.

7. VII. Karpiński i Blake wchodzą na Nanda Lapak, po czym wracają do bazy. Paldin idzie do Almory po benzynę i owoce. Na drogę powrotną zaangażuje sobie jednego kulisa. Dawa rusza do Mansiari po pozostawione tam 11 ładunków żywnościowych — ma on zebrać sobie na miejscu kulisów. Bocktey, Indżung, Nima oraz Martoli idą na przełęcz, skąd zabierają 4 ładunki, likwidując w ten sposób definitywnie Obóz II, po czym schodzą do bazy. Pozostali — dzień odpoczynkowy w bazie.

8. VII. Przygotowania do zwinięcia bazy. Formowanie ładunków. Leczenie opuchlizny i ropnych skaleczeń postępuje w wielkim tempie. Wieczorem przychodzi Kipa na czele 35 kulisów.

5. Marsz z bazy Nanda Devi do bazy Milam.

9. VII. Likwidacja bazy. Kulisi prezentują się bardzo źle — nie są to tragarze, lecz biedota z Martoli w wieku od 14 do 60 lat. Ładunki 27 kg zabierają z trudem. Z wielkim wysiłkiem udaje się majorowi Foy zmusić kulisów do dojścia w ciągu jednego dnia do Martoli (3200 m). Wielu z nich dochodzi wyczerpanych. W Martoli wieś cała wyległa dla owacyjnego powitania wyprawy.

10. VII. Marsz z Martoli do Milam (3400 m). Po drodze we wsi Burfu uroczyste powitanie i przyjęcie na cześć »zdobywców«. Bernadzikiewicz, Bujak i Klarner wracają do formy.

11. VII. Zmiana 11 najsłabszych kulisów. Marsz w górę doliny Milam wygodną ścieżką pasterską. Bazę założono na wysokości 4250 m po lewej stronie lodowca pomiędzy moreną boczną, a stromym zboczem wzgórza. Kulisi wracają do Milam. Najbliższym celem jest Tirsuli — szczyt o 3 odległych od siebie wierzchołkach (7150, 7070, 7040 m); wyrasta on ścianą północną z lodowca Milam, zamykając jego bieg główny. Całe otoczenie górnej części lodowca Milam jest alpinistycznie i pod względem surowości krajobrazu niezwykle ciekawe. Urwistymi stokami okolicznych szczytów nieprzerwanie schodzą lawiny. Odległość od bazy do stóp Tirsuli wynosi 8 km. Tirsuli przez alpinistów nigdy nie było atakowane. Mapa jest nieścisła. Wybór drogi następuje na podstawie obserwacji przez lornetkę 15-krotną. Stoki są niedostępne. Lawiniastość. Ilość możliwych dróg bardzo ograniczona. Pierwszy atak pójdzie na Tirsuli II.

6. Akcja w grupie wysokogórskiej Milam.

12. VII. Karpiński i Klarner udają się na dwudniowy wywiad. Mają zbadać drogę na Tirsuli II z górnego piętra lodowca stokiem wsch.-pn.-wsch. W części drogi towarzyszy im Indżung, niosący ładunek. Idą lewą moreną boczną, a potem środkiem bardzo silnie spękanego lodowca. Droga uciążliwa. Obóz I zakładają na wysokości 4750 m za zakrętem lodowca w kierunku wschodnim.

13. VII. Karpiński i Klarner posuwają się w górę lodowca. Pokonują 150-metrowy uskok, po czym z trudem zakładają szlak poprzez niezwykle spękany i najeżony serakami lodowiec. Dochodzą do wysokości 5400 m. Dalsza droga lodowcem wygląda łatwo. W stoku wsch.-pn.-wsch. widać dostępnie rysującą się grzędę. Karpiński i Klarner wracają do Obozu I.

14. VII. Bernadzikiewicz, Bujak, Bocktey i Nima idą w górę lodowca. Najprzód przetartym śladem, później zapadając się w rozmokniętym śniegu, dochodzą do wysokości 5670 m, gdzie zakładają Obóz II. Karpiński, Klarner, Kipa i Devan Sing schodzą z Obozu II do bazy. Dzień ten był trzynastym z rzędu i ostatnim pięknej pogody. Tak niezwykłej przerwy w monsunie miejscowi ludzie nigdy przedtem nie obserwowali.

15. VII. Bernadzikiewicz i Bujak przeprowadzają wywiad najwyższej partii lodowca Milam, szukając drogi w stoku pn.-wsch. Stwierdziwszy niedostępność urwiska wracają do Obozu II. Bocktey i Nima schodzą do Obozu I po dalsze ładunki, które przynoszą do Obozu II. Dawa przyprowadza do bazy 10 kulisów, niosących z Mansiari zapasy żywności. Pozostali — odpoczynek w bazie.

16. VII. Bernadzikiewicz, Bujak i Bocktey idą na wywiad drogi ku szczytowi Tirsuli II. Grzędą skalną we wsch.-pn.-wsch. ścianie wchodzą poprzez stromy próg lodowy na lodowiec wiszący. Stąd ramieniem śnieżnym, ograniczającym kocioł od południa, osiągają na wysokości 6400 m grań południową Tirsuli II.

Jako miejsce pod Obóz III wybierają górną część ramienia śnieżnego ograniczającego kocioł, o 50 m poniżej grani. Wracają do Obozu II. Nima — dzień odpoczynkowy w Obozie II. Karpiński, Klarner, Blake, Dawa, Indżung, Martoli, Tirlock Sing i służący Blake'a zanoszą transport ładunków z bazy do Obozu I.

17. VII. W nocy lawina schodząca ze stoków Tirsuli przechodzi w najbliższym sąsiedztwie poza stojący na lodowcu, o 200 m od zboczy, Obóz II. Bernadzikiewicz i Bujak, spędzając dzień odpoczynkowy w Obozie II, przenoszą go na środek lodowca. Bocktey i Nima schodzą do Obozu I, skąd zanoszą ładunki do Obozu II. Karawana ośmiu podchodzi przy złej pogodzie do Obozu II. Blake powraca wraz ze służącym, Kipą, Martolim i Tirlock Singiem do Obozu I.

18. VII. Karpiński, Bernadzikiewicz, Bocktey, Dawa, Indżung i Nima podchodzą w górę w celu założenia Obozu III. Indżung choruje po drodze, zwalniając posuwanie się wszystkich, wreszcie wraca do Obozu II. Pozostali, nie zdążywszy wskutek tego osiągnąć miejsca wybranego poprzednio na Obóz III, zakładają go na wysokości 6150 m, na lekko wyniesionej buli, na skraju wylotu kotła. Bocktey, Dawa i Nima wracają do Obozu II, przynosząc list od Karpińskiego. Bujak i Klarner — dzień odpoczynku. Martoli i Indżung schodzą do Obozu I. Blake ze służącym i Kipą schodzi z Obozu I do bazy.

19. VII. Bujak, Klarner, Bocktey, Dawa, Nima i Tirlock Sing podchodzą z Obozu II w górę. Wszedłszy o godz. 12 na lodowiec wiszący, widzą, iż teren Obozu III zalega lawinisko. Bernadzikiewicz i Karpiński zginęli wraz z obozem pod zwałami lawiny w czasie nocy. Wielkie seraki lodowe, wiszące pod granią południową w partii szczytowej Tirsuli II, oberwały się, tworząc lawinę lodową, która zeszła po urwisku. W niższej, mniej stromej części poruszyła ona masę śniegu. Lawina śnieżno-lodowa przebiegła dno kotła, wzniosła się po lekkim stoku buli. Część lawiniska zaległa bulę, reszta zeskoczyła z niej przez 25-metrowej wysokości ściankę. Bujak i Klarner prowadzą poszukiwania, znajdując szereg drobnych przedmiotów i dwa buty oraz wór żywności. Nima i Tirlock Sing schodzą w dół, wkrótce wracają, nie mogą sobie dać rady. Bocktey i Dawa sprowadzają ich z progu wiszącego lodowca. Bujak, Klarner, Bocktey i Dawa zakładają obóz w sąsiedztwie lawiniska. Nima i Tirlock Sing nocują w Obozie II. Martoli i Indżung schodzą z Obozu I do bazy.

20. VII. Bujak, Klarner, Bocktey i Dawa prowadzą poszukiwania. Lawinisko ma długości ok. 250 m, szerokości 120 m, grubość warstwy wynosi przeciętnie 8 m. Dokładnego położenia miejsca obozu nie sposób jest określić. Całodzienne sondowanie czekanami oraz wykonywanie przekopów wśród bloków lodowych, zasypanych śniegiem, nie daje żadnych rezultatów poza znalezieniem szeregu drobiazgów. Wobec wielkości lawiniska i ograniczonych środków, poszukiwania są beznadziejne. Pod ścianką lodową buli, na 8-metrowej grubości zwałach lawiniska — domniemanym grobie Karpińskiego i Bernadzikiewicza — zostaje postawiony z kijów znakowych niewielki krzyż. Nima i Tirlock Sing pozostają w obozie II.

21. VII. W nocy spadło ok. 25 cm śniegu. Bujak, Klarner, Bocktey i Dawa likwidują Obóz III i udają się do Obozu II, gdzie zastają Nimę i Tirlock Singa. Po zwinięciu obozu schodzą wszyscy do bazy, pozostawiając w Obozie II 4 ładunki.

22, 23, 24. VII. Pobyt w bazie. Listownie zamówiono 26 kulisów z Almory do Mansiari. Z bazy do Mansiari będą użyci kulisi z Milam.

25. VII. Dawa, Kipa, Martoli i Paldin w ciągu 14-godzinnej akcji likwidują definitywnie Obozy I i II.

26. VII. »Martoli II« idzie do Milam dla zorganizowania karawany kulisów z bazy do Mansiari.

27, 28. VII. Bujak i Klarner przy pomocy Nimy i Bockteya atakują Nitaltaur (6200 m). Akcja zostaje przerwana na wysokości ok. 5900 m wskutek uszkodzenia oka Klarnera odpryskiem lodu.

29, 30, 31. VII. Oczekiwanie w bazie na nadejście kulisów. Przygotowanie transportów.

1. VIII. Nadejście kulisów z Milam.



Obóz IV (6400 m) na pd. grani NandaDevi East. W głębi główny szczyt Nanda Devi.
Fot. Polskiej Wyprawy Himalajskiej.

7. Marsz powrotny: baza — Milam — Almora.

2 — 12. VIII. Odcinek z bazy do Mansiari odbyto przy udziale kulisów z Milam. Pomimo ich kiepskiej postawy transport odbywał się sprawnie. W jednym z dni przebyto dwa etapy, co wobec zakorzenionych zwyczajów było zjawiskiem niezwykłym. W Mansiari oczekiwali na wyprawę kulisi przysłani przez agencję transportową z Almory. Większą część marszu odbyto w czasie deszczów. Ładunki namakając zyskiwały do 20% na wadze, co przyczyniło się do powstania trudności związanych z odpowiednim ich podziałem. Temperatura panowała znacznie wyższa niż w czasie marszu w pierwszą stronę. Obserwowano niezwykle bujny rozwój roślinności.

13 — 14. VIII. Likwidacja spraw wyprawy na terenie Almory.

8. Podróż powrotna: Almora — Bombaj — Lwów.

Z Almory wyjechano 15. VIII. Bujak i Klarner rozstali się z doktorem Foy i Szerpami w Bareilly, skąd udali się do Delhi i Agry. Przez kilka dni podróżowali osobno, by 22-go spotkać się w Bombaju, gdzie Bujak wygłosił odczyt o przebiegu wyprawy.

Z Bombaju wyjechano 23-go statkiem Victoria, pozostawiając ze względu na niepewną sytuację polityczną część ekwipunku wyprawy pod opieką Konsulatu Polskiego.

3. IX. Bujak i Klarner wysiedli na ląd w Port Saidzie, skąd przez Aleksandrię, Constanzę i Bukareszt przyjechali 11. IX. do Lwowa.

P. S. Autor sprawozdania, nie mając dostępu do całości materiałów, jest zmuszony do znacznego ograniczenia jego szczegółowości.

Janusz Klarner

Doświadczenia z Pierwszej Polskiej Wyprawy Himalajskiej

Przystępując do pobieżnego zestawienia doświadczeń z Wyprawy Himalajskiej zdaję sobie sprawę z faktu, że obserwacje zebrane w czasie jednej wyprawy nie upoważniają do żadnych kategorycznych wypowiedzi. Przez sformułowanie krótkich uwag pragnę się przyczynić jedynie do powiększenia ilości materiału dyskusyjnego dla organizatorów przyszłych wypraw.

Powodzenie wyprawy zależy w wielkiej mierze od należytego jej przygotowania. Najdrobniejsze pozornie niedociągnięcie w organizowaniu lub przeprowadzeniu wyprawy może poderwać poważnie możność osiągnięcia celu.

Zdobyte doświadczenie i poczynione obserwacje składają się z setek drobnych uwag, których ważności nie należy lekceważyć — omówienie ich zajęłoby wiele miejsca i znużyłoby większość czytelników, dlatego też ograniczam się do przedstawienia tutaj jedynie ważniejszych wniosków.

Przebieg wyprawy wykazał, że przygotowanie i organizacja były przeprowadzone niezwykle celowo i starannie. W czasie akcji nie ujawniło się żadne nieomal uchybienie poważniejszej natury.

W tych warunkach omówienie niniejsze należałoby rozpocząć od przedstawienia organizacyjnego i technicznego obrazu wyprawy, wypowiadając dopiero na jego tle odnośne spostrzeżenia. Z braku materiałów jestem zmuszony przystąpić odrazu do drugiej części zadania, odkładając wbrew logicznym wskazaniom przedstawienie pierwszej, podstawowej części do późniejszych czasów.

1. Ekwipunek.

W dobrym gatunku i w najdrobniejszych szczegółach przystosowany do miejscowych wymagań ekwipunek jest podstawą powodzenia wyprawy, działającej w klimatycznie trudnych warunkach. Ekwipunek wyprawy był nieomal bez zarzutu:

Namioty szturmowe należałoby ewentualnie nieznacznie powiększyć. Podłogi ich okazały się całkowicie przemakalne. Należy podkreślić, jako dużą zaletę tych namiotów, łatwość i szybkość ich rozbijania w najcięższych warunkach atmosferycznych. Stosowanie wejściowych rękawów polarnych wydaje się w warunkach himalajskich nieodzowne. Obozy bardziej zasadnicze powinny mieć po jednym większym namiocie. Należy przewidzieć namioty dla kulisów biorących udział w transportach powyżej bazy.

Śpiwory były najbardziej udaną częścią ekwipunku. Łączyły znakomicie lekkość (2,3 kg) i ciepło.

Małe materacyki z gumy porowatej izolowały dostatecznie nawet na lodzie.

Ubiór wspinaczy, zwłaszcza dolna część, powinien być nieco cieplejszy. Nie marzliśmy, lecz przy —16° C i silnym wietrze nie mieliśmy żadnych rezerw.

Buty (Wiedeń) — wykonanie ich było najwyższej klasy. Wewnętrzne wyłożenie filcem jest niecelowe, jeżeli mają być one używane poniżej 6500 m — po namoknięciu są nie do wysuszenia.

Oprócz masek przeciwwiatrowych należy mieć lekkie maski przeciwsłoneczne, w celu używania ich przy ciepłej pogodzie.

Nieodzownym jest gruntowne rozwiązanie zabezpieczenia górnej krawędzi buta przed dostawaniem się śniegu.

Na marsz w dolinach najlepszym obuwiem okazały się skórzane pantofle lekkoatletyczne na grubej podeszwie, zaś idealnym okryciem w czasie monsunu — peleryny Kleppera.

Primusy (małe) w normalnym wykonaniu, opalane benzyną, funkcjonowały do 7000 m włącznie bez zarzutu. Maszynek metowych ze względu na powolność nie używano prawie wcale.

Wory ładunkowe typu Bauera uważano za zbyt długie.

Liny »ósemki« zdały w czasie wypadków egzamin jako liny asekuracyjne.

Raki były bardzo rzadko używane — przy silnej operacji słonecznej podbija się śnieg.

Haki firnowe nie znalazły zastosowania.

Należy przewidzieć sprzęt zapasowy na wypadek zaginięcia w czasie transportu lub akcji.

2. Żywność.

Właściwy dobór żywności dla wyprawy działającej przez szereg miesięcy częściowo w klimacie tropikalnym, jest warunkiem utrzymania zdrowia i nastrojów. Żywność powinna być dostatecznie kaloryczna, różnorodna i dobierana bez przesadnego smakoszostwa. Wszelkie smakołyki przejadają się szybko: proste pożywienie możliwie odpowiadające przyzwyczajeniom wypływającym z polskiej kuchni było najbardziej cenione.

Nieodzowne są witaminowe odżywki — skondensowany sok cytrynowy, tabletki witaminowe (tych ostatnich nie zabrakło). Baza była zaopatrywana w świeże produkty: ziemniaki, jarzyny (cebula) i świeże mięso.

Różnorodność pożywienia, zwłaszcza w konserwach, była zbyt mała. Śniadania i drugie śniadania winny być bardziej intensywne — więcej sera tłustego, konserw rybnych, boczku i cukru. Przewidziane racje żywności okazały się o ok. 20% za małe. Wysokogórski brak apetytu nie został w czasie wyprawy zaobserwowany. Niewłaściwe odżywianie w dolinach (ostra kuchnia hinduska) wydaje mi się przyczyną długotrwałych i poważnych w skutkach chorób żołądkowych dwóch członków wyprawy.

Pakowanie żywności w skrzynkach zawierających kompletne racje 12 osobodniówek okazało się bardzo praktyczne.

3. Transport.

Ścisły nadzór i pedantyczność w przeprowadzaniu transportów jest warunkiem dla nieutracenia części bagażu w czasie podróży i marszu, oraz jeszcze w większym stopniu dla prawidłowego zaopatrywania łańcucha obozów w czasie akcji.

Akcja wysokogórska wymaga obecności dyrygującego transportami w strefie ich głównego w danym momencie natężenia. Wskutek pomyłkowego przeniesienia przez Szerpów do wyższego obozu wora z linami, pozostało w pewnej fazie akcji 8 ludzi z 20 metrami liny asekuracyjnej. Przy rozciągniętej akcji należy się liczyć z potrzebą użycia dla celów jedynie dyspozycyjnych dwóch alpinistów.

Konstrukcja skrzynek transportowych musi być jak najlżejsza i mocna (rola taśmowania), zewnętrzna ich powierzchnia powinna być natryśnięta lakierem dla zabezpieczenia przeciw wilgoci. Żywność należy przenosić nawet do wysokich obozów w skrzynkach (nosiłki), gdyż tylko te chronią ją przed wilgocią, rozbijaniem i — czego nie należy lekceważyć — przed podbieraniem intensywniejszych produktów odżywczych. Skrzynki wymagają zabezpieczenia od wewnątrz specjalnie preparowanymi papierami przeciw wilgoci. Wielkość skrzynek winna być tak dobrana, aby waga ich stwarzała możliwość różnych kombinacji, gdyż normy obciążenia kulisów są różnorodne nawet w sąsiadujących ze sobą okolicach. Kulisi w Garhwalu noszą 80 lub 60 funtów angielskich, w czasie akcji wysokogórskiej obciążenie tragarza w okolicy 7000 m nie przekracza 30 funtów ang.

Zapewnienie sobie dla karawany zawodowych kulisów na całą przestrzeń marszu dolinowego jest podstawowym warunkiem sprawnego przebiegu marszu. W sprawach transportów istnieją tradycją utarte zwyczaje, tyczące się użycia zwierząt jucznych lub kulisów, wielkości etapów, ciężaru ładunków, aprowidowania karawany i jej wynagrodzenia — zwyczajów tych nikomu nie uda się przełamać.

Trzeba przewidzieć specjalne zabezpieczenie szeregu artykułów przeciw wilgoci i temperaturze w czasie transportu: masło, biszkopty, filmy itd.

4. **Lekarskie uwagi.**

Apteczka musi zawierać poza normalnymi środkami, medykamenty »tropikalne«. Baczną uwagę zwrócić trzeba na dobór środków do leczenia cięższych odmrożeń oraz zapalenia oczu. Choroby żołądkowe w czasie marszu dolinowego na tle kuchni hinduskiej, a w czasie akcji na podłożu bezwitaminowego odżywiania, były główną plagą wyprawy.

Od początku akcji nie lekceważyć destrukcyjnego działania intensywnej insolacji i suchości powietrza. Wszyscy uczestnicy przez cały czas akcji nie mogli się wyleczyć z bolesnych uszkodzeń, powstałych na tym tle.

Większość uczestników cierpiała na tle przeziębienia pęchęrza; zachowanie środków ostrożności od początku prawdopodobnie pozwoliłoby na uniknięcie tych przykrości, które w warunkach obozowania wysokogórskiego są specjalnie dolegliwe. Baza była niemal bez przerwy terenem leczenia pod opieką doktora.

Z punktu widzenia dbałości o możliwie szybkie leczenie uczestników, wydaje się celowym związanie na stałe doktora z bazą, lub też bazą wysuniętą. Toteż doktor bez aspiracji alpinistycznych, a jednocześnie posiadający pewne podstawowe wyszkolenie górskie byłby prawdopodobnie najbardziej na miejscu. Przy tym ujęciu winien być doktor wykorzystany jednocześnie jako dysponent prowadzenia transportów między niżej położonymi obozami.

5. **Aklimatyzacja.**

Przebieg aklimatyzacji u poszczególnych uczestników był bardzo różnorodny. Z doświadczeń wyprawy (zbytnio uogólniać ich nie należy) można wyciągnąć następujące wnioski: ludzie, którzy byli już kiedyś na dużych wysokościach aklimatyzują się szybciej. Szybkość aklimatyzacji nie jest związana z jej trwałością i gruntownością. Zetknięcie się po raz pierwszy z dużymi wysokościami nie zmniejsza możliwości gruntownego aklimatyzowania się. Przeprowadzenie aklimatyzacji wymaga na poszczególnych wysokościach znacznego okresu czasu.

Uczestnicy wyprawy, którzy uzyskali trwałą aklimatyzację na wysokości 5900—6300 m w okresie prawie trzytygodniowym nie odczuwali najmniejszych trudności wysokościowych aż do szczytu (7430 m).

U alpinistów, którzy w czasie przeszło trzytygodniowej akcji na wysokości 5900—7400 m wobec uzyskanej aklimatyzacji nie odczuwali najmniejszej dolegliwości, skonstatowano po powrocie do bazy niezwykle silny spadek wagi (utrata mięśni), spadek sił i przemęczenie serca. Wskazywałoby to na zachodzenie zjawiska deterioracji już przy niższych wysokościach od tych, które są uznawane dość powszechnie jako dolna granica wysokości występowania tego zjawiska.

6. **Monsun.**

Pora deszczowa nadeszła niezwykle wcześnie, gdyż 6 czerwca. Intensywność opadów uniemożliwiała niejednokrotnie posuwanie akcji.

Z nadejściem monsunu wystąpiło wyraźnie ocieplenie. Od 1 do 14 lipca nastąpił nie notowany normalnie w czasie monsunu okres pięknej pogody.

Obserwowano bardzo różnorodne nasilenie niepogody w poszczególnych dolinach w zależności od dostępności ich dla wstępujących od południo-wschodu chmur (Garhwal leży w strefie działania monsunu bengalskiego). Podczas gdy dolina Lwanl była stale wypełniona chmurami, Basen Nanda Devi, osłonięty przez Nanda Devi East, miał długie okresy pogody.

7. **Lawiny.**

Ostrość spadków zboczy w Himalajach i ich wysokość powodują schodzenie niezwykłej ilości lawin, wielkość i zasięg których nie da się porównać z lawinami innych gór. W okresie monsunu, w wyniku nieustannych intensywnych opadów, natężenie i wielkość lawin wzrasta wielokrotnie. W grupie Tirsuli słyszano codziennie łoskot kilkudziesięciu schodzących lawin.

Często spotykaną formą są lawiny lodowe. Ich wielka masa bezwładności stwarza niezwykły zasięg i powoduje przebieg nie wiążący się ściśle z kierunkiem skłonu zboczy. Grupa Tirsuli poza momentem katastrofy, w której przebieg lawiny poszedł wbrew pozornie logicznym przewidywaniom, dostarczyła również innych nieoczekiwanych obserwacji, zwłaszcza jeżeli chodzi o zasięg lawiny w płaskim terenie.

Janusz Klarner

Echa prasowe Polskiej Wyprawy Himalajskiej

Próba syntetycznego zestawienia i omówienia głosów prasy na temat Pierwszej Polskiej Wyprawy Himalajskiej może mieć w obecnych warunkach jedynie szkicowy charakter. Jest to oczywiste, jeśli zważy się, że materiał informacyjny, zawarty w paru tysiącach wycinków prasowych zgromadzonych przez Sekretariat Polskiego Tow. Wypraw Badawczych za pośrednictwem agencji I. P. P. jest niekompletny i dziś — niestety — nie do uzupełnienia. Wycinki prasy krajowej nie mogą być skompletowane wyczerpująco bez długotrwałych poszukiwań w bibliotekach publicznych, ile że zawierucha wojenna zmiotła niejedno wydawnictwo wraz z archiwalnymi rocznikami czasopism; co zaś do wycinków prasy zagranicznej, były one dla agencji I. P. P. osiągalne w nieznacznej tylko mierze, i braki w tej dziedzinie są nieobliczalnie wielkie. Z bogatych np. — jak nam wiadomo — głosów prasy Indii Brytyjskich, jesteśmy w posiadaniu dwu zaledwie wycinków, nasuwających jednak najpochlebniejsze wnioski na temat zainteresowania naszą Wyprawą i oceny jej rezultatów. Być może luki istniejące doczekają się pewnych uzupełnień, może bardzo istotnych nawet. W obecnych warunkach musimy poprzestać na omówieniu, które nie mając pretensji do tytułu pełnej bibliografii Wyprawy, pozwoli zanotować najważniejsze dostępne dziś pozycje i wyciągnąć — *salvo ommitentia* — wnioski ogólniejszej natury.

Pierwsza Polska Wyprawa Himalajska, jako wydarzenie doniosłej wagi, w skali naprawdę ogólnopaństwowej, musiała mieć i miała rzeczywiście odpowiednio silny rezonans prasowy.

Okoliczności nie sprzyjały należytemu wykorzystaniu Wyprawy pod względem propagandowym. Zdarzenia z zakresu wielkiej polityki narastały podówczas do największego napięcia, przykuwając uwagę powszechną niemal bez reszty, spychając na najdalszy plan wszystko, co nie wiązało się z horoskopami nadchodzącej wojny. Wystarczy przypomnieć niewiele wcześniejszą wyprawę w Ruwenzori, która mimo niezaprzeczonych sukcesów i atrakcyjności egzotycznego tematu dla prasy — doczekała się stosunkowo niezbyt silnego echa w prasie polskiej i zagranicznej.

Wyprawa Himalajska — przeciwnie — zdołała stać się wydarzeniem dnia dla całej Polski; na to złożyło się parę czynników różnorakiej natury, które jednak pomieścić trzeba na wspólnej płaszczyźnie propagandy.

Rozróżniamy tu, nie bez poczucia pewnej sztuczności, elementy: potencjalny i kinetyczny. Pierwszy, zamknięty formalnie w nazwie Pierwszej Polskiej Wyprawy Himalajskiej, drugi, występujący w jej przebiegu i osiągnięciach.

Angażowano w Wyprawie godność narodową, prestiż Państwa, autorytet dostojników państwowych, powagę naukową, dobre imię organizacji. Pozwalały na to rozmiary zamierzeń i zobowiązań. Wyprawa urastała do rzędu zdarzeń wyjątkowej wagi, które z natury rzeczy mogą liczyć na niezwykłe zainteresowanie.

Czynnik określany tu jako »kinetyczny« zaznaczał się w rozwoju i dynamice wypadków, w emocjach i afektach, w sukcesie i katastrofie, w patosie i tragizmie zdarzeń. Nie bez znaczenia był też egzotyzm tła, oraz ekskluzywność sportu wysokogórskiego.

Suma tych elementów wbrew nie sprzyjającym okolicznościom ubocznym dała w rezultacie efekt bez wątpienia pozytywny.

Zależało to w głównej mierze od należytego zorganizowania obsługi prasowej Wyprawy. W podziale funkcji między członków Wyprawy, dział prasy i propagandy powierzony był śp. Stefanowi Bernadzikiewiczowi. Wydaje się, że wybór ten miał znaczenie chyba tylko formalne. Raz, że śp. Stefan Bernadzikiewicz nie znał języka angielskiego, a tym samym nie mógł pełnić roli informatora prasy angloindostańskiej, a po wtóre, że każdy z członków Wyprawy na własną rękę zawierał umowy z wydawnictwami krajowymi o korespondencje i na własną rękę przesyłał materiał prasowo-informacyjny. Faktem jest, że działalność informacyjna śp. Bernadzikiewicza w toku Wyprawy była znacznie słabsza niż jego kolegów.

Referentem prasowym Wyprawy na terenie Polski był śp. Zdzisław Dąbrowski (jako sekretarz Polskiego Towarzystwa Wypraw Badawczych), w roli kierownika akcji prasowo-propagandowej naprawdę niezastąpiony.

Działalność śp. Dąbrowskiego w związku z Wyprawą, za pośrednictwem Polskiej Agencji Telegraficznej, która nabyła wyłączność informacji z Wyprawy dla swego serwisu depeszowego i artykułowego, jest przykładem i to dobrym przykładem kampanii prasowej, przeprowadzonej w sposób planowy i konsekwentny. Włożył w nią niezapomniany »Redaktor Zdziś« całą swoją cichą pasję, drobiazgową i pedantyczną pilność, oraz wyjątkowe znawstwo tematu.

Skupiając w swoich rękach całokształt nadchodzącego do kraju materiału prasowego Wyprawy i dysponując nim, Dąbrowski musiał dbać o to, by utrzymać ciągłość akcji propagandowej, nawet wtedy, gdy nadchodziły okresy braku wiadomości, okresy wyczekiwania i słabnącego zainteresowania. Była to rola szczególnie trudna w ciągu pierwszych tygodni, kiedy nie było ani osiągnięć, ani sukcesów, ani emocji.

Dokładny przegląd materiału bibliograficznego wykazuje 29 pozycji przekazanych prasie za pośrednictwem PATa (od dnia wyruszenia Wyprawy), w tym 17 notatek informacyjnych i 12 artykułów:

24. 4. — Notatka o wyjeździe Bernadzikiewicza, Bujaka i Klarnera.

24. 4. — Artykuł o 3 wyprawach himalajskich (polskiej, niemieckiej i amerykańskiej) i ich zamierzeniach.

3. 5. — Notatka o przyjeździe Karpińskiego do Bombaju i jego pracy propagandowej i organizacyjnej.

8. 5. — Notatka o założeniu obozu głównego w dolinie Lwanl.

9. 5. — Artykuł opisowy o terenie działania Wyprawy — Himalajach Garhwalu i grupie Nanda Devi.

23. 5. — Artykuł (list lotniczy z Almory) o przygotowaniach i wyruszeniu Wyprawy w teren.

27. 5. — Notatka (depesza Bujaka) o starcie z bazy głównej.

Skoro wiadomości z gór nadchodziły z 3-tygodniowym opóźnieniem, trudno się dziwić, że w czerwcu nie nadeszły żadne informacje dla PATa. Czas ten wypełniły Dąbrowskiemu prace prasowe dla poszczególnych wydawnictw bez pośrednictwa PATa. Dopiero po 5-tygodniowej przerwie nadeszły oczekiwane wieści o działaniach Wyprawy w terenie.

24. 6. — Notatka o osiągnięciu wysokości 6350 m na Nanda Devi East (III obóz).

4. 7. — Artykuł syntetyzujący sprawozdania z działań Wyprawy od 25 maja do 11 czerwca, tj. od opuszczenia Almory do założenia III obozu.

13. 7. — Telefonogram Karpińskiego o zdobyciu Nanda Devi East.

13. 7. — Artykuł o zdobyciu Nanda Devi East.

16. 7. — Artykuł syntetyzujący sprawozdania z działań Wyprawy od 11 czerwca do 2 lipca, tj. okresu ataków i sukcesu na Nanda Devi East.

17. 7. — Artykuł o polskich rekordach alpinistycznych.

22. 7. — Notatka o efektach propagandowych Wyprawy za granicą.

23. 7. — Notatka o dalszych zamierzeniach Wyprawy (nadana przez Karpińskiego dn. 5.7.).

24. 7. — Notatka o członkach Wyprawy (szczegóły biograficzne).

24. 7. — Artykuł o szczegółach zdobycia Nanda Devi East (nadany jako list z dnia 7.7.).

25. 7. — Notatka o zamierzonej na r. 1941 następnej wyprawie.

28. 7. — Notatka dementująca plotkę o zamiarze atakowania Mount Everest.

28. 7. — Depesza Reutera z Lucknow o katastrofie Wyprawy.

29. 7. — Życiorys ofiar katastrofy i wspomnienie pośmiertne.

29. 7. — Notatka oparta o list Bernadzikiewicza i depeszę Bujaka.

29. 7. — Artykuł o hipotezach co do przyczyny katastrofy.

30. 7. — Artykuł informacyjny o niebezpieczeństwach Himalajów.

31. 7. — Artykuł na temat celu wypraw w Himalaje oraz informacje co do kosztów, będące odpowiedzią na wątpliwości wysunięte przez drobny odłam prasy po katastrofie.

9. 8. — Notatka o szczegółach katastrofy z listu Bujaka i Klarnera.

21. 8. — Artykuł będący relacją Bujaka o katastrofie.

21. 8. — Notatka o echach katastrofy w prasie indyjskiej.

24. 8. — Notatka o powrocie Wyprawy do kraju.

Ponadto dział ilustracyjny PATa rozesłał w tym okresie 16 zdjęć prasowych z Wyprawy, z czego portretów 2, grupy uczestników 2, fotografij Nanda Devi 4, zdjęć z podejścia 4, zdjęć z akcji 4. Ilustracje te obejmują okres od wyjazdu Wyprawy do osiągnięcia szczytu Nanda Devi East. Z drugiej części Wyprawy ilustracje przywieziono do Warszawy dopiero we wrześniu, już po ewakuacji PATa.

Trzeba stwierdzić, że w akcji prasowo-propagandowej Dąbrowskiego przez PATa nie ma luk, ani słabych stron. Całokształt Wyprawy zarysował się obrazem jasnym i szczegółowym, wszelkie wątpliwości wyjaśniane były natychmiast, liczne artykuły informacyjne wprowadzały w sedno rzeczy i orientowały czytelnika najbardziej nieświadomego nawet, zbliżając go do tematu i akcji.

Cały szereg pism, szczególnie tygodników, korzystał z materiałów PATa do artykułów kompilacyjnych, ujmujących nadchodzące notatki i komentarze artykułowe w obszerne sprawozdania. Aż do czasu katastrofy, a raczej wieści o katastrofie, przegląd prasy dawał nieznaczny plon, jeśli chodzi o prace redakcyjne. Prasa korzystała prawie wyłącznie z serwisu PATa.

Spisy bibliograficzne oparte na zebranym przez I. P. P. materiale wycinkowym wykazują: 110 pism polskich codziennych, 25 tygodników, 4 gazety polskie z zagranicy, 10 gazet mniejszościowych wychodzących w Polsce i 42 gazety zagraniczne.

Jak ogromny był zasięg wiadomości o Wyprawie na terenie Polski świadczy wachlarz tytułów prasy prowincjonalnej, obejmujący całą Polskę. Wymienimy tu: Drwęca (Nowe Miasto), Gazeta Kartuzka, Nasza Chodzież, Gwiazdka Cieszyńska, Echo Borów Tucholskich, Echa Beskidzkie (Bielsk), Wiadomości Hrubieszowskie.

Drukowano komunikaty PATa w Życiu Katolickim i w Głosie Ewangelickim, w Gazecie Strażackiej i w policyjnym piśmie Na Posterunku, w organie spółdzielców Spólnota i we Współczesnym Panu, w Wiciach ludowych i w Strzelcu, w prasie robotniczej i młodzieżowej. Popularność Wyprawy była i w czasie trwania jej (nieco mniej) i po katastrofie (więcej) — wręcz niesłychana.

Pisano o niej w Polsce po polsku, niemiecku, rusku, rosyjsku, żydowsku i francusku, poza granicami Polski najwięcej w Anglii, Czechach, Niemczech i Szwajcarii. Mniej we Włoszech, Rumunii, Węgrzech i Francji. Posiadam wycinki z prasy holenderskiej, szwedzkiej, jugosłowiańskiej, ba, nawet egipskiej. Szczyciła się Wyprawą prasa polska za granicą: Dziennik Berliński, Dzień Polski z Kowna, Narodowiec z Lens i Lud z Kurytyby.

Ten olbrzymi zasięg propagandowy Wyprawy jest zasługą Dąbrowskiego i PATa.

W porównaniu z rezultatami planowej kampanii prasowej o wiele bardziej ubogie są dane bibliograficzne dotyczące prac redakcyjnych samych pism o Wyprawie. Uderza za to niezwykła rozmaitość ich formy, poczynając od reportaży i felietonów, aż do — rzecz niebywała — artykułów wstępnych.

Prace te poczynają pojawiać się w końcu maja 1939 r., rzadkie i oderwane; dopiero po katastrofie sypią się obficie. Oto ich wykaz chronologiczny (z zastrzeżeniem niekompletności spisu):

27. 5. — Głos Pomorza — »Polacy zdobywają Himalaje« (art. informacyjny o planach Klubu Wysokogórskiego).

27. 5. — Kurier Czerwony — »Tygrysy z Nepalu« (felieton J. S. — Jana Staszla — o Szerpach).

27. 5. — Ilustr. Kurier Codzienny — »Czomolhari« (felieton o zdobyciu tego szczytu, nawiązujący do naszej Wyprawy).

15. 6. — Młody Nurt — »Polskie wyprawy w góry egzotyczne« (artykuł J. W. Żuławskiego).

17. 6. — Ilustr. Kurier Codzienny — »Polacy w Himalajach« (obszerny artykuł sprawozdawczy).

24. 6. — Ilustr. Kurier Codzienny — »Himalaje Garhwalu« (obszerny artykuł opisowy).

1. 7. — Ilustr. Kurier Codzienny — »Nowe zdobycze w Himalajach« (artykuł sprawozdawczy).

9. 7. — Gazeta Polska — »Polska Wyprawa w Himalaje« (b. obszerny, ilustrowany artykuł Z. Dąbrowskiego, stanowiący wstęp do cyklu korespondencji A. Karpińskiego, z którego ukazał się tylko list I).

9. 7. — Głos Prawdy — »Polacy w Himalajach« (obszerny ilustrowany reportaż Wacława Wagnera).

11. 7. — Gazeta Polska — »Polska Wyprawa w Himalaje. II. Przygotowania« (korespondencja A. Karpińskiego).

17. 7. — Czas — »Zdobyliśmy Nanda Devi« (wywiad W. Domańskiego z Z. Dąbrowskim).

23. 7. — Czas — »List do Redakcji« (Z. Dąbrowskiego, prostujący informacje wywiadu z 17. 7.).
27. 7. — Kurier Wileński — »Obrączki na FON i himalajska leguminka« (felieton ironizujący na temat rzekomo wielomilionowych kosztów Wyprawy, pokwitowany wkrótce przez odpowiedni komunikat wyjaśniający PATa).
27. 7. — Na Posterunku — »Polacy zdobyli jeden z najwyższych szczytów na świecie«.
29. 7. — Ilustr. Kurier Codzienny — »Od Mont Blanc do Nanda Devi Wsch.« (artykuł o ekspansji polskiego alpinizmu).
29. 7. — Kurier Poranny — »Bolesna strata« (art. wstępny Kl. Hrabyka).
30. 7. — Słowo Narodowe — »Uchylmy czoła« (art. redakcyjny przedrukowany przez szereg pism prowincjonalnych).
30. 7. — Kurier Czerwony — »Na szczycie Mercedario i w przeczuciu śmierci« (felieton streszczający częściowo korespondencję A. Karpińskiego z Gazety Polskiej — pióra J. Pollacka).
30. 7. — Gazeta Polska — »Triumf i tragedia polskiej wyprawy w Himalaje« (reportaż Z. Dąbrowskiego).
30. 7. — Kurier Poznański — »Tragiczny zgon zdobywców Nanda Devi« (wyjątki z artykułu S. Bernadzikiewicza »Droga do Himalajów« w Taterniku i komentarz redakcyjny).
31. 7. — Depesza — »Czy to się opłaca« (artykulik ubolewający nad trwonieniem życia fachowców w dobie troski o obronność kraju).
31. 7. — Gazeta Kaliska — »Nie ma już Himalajów« (pozytywne rozważania na temat osiągnięć Polskiej Wyprawy).
1. 8. — Polska Zbrojna — »W drodze ku górom« (pierwsza i jedyna korespondencja J. Bujaka z Wyprawy).
1. 8. — Kurier Polski — »Na 9-tym kilometrze śnieżnego szczytu« (reportaż imaginacyjny, podpisany j. m. t.).
3. 8. — Dziennik Poznański — »Śp. inż. Bernadzikiewicz« (błahy felietonik przedrukowany przez szereg pism prowincjonalnych).
3. 8. — Dziennik Polski —»Zginęli śmiercią alpinistów« (duży refleksyjny artykuł St. St.).
5. 8. — Gazeta Polska — »Niewysłany list do inż. Adama Karpińskiego w Himalajach« (piękna praca Al. Janty-Połczyńskiego, w hołdzie ofiarom katastrofy na Tirsuli).
6. 8. — Światowid — »Cześć Im« (artykulik obok fotografii).
6. 8. — Jutro Polski — »Bohaterowie białej śmierci« (felieton).
6. 8. — Jedziemy — »Na szlakach polskiego alpinizmu« (ilustrowany art. W. Mileskiego).
10. 8. — Ilustr. Kurier Codzienny — »Niebezpieczeństwa lodowców himalajskich« (art. popularno-naukowy dra A. Gadomskiego).
10. 8. — Wiadomości Turystyczne — »Zrewidujmy przestarzałe przesądy« (niepoważne i pompatyczne uwagi na temat strat wynikających z rekordomanii i pogoni za pierwszymi wejściami).
12. 8. — Ilustr. Kurier Codzienny — »Zginęli w śniegu« (mętny felieton Jalu Kurka).
18, 19 i 20. 8. — Nasz Przegląd — »Na podniebnych szczytach Himalajów« (3 felietony F. S-kiego).

Pomijamy w wykazie sensacyjne »michałki« prasy brukowej jak z Ostatnich Wiadomości (12. 5.) — »Straszliwi Ludzie«, lub z Expressu Ilustrowanego (24. 7.) — »Tam gdzie dotknięcie nosa grozi śmiercią«.

Z prasy zagranicznej mamy do zanotowania jedną tylko pozycję, mianowicie reportaż fotograficzny »Rough Going to Nanda Devi« w piśmie Illustrated Weekly (Bombay, 11. 7. 39.), przy czym okładkę zdobi całostronicowe zdjęcie z Wyprawy. Ogółem pozycji — 35.

Ubóstwo prac oryginalnych o Wyprawie w prasie można tłumaczyć przede wszystkim okresem wakacyjnym i niepokojem przedwojennym, w wyniku czego większość ludzi gór. mogących pisać o Wyprawie i poległych kolegach — była poza Warszawą, w górach lub w wojsku. Nie przeczy to jednak faktowi, że członkowie Klubu nie udzielili pomocy propagandowej Wyprawie, ani w chwili sukcesu, ani wobec wieści o katastrofie.

W okresie sierpnia, kiedy pozostali członkowie Wyprawy powracali do kraju, nastąpiła przerwa w informowaniu prasy. Korespondencje nie nadchodziły, na druk innego materiału o Wyprawie trudno było w gorączce przedwojennej znaleźć miejsce i czas.

Gdyby ocalałym członkom Wyprawy dane było powrócić i przedstawić w prasie, wydawnictwach, odczytach i prelekcjach radiowych szczegółowy obrachunek osiągnięć,

doświadczeń i wrażeń — efekty propagandowe mogłyby wzmocnić się nowym materiałem. Los chciał jednak inaczej.

Tragizm Pierwszej Polskiej Wyprawy Himalajskiej zawarty był tyleż w katastrofie zwycięskiego zespołu, co w utracie możliwości pełnego wykorzystania owoców triumfu. Tragizm to pełen patosu tym bardziej, że skrzyżował się z tragizmem dziejowym Narodu i Państwowości Polskiej.

Wnioski:

Primo: Tematy wysokogórskie spopularyzowały się i zdemokratyzowały bardziej niż sądzono. Interesują nie tylko »wtajemniczonych«, ale i najszerszy ogół. Prasa uważa je za atrakcję.

Secundo: Tematy te tym powszechniej rozchodzą się, im poważniejszych dotyczą zamierzeń i osiągnięć. Trzeba jednak zawsze dobrej woli prasy wychodzić naprzeciw, ze świadomością, że **o górach pisać mogą interesująco tylko ludzie gór.**

Tertio: Wykorzystanie prasowo-propagandowe poważnych tematów wysokogórskich wymaga akcji dwutorowej: autorskiej i redakcyjnej, zsynchronizowanych wedle z góry ustalonego planu. Ktoś musi odpowiadać za informowanie prasy przez Klub i wysokogórców; w czasie wypraw szczególnie należyte zaspokojenie potrzeb prasy i propagandy musi być uważane za pierwszy po osiągnięciach alpinistycznych obowiązek nałożony na uczestników wyprawy.

Quarto: Pośrednictwo agencyj prasowych okazuje się najlepszym środkiem zbliżenia tematów wysokogórskich do społeczeństwa. Za zainteresowaniem motywem walki i sukcesu, idzie zainteresowanie tłem i aktorami; to drugie zaspokoić trzeba przechodząc od notatek do barwnych prac dziennikarskich i beletrystycznych. Że materiał ajencyjny jest jednobrzmiący to nie argument: w Polsce ludzie czytają zazwyczaj tylko jedną gazetę dziennie.

Quinto: Propaganda jest póty dobra, póki nie zaczyna trącić reklamą.

Warszawa, 1942 r.

Sławomir Dunin-Borkowski

Dalsze echa Polskiej Wyprawy Himalajskiej

Pragnę uzupełnić artykuł S. Dunin-Borkowskiego, pisany w czasie wojny, pt. »Echa prasowe Polskiej Wyprawy Himalajskiej«.

W czasie wojny i po niej ukazał się dalszy szereg atykułów, a nawet osobne wydawnictwa o Polskiej Wyprawie Himalajskiej, w różnych językach. Drobnych wzmianek było bardzo dużo, zbyt wiele, aby zestawić tu nawet te, które są mi znane. Jeżeli chodzi nawet o osobne artykuły, to niewątpliwie nie posiadam wiadomości o wszystkich, gdyż polskie biblioteki posiadają duże braki w kompletach czasopism alpinistycznych za okres wojny, a nawet za czasy powojenne.

Poniżej podaję zestawienie znanych mi dotąd osobnych artykułów i wydawnictw na temat Polskiej Wyprawy Himalajskiej, nieuwzględnionych we wspomnianym artykule S. Dunin-Borkowskiego.

J. Bujak: Première ascension de la Nanda Devi Orientale (7434 m.) par la première Expédition Polonaise à l'Himalaya (avril-août 1939). — La Montagne, 1940, 1—4, ilustr.

J. Bujak: The Polish Ascent of Nanda Devi East, 1939. — Himalayan Journal, 1940, 65—80 + mapka i fotografie.

S. B. Blake and J. Bujak: The Polish Ascent of Nanda Devi, East Peak, 1939. — Alpine Journal, 1941, 31—45, ilustr.

Jakub Bujak: Polish Himalayan Expedition. Glasgow 1944. A Polish Library Pamphlet. Stron 16, ilustr.

J. Z. Bujak: My Highest. — Alpine Journal (rok nieznany).

Marcel Kurz: Polnische Garhwal-Expedition 1939. — Berge der Welt, herausgegeben von der Schweizerischen Stiftung für Alpine Forschungen, Band II, Zürich 1947, 178—181.

Marcel Kurz: Expédition Polonaise au Garhwal 1939. — Montagnes du Monde, publié par la Fondation Suisse pour l'Exploration Alpine, Volume II, Lausanne 1947, 158—161 + 1 fot.

Jan K. Dorawski: O pierwszej polskiej wyprawie w Himalaje. — Wierchy, Kraków, 17 (1947), 91—110, ilustr. + 1 tablica.

Janusz Klarner: W śniegach Himalajów. Warszawa 1948. Stron 64.

Rudolf Jonas: Die erste polnische Himalaja-Expedition. — Oesterreichische Alpenzeitung, Wien, 67 (1949), nr 1246, 115—117, ilustr.

Do powyższych pozycji dochodzi jeszcze szereg artykułów w himalajskich rocznikach XXV (1941) i XXVI (1942) konspiracyjnego Taternika, przedrukowane i uzupełnione w bieżącym XXXI (1949) roczniku Taternika, poświęconym Polskiej Wyprawie Himalajskiej.

Osobnego wydawnictwa książkowego o Polskiej Wyprawie Himalajskiej dotąd nie doczekaliśmy się; luki tej nie może zapełnić ani broszura Bujaka (zbyt ogólnikowa), ani broszura Klarnera (opisująca tylko część Wyprawy). Dziwić się należy, że dotąd żadna polska firma wydawnicza takiej książki nie wydała; tym bardziej, że zagranica oświadczyła już gotowość przetłumaczenia i wydania książki tego rodzaju.

Witold H. Paryski

Kilka wniosków wyprawowych

(Przedruk artykułu, który ukazał się w czasie wojny w nielegalnie wydawanym Taterniku XXVI, 1942, zeszyt 3—4, str. 30—42 — z drobnymi poprawkami autora.)

Powodzenie jakiejkolwiek wyprawy egzotycznej, której za cel postawiono osiągnięcie zdobyczy naukowych czy terenowych, zależne jest w dużej mierze od doboru ludzi, którzy stanowić mają zespół ekspedycyjny. Problem wyboru uczestników wyprawy jest jednym z najtrudniejszych dla kierownictwa ekspedycji. O ile dla rozstrzygnięcia szeregu ważnych zagadnień organizacyjnych, które warunkują wyniki przedsięwzięcia np. w sprawach wyboru sprzętu, środków żywności, czy też metod komunikacji, oprzeć się można na kryteriach konkretnych, pozwalających na skalkulowanie co, w jakim gatunku i w jakiej ilości należy zabrać, o tyle odnośnie do ludzi, trudno znaleźć tę miarę czy sprawdzian, który pozwoliłby zawczasu ocenić dany zespół jako korzystny lub dla wyprawy negatywny.

W artykuliku niniejszym zamierzam podać kilka uwag, dotyczących problemu oceny ludzi których kandydatury brane są pod uwagę przy organizowaniu wyprawy „zdobywczej" naukowej, lub alpinistycznej. Do wniosków swoich dochodziłem stopniowo podczas czterech ekspedycji do krajów podbiegunowych. Warunki dalekiej północy przeprowadzają dość jasno a szybko selekcję wśród uczestników wyprawy, w zależności od tego czy kwalifikacje psychiczne tych ludzi zgodne są, czy też niezgodne z wymaganiami imprezy. Znana to rzecz, że okolice podbiegunowe są próbą charakterów. Toteż obserwacje poczynione nad „problemem ludzi" w krajach polarnych mogą być, jak sądzę, interesujące. Zjawiska bowiem składające się na to zagadnienie przejawiają się tam z jaskrawą wyrazistością.

Nie można oczywiście nigdy ustalać jakichś gotowych schematów, do których przyrównywać mielibyśmy ludzi, oceniając ich wartości dla wyprawy. Trzeba się pogodzić z faktem, mającym zresztą swój walor i urok, że ludzie kandydujący do wypraw, stanowią zazwyczaj element o silnie zaznaczonych indywidualnościach. Niemal zawsze skład wyprawy przedstawia się jako mozajka osobników różnobarwnych, a często kontrastujących ze sobą. Niewątpliwie jednak istnieją cechy, które każdy uczestnik wyprawy powinien posiadać, aby zespół ze sobą harmonizował. Ważniejsze z tych cech wymienię poniżej. Podkreśliwszy je, zmierzę do konkluzji,

że istnieje moim zdaniem szkoła wyrabiająca je lub rozwijająca. Szkołą tą jest (albo też może być) taternictwo. Kto przez nią przechodził, daje tym samym podstawy do przychylnego rozpatrywania (abstrahując od kwalifikacji naukowych lub tylko wspinaczych zdolności) swej kandydatury do wyprawy egzotycznej.

Poglądy na temat tego co nazywamy taternictwem i kogo uważamy za taternika, są różne. Wiemy wszyscy, że istnieją kapitalne różnice pomiędzy turystą tatrzańskim, jego poniekąd „odwrotnością" wspinaczem, gardzącym szlakami turystycznymi, oraz taternikiem, łączącym wiele cech jednego i drugiego. Podanie obiektywnej definicji taternictwa jest trudne. W zjawisku tym moment „przeżyć" zaakcentowany jest tak silnie, że definiowanie go jest ostatecznie przede wszystkim wyrazem osobistych poglądów autora definicji. Na manowce tej sprawy nie będę tu wkraczał. Klemensiewiczowskie jej ujęcie wydaje mi się dostateczne. Moje osobiste „podbarwienie" uogólnień, zawartych w Zasadach Taternictwa, czytelnik o dobrej woli wyczuje zapewne ze zdań dalszych.

Pierwszym doświadczeniem, które przyswoić sobie należy przed jakąkolwiek ekspedycją egzotyczną, zwłaszcza zbiorową, to to, że wyprawy naukowe i alpinistyczne są przedsięwzięciami rzetelnie pełnymi pracy. *Zasadniczym błędem popełnianym przez nowicjuszy, jest robienie sobie nadziei, że wyprawa egzotyczna jest jednym pasmem miłych i ciekawych wrażeń*, które chłonie się łatwo i z tym nastawieniem, że to one stanowią istotny cel i treść wyprawy. *W przedsięwzięciach poważnych rzeczywistość przedstawia się właśnie na odwrót*. Praca fizyczna, praca umysłowa i praca charakterów wypełniają szczelnie okres trwania ekspedycji i z jej działaniami są nieuchronnie związane. Zdolność do ponoszenia wysiłków tych trzech kategorii powinna leżeć w naturze każdego członka ekspedycji.

Kwalifikując kandydatów na uczestników wyprawy, z oceną zdolności do pracy fizycznej jak też i umysłowej, w ogólnej zasadzie nie ma większych kłopotów. Nie istnieje tu wprawdzie oczywiście sprawdzian bezwzględnie pewny, są jednak dostateczne po temu, aby wśród względnych wartości wszelkich obliczeń i przewidywań, dotyczących organizowanej wyprawy, ocenić dodatnio lub ujemnie kandydata. Sprawność czysto fizyczną określić mogą odpowiednie badania lekarskie. Jeżeli kandydat uprawia taternictwo, to tym bardziej ułatwia ocenę swych walorów w tej dziedzinie. Zdolność do wykonywania pracy umysłowej gwarantują osiągnięcia naukowe kandydata, oraz aktualne opinie środowiska fachowców danego typu. Z oceną dotyczącą zdolności do wykonywania „pracy charakterów" jest nieporównanie trudniej. I tu wprawdzie oprzeć się możemy na opiniach ludzi godnych zaufania, wiemy jednak jak względne są poglądy ludzkie w takich wypadkach. Wiemy też, że warunki wyprawy wydobywają z uczestników cechy ich charakterów, których nie tylko ludzie z ich otoczenia, ale nawet sami ich właściciele nie znają. Każda wyprawa egzotyczna to nie tylko podróż do krajów dalekich, ale także wędrówka poprzez egzotyczne zakątki własnego „ja".

Sprawa odpowiednich kwalifikacji duchowych uczestnika wyprawy jest zupełnie zasadnicza. Nie mam bynajmniej zamiaru schodzić na tory metafizyki; każdemu jednak wiadomo, że do sprawnego funkcjonowania motorów mięśniowych przy wysiłkach fizycznych, czy mózgowych, potrzebny jest duży zasób podniet, które dać może tylko specyficzna a głęboka kultura duchowa, powyżej oceniona jako „zdolność do pracy charakterów".

Ogólnie biorąc uczestnik „zdobywczej“ wyprawy egzotycznej powinien posiadać cechy charakteru, które podzieliłbym na „podstawowe“, czyli te, które stanowią wyjściowy podkład dla wszelkich poczynań, oraz „wykonawcze“, czyli te, które przejawiają się już w samej akcji.

Podstawowe to:

1. Wyrobione poczucie odpowiedzialności i stała świadomość, że ogólne cele wyprawy są ważniejsze od jakichkolwiek spraw osobistych, aktualnych w czasie ekspedycji.
2. Zdolność i dobra wola do zgodnego współżycia z towarzyszami.
3. Odwaga decyzji.
4. Zdolność do odczuwania satysfakcji, jaką dają wielkie wysiłki.

Wykonawcze:

1. Inicjatywa pracy.
2. Zdolność i gotowość do niespodziewanego podejmowania pracy, niezależnie od ewentualnie istniejącego już zmęczenia lub złej kondycji fizycznej albo psychicznej.

Wymienione powyżej właściwości charakterów są oczywiście daleko posuniętymi uogólnieniami. Nie wyczerpują też całego problemu. Wszystkie one zazębiają się o siebie nawzajem. Każdej z wymienionych cech możnaby poświęcić artykulik dyskusyjny. Nie będziemy tu tematów tych zbyt rozszerzać. W gruncie rzeczy jest to niemal oczywiste, iż każdy uczciwy człowiek, wiążący się ewentualnie z wyprawą, podświadomie wie przynajmniej o prostych prawdach ujętych w powyższe naiwne nieco zestawienie. Podaję je jednak, bo praktyka wyprawowa (tak jak i w ogóle życiowa) wykazuje, że istnieje potrzeba bardzo konkretnej świadomości tego, co z siebie mamy dawać, aby móc przed wyprawami popracować nad przygotowaniem się do nich.

Procesy psychologiczne i „praca charakterów“, które są udziałem każdego uczestnika wyprawy egzotycznej, oraz zespołu jako całości, są nader różnorodne, a w dużej mierze zależne od rodzaju samej ekspedycji. Dają się one jednak przyrównać do tych, jakie mają miejsce w wyprawach taternickich, stanowiących często niejako miniaturę ekspedycji egzotycznych.

Jedynie może dla procederu wyrabiania w sobie poczucia odpowiedzialności za rezultaty ekspedycji i świadomości wagi celów wyprawy, z trudem znajdziemy bliższe analogie w poczynaniach taternickich. Ekspedycja bowiem musi być zawsze doprowadzona do pomyślnego końca, bez względu na wysiłki jej pracowników, i musi konsekwentnie zmierzać do swego celu. Wziąwszy udział w wyprawie i rozpocząwszy swą pracę, nie ma się już odwrotu. Nie każdy zdolny jest do godzenia się z tym.

W wyprawach taternickich istnieje przeważnie rozkoszna dowolność w dysponowaniu sobą. Gdy chcę — mogę iść w góry; gdy nie chcę — mogę się na przykład wylegiwać w Roztoce. Tego czynnika w wyprawach egzotycznych w zasadzie nie ma wcale. Taternik dopiero wszedłszy w skałę stawia się w sytuacji podobnej do uczestnika wyprawy. Ale jeszcze i w tym wypadku na ogół łatwiej i prędzej można zjechać ze ściany i wycofać się w razie warunków niekorzystnych, niż np. dokonać tego z wnętrza Spitsbergenu czy Kordylierów. Nie mówię tu nawet tyle o samych kłopotach, wynikających z trudności terenowych, ile o tym, że „waga gatunkową“ celów wypraw tatrzańskich i egzotycznych jest całkiem odmienna. Świadomość tego faktu trzeba w sobie wyrobić. Na wy-

prawie egzotycznej w zasadzie nie ma pojęć takich jak: „dzisiaj nie jestem dysponowany, więc wycofuję się od pracy"; albo tym bardziej: „ta robota nie interesuje mnie, nie mam na nią ochoty". Wyprawa egzotyczna to statek wypływający na szerokie wody. Każdy uczestnik jest członkiem jego załogi i jedną ma tylko ewentualność: jechać do wspólnego celu.

Wszystkie następne wyżej wymienione wymagania, stawiane uczestnikom ekspedycji, znajdują swoje bliskie odpowiedniki w praktyce taternickiej. Odwaga decyzji, to zdolność do przyjmowania na swoją odpowiedzialność kroków organizacyjnych i zdobywczych wyprawy. To śmiałość w decydowaniu o rozmiarach wydatków w podróży, czy też o wyborze szlaków nieznanych, które trzeba przebyć.

Zdolność do współżycia z towarzyszami — wielka filozofia wyprawowa. Wiąże się ona ściśle z zagadnieniem poczucia odpowiedzialności u uczestników ekspedycji, jest jednak problemem tak zasadniczym, że zasługuje na wymienienie oddzielnie. Skromność w ocenie własnych wartości, dobra wola w krytyce towarzyszy, równowaga własnych nastrojów, umiejętność ustępowania, wyzbycie się małostkowości i wstręt do jakichkolwiek drobiazgowych nawyków i przesądów, to podstawowe fundamenty dobrego współżycia. Wśród silnych indywidualności obcych naturze własnej, trudno jest często utrzymać przyjacielskie stosunki z towarzyszami. Ośmielam się twierdzić, że *wyprawy egzotyczne nie stwarzają warunków dogodnych do zawiązywania się przyjaźni głębokich.* Tego rodzaju przypadki są prawdziwie rzadkie. W czasie trwania wyprawy obowiązkiem, który na siebie trzeba umieć nałożyć, jest dla każdego uczestnika dbanie o dobre stosunki koleżeńskie i o współpracę zgodną z towarzyszami. Z satysfakcji zdobycia przyjaciół można z góry zrezygnować.

W związku z tą sprawą godnym może przytoczenia będzie przykład pomyślnego uregulowania współżycia trzech członków przeszło rok trwającej wyprawy na Wyspę Niedźwiedzią (1932-1933). Przed ekspedycją nie znaliśmy się wzajemnie. Poznanie się już w podróży wykazało dużą różnicę temperamentów i poglądów życiowych. Niemniej, pożycie nasze, przez niemal pełne dwa dni polarne i długotrwałą zimową noc, było nadzwyczaj zgodne. Mieliśmy w stosunku do siebie dobrą wolę. Jednym z czynników, które w tej dziedzinie odegrały niewątpliwie poważną rolę, było wprowadzenie pewnych rygorów, do których z własnej inicjatywy stosowaliśmy się nawzajem.

Po pierwszym mniej więcej sześciotygodniowym okresie organizowania naszej stacji badawczej, kiedy życie nasze nie było jeszcze uregulowane przez system obserwacji, a pomiary naukowe jeszcze nie rozpoczęte, praca natomiast fizyczna, zmierzająca do organizacji naszej stacji badawczej, wprost ścinała nas z nóg, mogliśmy obserwować na sobie niewątpliwie wzrastającą skłonność do popadania w abnegację w formach naszego wspólnego życia. Któregoś dnia umówiliśmy się jednak, że odtąd nie będzie się już do jedzenia siadało w czapkach, że na początku dni pracy będziemy sobie mówili „dzień dobry", przed snem zaś „dobranoc", że będziemy unikać wszelkich ordynarności w stosunku do siebie, że będziemy jadać na talerzach a nie wprost z garnków (chociaż ich mycie wodą topioną ze śniegu stanowiło proceder wcale nie miły); że zawsze, niezależnie od przekonania, temu z nas, który gotował posiłki (zmienialiśmy się przy tej czynności sprawiedliwie i regularnie co trzeci

dzień) będziemy mówić, że nam jedzenie smakowało i że... dziękujemy.

Przepisy pozornie naiwne. Były one jednak niewątpliwie bardzo wartościowym wynalazkiem. Mogę zapewnić, że przy całej świadomości „kulis“ faktu, każdy z nas był rad słysząc umówioną pochwałę za znój czarnej pracy w kuchni i każdy czuł pewien zgodny rytm pracy, powtarzając codzień uprzejmie „dzień dobry“ i „dobranoc“.

Nie ulega wątpliwości, że współżycie wzajemne ludzi na wyprawie wymaga stosowania się do pewnych reguł nawet zupełnie konwencjonalnych. Pewien wewnętrzny a najlepiej samorzutny przymus w tej dziedzinie jest stałym ćwiczeniem ludzi w skromnym chociażby opanowywaniu się i wydobywa wartości, zamierające przy zupełnym zaniedbaniu tzw. „form“ współżycia.

Taternictwo dać może w tej dziedzinie szkołę wstępną. Dobieranie sobie różnych towarzyszy, przystosowywanie się do siebie w różnych sytuacjach wypraw górskich, może być treningiem przed ekspedycjami egzotycznymi. Opinia, jaką wyrabia sobie z czasem taternik jako towarzysz w górach, może stanowić również kryterium do kwalifikowania jego wartości dla wyprawy.

Na pierwszym miejscu wśród cech „wykonawczych“, wymienionych wyżej, postawiłem „inicjatywę pracy“. Wysiłki ponoszone w wyprawach podzielić można (skoro już sobie pozwalam na pewną skłonność do systematyki) na dwie kategorie, oczywiście ściśle ze sobą związane. Pierwsza — to kategoria prac, które są bezpośrednim dążeniem do osiągnięcia głównych celów ekspedycji. Organizacja transportów, pochody, zdobywanie szczytów, czy też praca naukowa. Możemy te działania nazwać głównymi. Drugi zakres czynności, nazwijmy je pobocznymi, to ten, w którym mieszczą się wszystkie drobniejsze wysiłki, wynikające niemal w każdej chwili trwania wyprawy. Poprawienie uszkodzonego sprzętu, pójście po wodę czy też zaczerpnięcie śniegu do topienia, umocnienie wadliwie postawionego namiotu, poprawienie ładunku na mułach czy na saniach, zwinięcie mokrej liny po odbytej wspinaczce...

Inicjatywą pracy nazywam zdolność do samorzutnego wykonywania, bez nakazu kierownika czy też dyskusji z towarzyszami i niezależnie od aktywności czy też rozleniwienia tych ostatnich, prac nie tylko „głównych“ ale też i „pobocznych“. W wyprawach np. na Spitsbergen, gdzie nie dysponuje się siłami roboczymi tubylców (z tej prostej przyczyny, że ich tam nie ma), kwestia tej „inicjatywy pracy“ jest zupełnie zasadnicza. To samo zresztą odnosi się do ekspedycji korzystających z pracy tragarzy czy np. mulników. Nie w każdej potrzebie można się zwracać do tubylczych pomocników. I dla tego, że dla wielu prostych spraw bywa to procederem zbyt skomplikowanym, jak też i z tej przyczyny, że niemal regułą jest, iż tubylcy patrzą na Europejczyka jako na istotę egzotyczną. Cechy jego śledzą i podchwytują bardzo trafnie. I od nich uzależniają własne postępowanie. Miałem możność obserwowania tego na przykładzie naszych sześciu eskimoskich pomocników na Grenlandii. — Kto sam nie wykazuje inicjatywy pracy, niech się nie spodziewa wykrzesania tego waloru z tubylców.

Ściśle wiąże się z tą sprawą kwestia zdolności do wykonywania pracy niezależnie od wysiłków poniesionych poprzednio. Zaledwie rzadko kiedy dopuszczalne jest na wyprawie powiedzenie w stylu: „Na dziś robotę skończyłem; nic już mnie więcej nie obchodzi“. Skłonność natomiast do takiej filozofii jest objawem częstym. Potrzeby wyprawy są jej

niestety z zasady przeciwne. Trzeba mieć „zryw“! Układając się do snu, trzeba umieć wypełnić jeszcze kartki notatnika, czy też nawet wygrzebać się ze śpiwora i wejść boso w śnieg, aby naciągnąć zluźniony przez uderzenie wichury sznur od namiotu. Trzeba też umieć powrócić po takiej czynności do namiotu i ułożyć się pomiędzy towarzyszami bez poczucia, że się właśnie dokonało czegoś więcej niż oni.

W krajach polarnych może w silniejszym stopniu niż gdzieindziej potrzebna jest ta właśnie umiejętność podejmowania pracy w każdej chwili. W innych okolicach Ziemi działalność ekspedycyjna stosuje się prawie zawsze do rytmu okresów dziennych, wieczór jest zazwyczaj terminem końcowym określonej fazy wysiłków. Na dalekiej północy natomiast w okresie lata trwa dzień nieustanny, podobnie jak w zimie noc. Działalność wyprawy uzależniona jest więc w pierwszej mierze nie od położenia słońca lecz od pogody. Wywołuje to niemal zupełny brak rytmu pracy: zjawisko z którym z początku dość trudno jest się pogodzić. Pory posiłków i odpoczynków wypadają w terminach dla mieszkańca krajów „dalekiego południa“ zupełnie anormalnych. Wyprawa jednak tylko wtedy osiągnąć może poważne rezultaty, jeśli jej uczestnicy potrafią się do tego jej trybu dostosować i dawać z siebie wysiłki długotrwałe. Nasz geolog czy kartograf na Spitsbergenie dochodzili do rekordów takich jak np. 35 godzin wytężonej umysłowej i fizycznej nieprzerwanej roboty.

Każda zresztą ekspedycja egzotyczna ma swoje własne oblicze i sobie właściwe wymagania, które pod najrozmaitszymi formami stawiają uczestnikowi zasadnicze wymaganie jedno: ż ą d a j ą p r a c y.

Efekty ekspedycji są wynagrodzeniem za jej trudy dla uczestników. Tworzą się one jednak dopiero w toku wyprawy i satysfakcją, jaką niosą, nie wynagradzają wysiłków bezpośrednio. Urok egzotyzmu otoczenia powszednieje dla ludzi w miarę zżywania się ich z danym terenem. Piękno ekspedycji dla tych, którzy w przeżyciach wyprawowych oczekiwaliby samych tylko przyjemności, nabrać potrafi smaku goryczy. Sądzę, że na to, aby przez wyprawę przechodzić bez rozczarowań a z rozmachem potrzebnym do zwycięstwa, trzeba w samym fakcie wykonywania pracy umieć znajdować satysfakcję i urok. Im trud jest cięższy, im większe napięcie wysiłków, im znój bardziej przeradza się w walkę, tym czar jego wspanialszy. Wzamian za największe wysiłki otrzymuje się bezpośrednio tylko pieczenie potu w oczach i jego smak w ustach, łyki mroźnego powietrza, wciąganego w płuca, lub poczucie pełnego wyżycia się fizycznego i umysłowego. Obiektywna wartość tych wynagrodzeń jest żadna; subiektywna — najwyższa. To bowiem jest pełnym życiem.

O taternictwie Klemensiewicz w swych Zasadach Taternictwa pisze podobnie: „w taternictwie bowiem przejawia się żądza zmierzenia sił własnych z trudnościami i niebezpieczeństwami i odniesienie zwycięstwa tak nad tym wrogiem zewnętrznym, jak i nad przyrodzonym tchórzostwem. Wreszcie fizjologiczna potrzeba walki, wypływająca z prastarych instynktów rodzaju ludzkiego... Łączy się z tym rozkoszne uczucie, jakiego doznajemy przy zatrudnianiu pełni władz fizycznych i umysłowych, dzięki któremu mogą się rozwijać takie przymioty jak odwaga, przytomność umysłu, zmysł orientacyjny, które u większości ludzi niepotrzebne na codzień, marnieją“.

W wyprawach egzotycznych momenty te zaakcentowane są jeszcze silniej. Dla tego uważam taternictwo za szkołę dla wypraw, a Tatry za

środowisko kryjące w sobie tym więcej potencjalnych możliwości wychowawczych dla naszego ruchu pionierskiego im pierwotniejsze są ich szlaki szczytowe i dolinne.

Rzecz charakterystyczna: niemal we wszystkich ostatnich naszych ekspedycjach egzotycznych (Andy, Spitsbergen, Atlas, Ruwenzori, Kaukaz, Grenlandia, Nikaragua, Himalaje) ludzie ze środowiska taternickiego odgrywali role poważne lub decydujące. Kryterium oceny kandydata do wyprawy w oparciu o jego stosunek do Tatr, jest niewątpliwie uzasadnione. Nie może być ono oczywiście regułą ogólną. Po pierwsze jest rzeczą oczywistą, że ludzi „spoza Tatr" nie można z góry oceniać negatywnie, po drugie zaś nie każdy taternik jest typem dla wyprawy pozytywnym. Ci, którzy istotę taternictwa widzą jedynie w uprawianiu wspinaczek, a całej gamy przeżyć (nie zawsze miłych) i wysiłków podejmowanych na podejściach pod ściany, lub przy poznawaniu wielkich a łatwiejszych szlaków, unikają jak ognia, albo uważają je tylko za *malum necessarium*, ci są dla wypraw elementem trudnym do ocenienia z góry, przeważnie jednak niebezpiecznym. Ten właśnie typ jest wprowadzany w Tatry przez wszelkie „udogodnienia" w górach, brukowane ścieżki i kolejki linowe.

Jest rzeczą pewną, że Tatry nie są tylko perełką jako niewielkie gniazdo górskie typu alpejskiego, kryjące w sobie całe bogactwo problemów przyrodniczych, o których mogliby czy chcieliby nie wiedzieć tylko ludzie ciemni, dążący do zniszczenia kolejkami i „ceprostradami" ich pierwotnego oblicza. Są też równocześnie enklawą, drobnym i odosobnionym skrawkiem naszego kraju, który w swej pierwotności i nieprzystępności kryje głębokie i dla społeczeństwa potrzebne wartości wychowawcze, splatające w swym oddziaływaniu na człowieka efekty jego wyrobienia fizycznego i moralnego.

Stanisław Siedlecki

Rozwój alpinizmu w Związku Radzieckim

Sezon 1947 r. wykazał, że — nie bacząc na duży uszczerbek zadany przez wojnę materialnej bazie alpinizmu — radzieccy wysokogórcy nie tylko z powodzeniem odbudowują to, co zostało zburzone przez wrażych złoczyńców, ale dochodzą też do nowych osiągnięć w doskonaleniu się sportowym, w swej działalności badawczej i pracy nad umasowieniem alpinizmu.

Namiotowe miasteczka wysokogórskich obozów na nowo ożywiły dzikie doliny górskie Swanecji, Kabardy, Tiań Szania, Karpat. Setki młodzieńców i dziewcząt wspinają się po śnieżnych polach i skalistych graniach, opanowując trudną umiejętność zdobywania górskich szczytów.

Na lodowych płaskowyżach i wysoko wznoszących się graniach Kaukazu już przed ostatnią wojną prowadziły swą pracę grupy badawcze, opracowując i sprawdzając nową technikę zdobywania górskiego terenu, nowe modele ekwipunku alpinistycznego, studiując zachowanie się organizmu na wielkich wysokościach. Alpiniści nieśli swą technikę sportową w pomoc nauce. Towarzyszyli oni grupom topografów, fizjologów, geofizyków, torując im szlaki w niedostępne ongiś obszary.

Od zielonych zboczy Karpat do wulkanów Kamczatki — wszędzie pracowali radzieccy wysokogórcy, a praca ich służyła ojczyźnie.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Alpinizm w postaci sportu masowego zaczął się rozwijać w Związku Radzieckim dopiero po Rewolucji Październikowej. Za zapoczątkowanie górskich wejść w Rosji należy przyjąć elbruską wyprawę generała Emmanuela w 1829 r. Jednakże aż do czasów radzieckich sport ten nie rozwija się dostatecznie, pomimo ogromnego obszaru kraju zajętego górskimi masywami, w badanie których imponujący wkład wnieśli wielcy rosyjscy badacze: P. P. Sjemionow Tiań-Szański, M. M. Przewalski, M. A. Sjewiercow, I. W. Muszkietow.

Wejście w 1829 r. dokonane było, jak wiadomo, na wschodni wierzchołek Elbrusa (5595 m) przez kabardyńca Kiłłara, przewodnika wyprawy gen. G. A. Emmanuela. Później, w 1850 r. duży oddział wojskowy pod komendą Józefa Chodźki wchodzi na Ararat (5156 m) i Ałagez (4096 m).

W drugiej połowie XIX w. topografowie A. Pastuchow i G. Kawtaradze dokonywają pomyślnie wejść na Elbrus (5633 m), Kazbek (5043 m), Szach Dag (4255 m), Adaj-choch (4408 m) i inne szczyty. Do tegoż czasu odnosi się i organizacja pierwszych górskich stowarzyszeń rosyjskich, nielicznych osobowo. Nie zostawiły one ważniejszych śladów w rozwoju nauki i sportu.

Od 1900 po 1917 r. rosyjscy alpiniści: S. E. Gołubiew, M. P. Preobrażenska, A. I. Duchowski, J. I. Frołow i inni dokonywają wejść przeważnie w grupach Elbrusa i Kazbeku.

Trzeba zaznaczyć, że w liczbie pierwszych rosyjskich alpinistów był i Sergiusz Mironowicz Kirow, który dokonał w 1910 r. wejścia na Kazbek, a w 1911 r. na Elbrus, oraz brał czynny udział w pracy demokratycznego w swym składzie Władykaukaskiego Towarzystwa Politechnicznego, zajmującego się badaniem wysokogórskich obszarów Kaukazu.

Za rok początku nowego okresu i rozwoju sportu wysokogórskiego, za datę narodzin alpinizmu radzieckiego przyjęto liczyć dzień 28 sierpnia 1923 r., kiedy 18 studentów i pracowników naukowych Tbilisi (Tyflisu) z prof. G. N. Nikoładze na czele dokonało wejścia na szczyt Kazbeku. Już w tym pierwszym wejściu był uwidoczniony główny rys alpinizmu radzieckiego — jego masowość.

Okres od 1923 do 1929 r. charakteryzują wejścia na stosunkowo dostępne i najbardziej popularne szczyty Kaukazu. Ale w następnych latach, równocześnie z szerokim rozwojem masowego alpinizmu i podniesieniem poziomu pokonywanych trudności, radzieccy sportowcy opanowują również wyższą technikę alpinistyczną. Rozpoczyna się szturm na wszystkie trudniejsze szczyty Kaukazu.

W 1936 r. alpinizm, będący dotychczas w kompetencji Towarzystwa Proletariackiej Turystyki i Wycieczek (OPTE), postanowieniem CKW Związku Radzieckiego przeszedł w kompetencję Wszechzwiązkowej Rady Kultury Fizycznej. Aktem tym podkreślało się ogólnopaństwowe znaczenie sportu wysokogórskiego, co zapewniło mu wszechstronny rozwój. Następne więc lata, 1936—1940, charakteryzują się znacznym rozkwitem radzieckiego alpinizmu, którego rozwój został przerwany przez ostatnią wojnę.

Do alpinizmu w Związku Radzieckim przywiązywało się i przywiązuje ogromną wagę. Przecież znaczenie tego sportu nie ogranicza się

tylko do jego wpływu zdrowotnego. Alpinizm posiada i inne zalety nader pożyteczne dla gospodarki narodowej i obrony kraju. Znana jest poważna rola alpinistów w badaniach geograficznych i geologicznych. Wielkie jest też znaczenie alpinizmu w zastosowaniu do wojska, polegające nie tylko na ogólnym rozwoju zalet fizycznych i woli człowieka, ale i na poznaniu przez niego górskich terenów, na opanowaniu techniki transportów w górach. Doświadczenie działań wojennych w wysokogórskich terenach, w strefie wiecznych śniegów, wykazało, że bez techniki alpinistycznej niemożliwe jest skuteczne prowadzenie tych działań. Nie będziemy już mówić szczegółowo o tym, że wszystkie wejścia i przejścia odbywają się w najpiękniejszych terenach Kaukazu, Tiań Szania, Ałtaju. Wszystko to łącznie czyni zrozumiałą tę ogromną popularność, którą cieszy się alpinizm pośród najszerszych warstw ludności Związku Radzieckiego, a zwłaszcza wśród młodego pokolenia, pośród żądnej wiedzy, odważnej, głęboko patriotycznej młodzieży radzieckiej.

Oto dlaczego tak gwałtownie rozwijał się alpinizm w Związku Radzieckim na przestrzeni wszystkich lat przedwojennych. Od pierwszego wejścia w 1923 r. do dni obecnych radziecki alpinizm przeszedł pełną sławy drogę. Rozwój jego naocznie wyrażają cyfry wejść na najwyższy wierzchołek Europy a najpopularniejszą w Związku Radzieckim górę — Elbrus. W jednym sezonie na szczyty tej góry wchodziło ponad trzydzieści razy więcej ludzi, niż w ciągu 85 lat w starej Rosji.

Na równi ze wzrostem masowego alpinizmu udoskonaliło się i mistrzostwo radzieckich sportowców. Do 1940 r. na Kaukazie były zdobyte prawie wszystkie szczyty, przy czym na liczne z nich dokonano pierwszych wejść, przewyższających wszystko to, czego dokonali zagraniczni mistrzowie. Alpiniści radzieccy nie ograniczali się do wejść na Kaukazie; grupy alpinistyczne docierają do Ałtaju, Tiań-Szania, Pamiru. Dwa razy dokonano wejść na najwyższe szczyty Związku Radzieckiego — Szczyt Stalina (7495 m) i Szczyt Lenina (7127 m); zdobyto dziesiątki innych szczytów; wysokość niektórych zbliżała się do 7000 m: Chan Tengri (6995 m) i inne „sześciotysięczniki“ Środkowej Azji.

Ostatnia wojna wymagała od alpinistów przestawienia całej ich pracy na inny tor, w imię walki za swobodę i niezależność kraju ojczystego. Alpinistyczne hasło jeszcze w czasie pokoju głosiło: „Kto nie zgubi się w śnieżnych górach, ten nie stchórzy i w boju“. Z inicjatywy Wszechzwiązkowej Sekcji Alpinizmu spośród najlepszych alpinistów Związku Radzieckiego stworzono ekipy do pracy w górskich grupach Armii Radzieckiej. Przygniatająca większość mistrzów alpinizmu (tj. mistrzów sportu z dziedziny alpinizmu) dobrowolnie poszła do wojska, oddając swe doświadczenie żołnierzom i oficerom, zużytkowując znajomość gór w działaniach na arenie górskiego teatru wojny.

Na różnych odcinkach ogromnego frontu ostatniej wojny żołnierze i oficerowie-alpiniści, zużytkowując nabytą w górskich marszach a tak niezastąpioną w czasie wojennym wprawę, dawali z siebie wzory waleczności i bohaterstwa. Znaczne były zasługi alpinistów w bitwie o główny grzbiet Kaukazu. Stworzone pod kierunkiem mistrzów alpinizmu specjalnie wyćwiczone oddziały, współdziałały w operacjach jednostek i grup bojowych zakaukaskiego frontu, urzeczywistniały śmiałe manewry na flankach i tyłach przeciwnika.

Już jednak w 1944 r. zabłysły możliwości częściowego wznowienia działalności alpinistycznej. Latem 1944 r. w miejscach gdzie jeszcze nie-

dawno odbywały się srogie bitwy, w obrębie Przełęczy Kłuchorskiej już przeprowadzono alpiniadę Związków Zawodowych. Wielkie były trudności z jej organizacją, kiedy jeszcze dawały się odczuć kłopoty aprowizacyjne, nie było dostatecznej ilości ekwipunku itd. Ale alpiniada odbyła się pomyślnie. W skład jej weszła ucząca się młodzież i instruktorzy, którzy w tym czasie już powrócili z wojska. Trzecia część jej uczestników już była poprzednio w górach. Po zajęciach szkoleniowych wszyscy uczestnicy tej alpiniady dokonali wejścia na szczyt Sofrudżu (3785 m).

Jesienią 1944 r. M. Anufrikow, E. Abałakow i W. Kołomienski — trzej oficerowie Armii Radzieckiej, zajęci w tym czasie szkoleniem instruktorów alpinizmu dla Sił Zbrojnych — dokonali trudnego trawersowania wierzchołków Dżuguturluczat (3919 m).

Alpiniada Związków Zawodowych i wejście grupy wspomnianych trzech oficerów, wyprawa w obrębie Czatkalskiego pasma i poszczególne sportowe wejścia alpinistów Kazachstanu, Kirgizji i Tadżykistanu były pierwszymi zwiastunami odbudowy masowego i sportowego alpinizmu. Udane ich przeprowadzenie dowiodło, że nie bacząc na ogromne straty materialne w gospodarce alpinistycznej i na śmierć szeregu towarzyszy w czasie wojny, alpinizm w Związku Radzieckim w najkrótszym czasie może dosięgnąć przedwojennego poziomu.

Potwierdziło się to w pierwszym powojennym sezonie. Już w 1946 r. w wąwozach Kaukazu pracowało siedem alpinistycznych obozów szkoleniowych; dwa obozy były założone w górach Tiań Szania. W jednym sezonie przeszkolono w obozach Związków Zawodowych i innych wysokogórskich obozach kraju 1763 nowych alpinistów. Sportowych wejść dokonały 224 grupy obejmujące 1557 sportowców. Wliczając i zespół instruktorski możemy rachować, że w pierwszym powojennym sezonie w wejściach wszelkich kategorii trudności uczestniczyło 3740 osób.

Wejścia te okazały, że przez lata wojny radzieccy alpiniści nie utracili swego sportowego mistrzostwa, zademonstrowawszy w pierwszym roku osiągnięcia klasy światowej. W klasie technicznie trudnych szczytów zdobyto następujące: Uszba (4695 m) — wejście pn.-zach. ścianą, zejście Hulskim lodospadem; Uszba — wejście i zejście Hulskim lodospadem; Nakra Tau (4277 m) — wejście pn. ścianą, zejście ku pd. W klasie wejść wysokościowych — szczyty sześciotysięczne: Patchor i Szczyt Karola Marksa w pd.-zach. Pamirze, oraz Szczyt Marmurowej Ściany (pik Mramornoj stieny) w Tiań Szaniu. W klasie trawersowań: trawersowanie szczytu Amanauz (3757 m, Zach. Kaukaz), przebyte w sezonie przez 2 grupy; trawersowanie łańcucha wierzchołków Ptysz (3465 m) — Dżuguturluczat (Zach. Kaukaz); trawersowanie wierzchołków Ullu-tau-czana (4353 m, Centralny Kaukaz), dokonane przez grupę kobiecą; trawersowanie Szczytu Wolnej Hiszpanii (4200 m, Centralny Kaukaz).

Większości tych przejść dokonano po raz pierwszy. Osobno należy jeszcze raz wspomnieć o najtrudniejszym wejściu na Uszbę pionową pn.-zach. ścianą, dokonanym przez zasłużonego mistrza alpinizmu A. A. Maleinowa wespół z mistrzami alpinizmu B. A. Harfem, W. W. Mikłaszewskim i starszym instruktorem G. N. Karawajewem. Szlak wejściowy, wyszukany przez grupę Maleinowa, cudzoziemscy alpiniści uznawali ongiś za niezwykle trudny, którego — w ich opinii — nie zdołaliby prawdopodobnie przejść rosyjscy wysokogórcy.

Alpiniści radzieccy zadali kłam temu dumnemu oświadczeniu, wszedłszy na przełęcz Uszby pn.-zach. ścianą, zdającą się być niedostępną na-

wet dla doświadczonych wspinaczy. Wejście to było najlepszym osiągnięciem alpinistycznym w sezonie 1946 r.

Także dużą wartość przedstawiają wspomniane już wejścia na dwa szczyty pd.-zach. Pamiru: Patchor i Szczyt Karola Marksa, przekraczające 6000 m. Wejść tych dokonano po raz pierwszy i to pod wodzą zasłużonych mistrzów alpinizmu E. Bieleckiego, kierownika wyprawy i E. Abałakowa, kierownika grupy szturmowej. Na Patchor weszło 12 osób, na Szczyt Karola Marksa — 7 osób. Na Szczyt Marmurowej Ściany weszło 7 osób; wyprawę prowadził członek korespondent Akademii Nauk Medycznych, zasłużony mistrz alpinizmu A. A. Letawiet.

Należy podkreślić trudne wejścia grupy zasłużonego mistrza alpinizmu W. Abałakowa na szczyt Nakra Tau i trawersowanie Szczytu Wolnej Hiszpanii. W skład tej grupy wchodzili: zasłużony mistrz alpinizmu M. Gusak i mistrzowie alpinizmu I. Leonow i A. Borowikow. W czasie wejść był po raz pierwszy zastosowany nowy rodzimy ekwipunek, opracowany przez W. Abałakowa, i obu wejść dzięki temu dokonano w rekordowo krótkim czasie. A więc: trawersowanie Szczytu Wolnej Hiszpanii od obozu na przełęczy Kaszka-tasz z zejściem do głównego obozu, założonego nieco wyżej jęzora lodowca, zajęło wszystkiego tylko 12 godzin. Przy wejściu na szczyt NakraTau, pn. ściana była zdobyta przez grupę w 15 godzin.

Grupa, składająca się z 7 gruzińskich alpinistów, dokonała wejścia na pn. wierzchołek Uszby, wszedłszy na jej przełęcz Hulskim lodospadem. Przewodził grupie I. G. Marr; w skład jej wchodzili dwaj Swanetowie — mistrzowie alpinizmu Gabriel i Beknu Chergiani, zasłużony mistrz alpinizmu Aleksandra Dżaparidze i inni. Dżaparidze pierwsze swe wejście na Uszbę odbyła już w 1934 r. i była pierwszą kobietą, która weszła na ten szczyt. Gruzini spotkali się na przełęczy z grupą Aleksjeja Maleinowa, która weszła pn.-zach. ścianą. Po raz pierwszy na groźnym wierzchołku Uszby zeszło się równocześnie 11 osób.

Trawersowanie wierzchołków Ułłu-tau-czana było zrobione przez kobiecą grupę, pod kierownictwem mistrza alpinizmu W. Noskowej; w skład grupy wchodziły także: mistrz alpinizmu Wiera Szer, instruktorzy L. Milutyna i J. Razowska. Trawersowania Amanauz dokonały dwie grupy pod wodzą zasłużonego mistrza alpinizmu I. Juchina i mistrza alpinizmu W. Budanowa. Uczestnicy lepszych wejść zostali nagrodzeni przez Wszechzwiązkowy Komitet do Spraw Kultury Fizycznej i Sportu dyplomami pierwszego i drugiego stopnia.

Wejścia na szczyty Patchor i Karola Marksa, jak również poprzednio przeprowadzone wyprawy i wysokościowe wejścia w Pamirze i Tiań Szaniu, posiadały nie tylko sportowy ale i badawczy charakter. Okolice tych szczytów były mało znane i prace alpinistycznych wypraw wniosły cenny wkład w ich geograficzne naświetlenie. Referaty kierowników wypraw na drugim Wszechzwiązkowym Zjeździe Geograficznym wywołały wielkie zainteresowanie w świecie naukowym, który ocenił wysoko działalność wypraw alpinistycznych. Uznając wielkie znaczenie podobnych wypraw dla dalszego geograficznego poznawania kraju, zjazd postanowił zorganizować Komisję Badań Wysokogórskich przy Towarzystwie Geograficznym, w skład której weszli i przedstawiciele Wszechzwiązkowej Sekcji Alpinizmu.

Wielkie znaczenie przypisuje się rozwojowi zimowego alpinizmu i zimowym górskim narciarskim marszom; doświadczenie nabyte z ucze-

stniczenia w nich dawało poważną wyższość radzieckim alpinistom w ich walkach z niemieckimi zaborcami w latach ostatniej wojny. Na Kaukazie w zimie 1946/7 r. pracował obóz „Lokomotywa". Alpiniści, przechodzący szkolenie pod kierunkiem doświadczonych instruktorów, uczestników obrony głównego grzbietu Kaukazu: zasłużonego mistrza alpinizmu A. Sidorenki i mistrza alpinizmu J. Gubanowa, dokonali wejścia na nartach na szczyty Gumaczi (3809 m) i Lekzyr Tau (4100 m).

Tak straty, poniesione przez alpinistów po wojnie, jak i przestawienie na inną pracę odbiły się na liczebności kadr instruktorskich. W tymże czasie szybkie tempo rozwijania się powojennej pracy w alpinizmie wymagało terminowego wyszkolenia nowych instruktorów. W tym celu w 1946 r. zorganizowano kilka szkół, które wyszkoliły w ciągu sezonu 230 młodszych instruktorów alpinizmu.

Wielka i troskliwa uwaga partii i rządu, poświęcana sprawom zdrowotności świata pracy oraz rozwojowi kultury fizycznej i sportu, stwarzała możliwości dla jeszcze szerszego rozwijania się alpinizmu w 1947 r. Ogromne środki przeznaczone w tym roku na rozwój masowego alpinizmu pozwoliły zorganizować dwanaście szkoleniowych obozów alpinistycznych, co znacznie zwiększyło liczbę wysokogórców. W letnim sezonie 1947 r. w wejściach brało już udział 6729 osób; spośród nich były po raz pierwszy w górach i zdały normy na odznakę „Alpinista ZSRR I stopnia" 3404 osoby — dwa razy tyle, co w 1946 r.

Wzmocnienie i rozszerzenie materialnej bazy alpinizmu oraz odbudowa wytwórni ekwipunku alpinistycznego pozwoliły także szerzej rozwinąć pracę sportową. W 1947 r. sportowe grupy, do których wchodziło 3284 alpinistów, dokonały w różnych górskich okręgach kraju 463 wejść na szczyty wszystkich kategorii trudności, w tej liczbie 32 wejścia na szczyty IV kategorii i 7 — V kategorii.

Wspomnijmy, że cały letni sezon 1947 r. odznaczał się skrajnie nieprzyjaznymi warunkami meteorologicznymi, utrudniającymi wszystkie alpinistyczne marsze, a w szczególności wejścia sportowe na szczyty wyższych kategorii trudności. Nie bacząc na to, w kronice alpinizmu radzieckiego można zapisać serię przeprowadzonych w tym okresie wejść, świadczących o dalszym wzroście mistrzostwa radzieckich wysokogórców. Dość wymienić wejście grupy W. Abałakowa (M. Gusak, W. Czeredowa, I. Leonow, A. Borowikow) na Szczyt Szczurowskiego (4259 m) pn.-zach. ścianą i wejście tychże na zach. wierzchołek Szcheldy (4320 m) pn. ścianą. Należy także wymienić I wejście E. Abałakowa, E. Iwanowa i E. Timaszewa na sięgający blisko 6500 m szczyt w górnych partiach lodowca Sargan (Pamir), nazwany przez zdobywców Szczytem Trzydziestolecia Państwa Radzieckiego. Interesujące wejścia były też przeprowadzone przez grupę W. Niefiedowa (trawersowanie: Szczyt Wolnej Hiszpanii — Bżeduch, 4272 m, Swanecja) i przez ormiańską grupę pod kierownictwem I. Juchina (trawersowanie Tichtengena, 4614 m, Swanecja). Za najlepsze osięgnięcia sezonu jury uznało wejścia grup W. Abałakowa, E. Abałakowa, A. Durnowa.

Prowadząc dalej systematyczną pracę badawczą w Pamirze, wyprawa A. A. Letawieta, która dotarła do górnych partii lodowca Sargan, równorzędnie ze sportowymi wejściami grupy E. Abałakowa zebrała cenny materiał dotyczący badań geograficznych tego odległego, słabo poznanego obszaru.

Druga wyprawa pod kierownictwem D. M. Zatułowskiego pracowała w pd.-zach. Pamirze w okolicy Szczytu Majakowskiego. Wraz z badaniami geograficznymi grupy alpinistów wyprawy dokonano sumarycznie 12 wejść na szczyty I-III kategorii trudności, leżące w tym terenie, i opracowano pierwszą mapę tego mało znanego obszaru.

Mówiąc o pracy badawczej alpinistów, niezbędnym jest zatrzymać się przy systematycznym poznawaniu okolic szczytu Chan Tengri (Tiań Szań), prowadzonym przez zasłużonych mistrzów alpinizmu M. T. Pogrebieckiego i A. A. Letawieta, zaczętym w 1930 r. Badając ten teren w 1937 r., wyprawa A. A. Letawieta przy wejściu na Szczyt Konstytucji Stalina (5250 m) i Szczyt Karpinskiego (5025 m), odkryła niedaleko od Chan Tengri szczyt, od pierwszego wejrzenia nie tylko nie ustępujący tamtemu wysokością, ale, być może, nawet przewyższający „Monarchę nieba" (miejscowa nazwa Chan Tengri). Następne wyprawy potwierdziły to spostrzeżenie. Próba wejścia na nieznany wierzchołek w 1938 r. zakończyła się tym, że z racji niepogody grupa musiała się wycofać, nie określiwszy dokładniej wysokości punktu, do którego udało się jej dojść. Domysły i spostrzeżenia alpinistów potwierdziły się później przy niejednokrotnych spostrzeżeniach czynionych przez oddziały wojskowych topografów, przeprowadzających zdjęcia w tym terenie pod kierunkiem P. N. Papasowa. Przy pomocy pomiarów instrumentalnych i następczego starannego opracowania kameralnego ustalono, że najwyższym szczytem Tiań Szania okazał się nie Chan Tengri, jak dotąd mniemano, lecz inny szczyt, położony o 20 km dalej na pd. i mający 7439,3 m wysokości. Szczyt ten, drugi co do wysokości w ZSRR po Szczycie Stalina, nazwano Szczytem Zwycięstwa (pik Pobiedy). Było to najpoważniejsze odkrycie geograficzne i uczestnicy badań zostali zaszczyceni wysoką nagrodą — złotymi medalami im. P. P. Sjemionowa Tiań-Szańskiego.

Niezwykłymi w swej skali, masowymi i sportowymi zamierzeniami letniego sezonu 1947 r. były: trawersowanie głównego grzbietu Kaukazu i IV alpiniada Wszechzwiązkowej Rady Centralnej Związków Zawodowych. W planie trawersowania przewidywało się przejście w ciągu jednego sezonu, odcinkami przez 30 zespołów grupowo, głównego grzbietu Kaukazu od Elbrusa do Kazbeku, tj. w najwyższej jego części. Interesujący w pomyśle przemarsz miał wykazać nie tylko sportowe mistrzostwo radzieckich alpinistów, ale i ich zorganizowanie, umiejętnośćześrodkowania swych sił dla wypełnienia odpowiedzialnych zadań.

Dla przeprowadzenia trawersowania stworzono sztab pod kierownictwem wiceprezesa Wszechzwiązkowej Sekcji Alpinizmu, generała-porucznika A. F. Gorochowa, i członka prezydium, zasłużonego mistrza alpinizmu P. S. Rototajewa. Rezultaty trawersowania, w którego osiągnięciach główną rolę grała praca grup przechodzących poszczególne odcinki grzbietu, niezbicie dowiodły, że takie przedsięwzięcia całkowicie odpowiadają radzieckim wysokogórcom. Przebyto pomyślnie większość odcinków. Wyróżniła się np. komenda alpinistów Sił Zbrojnych Związku Radzieckiego, pod wodzą zasłużonego mistrza alpinizmu I. Juchina, która przebyła odcinek głównego grzbietu Kaukazu od Elbrusa po przełęcz Bieczo i uskuteczniła trawersowanie masywu Tichtengen. Jednakże ciężkie warunki meteorologiczne, jak również niedociągnięcia w operacyjnym kierownictwie trawersowania na miejscu w górach, nie dozwoliły na przejście niektórych odcinków grzbietu.

Pomyślnie zakończyła się również alpiniada Związków Zawodowych. Biorący w niej udział alpiniści towarzystw sportowych wykonali z nadwyżką wyznaczony plan, dokonawszy wejść na 116 szczytów Kaukazu i Tiań Szania zamiast stu wyznaczonych w planie.

Przytoczone cyfry i fakty świadczą o odbudowie i nowym rozkwicie wysokogórskiego sportu w ZSRR. O wzroście sportowego mistrzostwa radzieckich alpinistów przekonywająco świadczy fakt, że mniej niż w ciągu 2 lat tytuł mistrza alpinizmu otrzymało aż 21 osób, a tytuł zasłużonego mistrza alpinizmu — 10 osób.

Do wojny alpinizm był szeroko rozwinięty we wszystkich prawie górskich republikach Związku Radzieckiego. Tego, niestety, jeszcze nie osiągnięto w pierwszych latach powojennych. Tylko na Ukrainie i w Kirgizji wzięto się na serio do odrodzenia prac alpinistycznych. Alpiniści Ukrainy założyli w 1947 r. swój obóz szkoleniowy. Kilka grup dokonało wejść sportowych, z których najbardziej interesujące zrobiła grupa zasłużonego mistrza alpinizmu A. Zjuzina (trawersowanie Bżeduch — Szczyt Wolnej Hiszpanii). Pod przewodnictwem zasłużonego mistrza alpinizmu M. T. Pogrebieckiego, rzeczywistego członka Wszechzwiązkowego Towarzystwa Geograficznego, był przeprowadzony zjazd instruktorów.

Ukraina otrzymała nową kadrę nauczycieli sportu wysokogórskiego; obecnie alpiniści tej republiki równorzędnie z rozwojem alpinizmu masowego przygotowują się do wielkiej kombinowanej naukowo-sportowej wyprawy w Tiań Szań.

Wielką drogę przeszli radzieccy alpiniści i ta droga pełna jest zmagań o opanowanie trudnego mistrzostwa wejść górskich, zmagań o rozwój masowego alpinizmu.

Alpiniści radzieccy, opanowawszy trudną technikę wysokogórską potrafili nie tylko powtórzyć, ale i prześcignąć światowe rekordy alpinistyczne. Wszystkie szczyty Kaukazu zaliczane w światowej opinii alpinistycznej do najtrudniejszych, zostały zdobyte przez radzieckich alpinistów. W Związku Radzieckim stworzono rodzimą szkołę alpinizmu o rysach właściwych tylko radzieckiej kulturze socjalistycznej. Radzieccy wspinacze skutecznie opanowali także nowy rodzaj wejść — trawersowanie szczytów i dużych odcinków grzbietu, wymagające od alpinisty nie tylko wyrobienia technicznego, ale i ogromnej wytrzymałości. W Związku Radzieckim jest opracowana nowa technika alpinizmu na podstawie bardziej doskonałych modeli alpinistycznego ekwipunku, ułatwiająca przyspieszenie tempa poruszania się na najtrudniejszych odcinkach szlaków na szczyty, a zarazem zapewniająca bezpieczeństwo wejść.

Radzieccy alpiniści-sportowcy bezspornie mogą się z powodzeniem porównywać co do klasy większości wejść — zwłaszcza wysokościowych — z mistrzami Zachodniej Europy, gdzie, jak wiadomo, ten rodzaj sportu kultywuje się już od końca XVIII stulecia. Do ostatniej wojny radzieccy alpiniści pod względem liczby tych, którzy weszli na szczyty o wysokości powyżej 7000 m zajmowali w świecie pierwsze miejsce. W ZSRR do 1937 r. było takich alpinistów 25, w Anglii 23, w Niemczech 16, we Włoszech 13.

Duża uwaga, jaką się poświęca alpinizmowi w Związku Radzieckim i ciągle rosnąca popularność tego sportu wśród młodzieży — są rękoj-

mią, że w najbliższych latach sport wysokogórski w ZSRR dojdzie w swym rozwoju do jeszcze wyższego poziomu.

Aleksander M. Gusiew

Przypisek Redakcji. — Powyższy artykuł A. M. Gusiewa został przetłumaczony z pewnymi skrótami przez Zofię Radwańską-Paryską z rocznika alpinizmu radzieckiego, wychodzącego pt. Pobieżdionnyje Wierszniy, za rok 1948.

Autor — to znany alpinista radziecki, zasłużony mistrz sportu w alpinizmie, w r. 1946 wybrany przewodniczącym Wszechzwiązkowej Sekcji Alpinizmu, mający za sobą wiele pięknych wejść letnich i zimowych. Położył wielkie zasługi w szkoleniu alpinistów i instruktorów alpinizmu.

Dla lepszego zrozumienia organizacji alpinizmu w ZSRR odsyłamy do artykułu »Alpinizm w Związku Radzieckim« w Taterniku XXX, 118-119, oraz do pracy zbiorowej »Sport w ZSRR«. Warszawa 1948 (Biblioteka Sportowa Głównego Urzędu Kultury Fizycznej).

W najbliższym czasie ukażą się w Taterniku dalsze, bardzo ciekawe materiały tyczące się alpinizmu radzieckiego i wtedy też powrócimy do różnych spraw związanych z artykułem Gusiewa.

Na marginesie sprawy Amne Machin

Przez dłuższy czas absorbowała uwagę geografów i alpinistów tajemnicza i niejasna wieść o szczycie rzekomo wyższym od Mount Everestu — a więc najwyższym wierzchołku świata — położonym w górach zachodnio-chińskich. Dziś można legendę uważać za rozwianą. Mimo to jednak obszary Chin zachodnich nastręczają wiele znaków zapytania w dziedzinie geografii, a zwłaszcza geografii pasm górskich. Ba! częstokroć przebieg wielkich rzek nie jest jeszcze definitywnie ustalony.

Jest rzeczą charakterystyczną, że wiadomości o górach i szczytach, nawet pochodzące od wybitnych podróżników, nie mówiąc już o przygodnych wędrowcach, są chaotyczne i mało ścisłe. Wniosek z tego oczywisty i jedynie słuszny — w skład wypraw badawczo-odkrywczych w tereny górskie a zwłaszcza wysokogórskie z reguły winni wchodzić doświadczeni alpiniści. Nie koniecznie po to, by zdobywać szczyty — to może być uboczną nagrodą ich trudów i dla wiedzy geograficznej ma to również doniosłe znaczenie — ale po to, by zająć się specjalnie badaniem pasm górskich, dokonywaniem możliwie dokładnych pomiarów, zdjęć panoramicznych z dogodnych punktów itd.

Już w 1934 r., w artykule umieszczonym w nr 1 ówczesnego organu PTT, Przeglądu Turystycznego, pisałem na temat gór zachodnio-chińskich. Wówczas to wybuchła po raz pierwszy sensacja o istnieniu w tych stronach najwyższego szczytu świata. Wtedy to szwajcarsko-chińska wyprawa (Heim i Imhof) odkryła Minya Konka i ustaliła jej wysokość na 7700 m (dziś 7725 lub 7590 m), degradując równocześnie uważany za najwyższy szczyt tych stron, wierzchołek Dżara z 7800 m na 5900-6000 m. Ustalono również wtedy nazwę dla tych gór — pasmo Tatsienlu — od nazwy ważnego miasta karawanowego w środku tego pasma. Zmiana wysokości w granicach niemal 2000 m jest klasycznym przykładem tego, co mówiłem wyżej. Ale jest to tym dziwniejsze, że tędy, przez środek pasma wiedzie fantastycznymi wąwozami główny szlak z Chin do Tybetu, droga z Czengtu (Cheng-tu), stolicy prowincji Seczuan do Lhasy poprzez Tatsienlu (Ta-chien-lu) — Batang — Cziamdo (Chamdo). Mało tego, jeszcze przed pierwszą wojną światową (ok. 1910 r.!) biegła wzdłuż tej drogi linia telegraficzna aż do słynnego miasta wschodnio-tybetańskiego Cziamdo. Była to linia budowana i obsługiwana przez Europejczyków — i mimo to wiadomości o górach położonych tuż obok drogi były więcej niż chaotyczne. Według danych z tych lat o kilkanaście kilometrów zaledwie na północ od drogi wniesiono na mapy dwa potężne szczyty, wzmiankowaną Dżarę 7800 m oraz Gambu 7700 m. O Minya Konka, leżącym niewiele dalej na południe od drogi nie wiedziano nic — i znaczono tu na mapach szczyty o wysokości zaledwie 5000-5500 m. Tymczasem, jak się okazuje Minya Konka była odkryta i oznaczona wysokością 7800 m już w latach osiemdziesiątych ub. stulecia przez wyprawę Szechenyi'ego, pod nazwą Be-Konka. O odkryciu tym zapomniano i za „królowę gór" tych stron uważano Dżarę.

Ale badając najnowsze, otrzymane niedawno mapy angielskiego dzieła p. t. Regional Atlas Of The World Bartholomew'a i Ogilvie'ego z 1948 r. popadamy na nowo w rozterkę. Na mapach tych Dżara (Jara) ma podaną wysokość 25.584 stóp, tj. 7798 m,

Gambu (bez podania nazwy) 25.250 stóp, tj. 7796 m, zaś Minya Konka 24.900 stóp, tj. 7589 m. I co jest teraz prawdą? Ko a Dżary jest tak dokładna (25.584 stóp), że robi wrażenie pomiaru, nie oceny.

Okazuje się jednak, że wyprawa Heima i Imhofa nie dotarła do właściwego źródła legendy. Tymi najwyższymi górami świata miały być nie szczyty pasma Tatsienlu — lecz gór Amne Machin. Leżą one o kilkaset kilometrów dalej ku północnemu zachodowi, w wielkim kolanie rzeki Hoangho, na północ od jej górnego biegu, a na południe od słynnego jeziora Koko Nor. W czasie ostatniej wojny legendy te wzrosły gwałtownie wskutek relacyj lotników amerykańskich, którzy tamtędy przelatywali kilkakrotnie. O końcu tej legendy — patrz Taternik XXX, 66.

Czy jednak najwyższy szczyt Amne Machin ma tylko ok. 18.000 stóp, tj. ok. 5400-5500 m? Zdaje się, że są to mimo wszystko góry dochodzące do 7000 m, jeśli nie przewyższające tej wysokości. Mapy z lat 1910-12 dawały najwyższemu szczytowi wysokość 6500 m, a najnowsze mapy angielskie z 1948 jak i z lat 1926-27 podają wysokość na co najmniej 7000 m według warstwic, bez dokładnejszej koty. Należy pamiętać, że u zachodniego krańca tego pasma leży wybitna góra, ochrzczona Mount Caroline i oceniona na 5900 m. Natomiast wschodni kraniec pasma w samym kolanie Hoangho i oznaczony jako pasmo Sary Dangero jest niewątpliwie wyższy i tu leży najwyższy szczyt pasma zwany na mapach angielskich Machin Suen Shan. Czy więc ocena 5500 m nie odnosi się do Mount Caroline?

Inna rzecz, że szczyty Amne Machin, przewyższające dolinę Hoangho o 4500 m i sterczące tuż nad nią mogły i musiały robić potężne wrażenie.

Bohdan Małachowski

Kongres U. I. A. A. w Chamonix w 1949 r.

W dniach 9 i 10 lipca 1949 r. odbył się we Francji w miejscowości Praz de Chamonix (około 2 km od Chamonix) Kongres Międzynarodowej Unii Towarzystw Alpinistycznych (U. I. A. A.), połączony z zebraniem Komitetu Wykonawczego Unii. Kongres skupił przedstawicieli towarzystw zainteresowanych turystyką wysokogórską, reprezentujących 9 narodowości. Wśród nich znalazły się też Polska i Czechosłowacja, w imieniu których brał udział w kongresie podpisany.

Intencją kongresu tak jak i przedmiotem obrad Komitetu Wykonawczego było w pierwszej mierze zapoznanie jego członków z życiem organizacyjnym towarzystw turystyki wysokogórskiej różnych narodowości, wymiana myśli i doświadczeń dotyczących alpinizmu, oraz ustalenie metod bliższego kontaktu organizacyjnego tych towarzystw. Dużą uwagę zwrócono równocześnie na problemy ratownictwa górskiego i nowoczesnej techniki poruszania się w alpejskim terenie lodowcowym.

Z punktu widzenia taternickiego specjalnie interesującymi są następujące problemy uwzględnione w obradach kongresu:

a) Łączność pomiędzy U. I. A. A. a towarzystwami zainteresowanych państw zdecydowano zapewnić na tej drodze, że każde towarzystwo wyznaczy jedną osobę jako stałego łącznika, zajmującego się wymianą komunikatów, uzgadnianiem możliwości i terminów ewentualnych alpinistycznych imprez międzynarodowych itp.

b) W ramach Biuletynu U. I. A. A. zdecydowano uwzględnić skorowidz bibliograficzny, którego zadaniem jest dokładne informowanie o wszelkich publikacjach alpinistycznych, zgłaszanych do biura Unii. Biuletyn rozsyłany będzie z biura U. I. A. A. w trzech egzemplarzach dla każdego kraju (jeden egzemplarz dla archiwum towarzystwa, jeden dla łącznika, jeden dla redakcji oficjalnego organu, publikowanego przez towarzystwo reprezentowane w U. I. A. A.).

c) Zdecydowano podjąć próbę zestawienia rocznego kalendarza imprez alpinistycznych o charakterze międzynarodowym (kursy szkoleniowe, ratownicze, zjazdy), mogących zainteresować towarzystwa alpinistyczne różnych krajów.

d) Kongres U. I. A. A. na rok 1950 postanowiono zorganizować na terenie Alp Włoskich, korzystając z zaproszenia Alpejskiego Klubu Włoskiego.

e) Zagadnieniom alpinistycznej techniki lodowcowej poświęcono w czasie kongresu dużo uwagi. Dnia 9 lipca Edouard Frendo, dyrektor Państwowej Szkoły Narciarstwa i Alpinizmu (E. N. S. A.) w Praz de Chamonix, wygłosił odczyt poświęcony technice lodowcowej. Wieczorem tegoż dnia odbył się pokaz filmów alpinistycznych, nawiązujących do problemów tej techniki. Zaś 10 lipca na lodowcu Bosson uczniowie i instruktorzy E. N.

S. A. przeprowadzili pokazy ilustrujące doskonale myśli przewodnie rozwinięte w odczycie dyrektora Frendo. Streszczenie tego odczytu przedstawia się następująco:

Na wstępie dyr. Frendo przypomina sposób wykuwania stopni w lodzie, praktykowany w początkach rozwoju alpinizmu w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Siła fizyczna przewodników zawodowych miała wtedy decydujący wpływ na technikę wspinaczki lodowcowej. Od tego czasu nastąpiła ogromna ewolucja w alpinizmie spowodowana faktem, że wielu alpinistów szukało uniknięcia lub zmniejszenia trudności poruszania się w terenie lodowcowym, wynikajacych z braku treningu potrzebnego do pracy na lodowcach. Większość dawnych przewodników była zawodowcami, przyzwyczajonymi do ciężkiej pracy fizycznej, wynikającej z ich normalnego trybu życia, z pracy przewodnickiej czy też z pracy życia codziennego. Wielu z nich było drwalami lub gospodarzami wiosek górskich. Ewolucja osiągnięta została przez wypracowanie typu raków umożliwiających postęp alpinizmu oraz rozwój właściwej techniki lodowcowej.

Frendo przedstawił w sposób dokładny, ilustrując swój odczyt wieloma przeźroczami i szkicami, warunki w których dzisiejszy alpinista wspina się w terenie lodowcowym przy pomocy raków. Podkreślił warunki tej techniki, zupełnie specjalnej, dając przykłady zginania nóg w kostkach odśrodkowo lub dośrodkowo w stosunku do skłonu lodowca. Najważniejszym jest tu umiejętność utrzymania nogi w położeniu stopy możliwie równoległym do powierzchni lodowca.

Zdaniem dyrektora Frendo tendencja, coraz silniej zaznaczająca się na terenie Alp, do chodzenia bez przewodników, spowodowała wyraźne nasilenie rozwoju techniki skalnej. Technika jednak opanowania lodowców otwiera tereny alpejskie w szerszym jeszcze stopniu niż technika tylko skalna. Konieczności bicia stopni w lodzie, przykrej często dla alpinisty nie dość wtrenowanego, można zapobiec przy dostatecznie umiejętnym opanowaniu techniki poruszania się na rakach.

Jest przy tym, moim zdaniem, zjawiskiem charakterystycznym, że technika ta opiera się w środowiskach alpinistycznych Francji o raki 10-, a nie 12-zębne. Raki najchętniej używane są typu produkowanego przez firmę Simond, w których kształt kolców jest bardziej płaski (zbliżony nieco do ostrza sztyletu), a nie graniasty i wąski.

f) W czasie pokazów alpejskiego sprzętu ratowniczego (dnia 10 lipca na Brévent) mogłem stwierdzić, że demonstrowany ekwipunek ratowniczy pochodzenia austriackiego, również przez francuskie organizacje alpinistyczne (F. F. M., G. H. M., C. A. F.) był oceniony pozytywnie i traktowany jako ważny instrument ratownictwa górskiego. Wedle informacji L. Deviesa sprzęt ten ma być też produkowany we Francji. Sprzęt można podzielić na dwie kategorie, różniące się sposobem transportu człowieka ratowanego:

1) Specjalne urządzenia, pozwalające na umocowanie ofiary wypadku na plecach ratującego. Jest to rodzaj pasa-plecaka z mocnego brezentu i z pasów parcianych, który umieszczony jest wraz z odpowiednio skrępowanym człowiekiem na plecach ratującego. Ratujący wykonuje wraz z ratowanym zjazd na linie.

2) Specjalne nosze, do których przymocowuje się ratowanego i które opuszczane są w dół z miejsca eksponowanego na teren łatwiejszy. Nosze mają rodzaj płóz stalowych, pozwalające na przesuwanie ich ruchem poślizgowym po skałach. Sterowane są przez człowieka ratującego, opuszczanego wraz z ofiarą wypadku i z noszami. W terenie łatwiejszym nosze mogą być zaopatrzone w kółko z pneumatykiem. W wyjątkowych okolicznościach nosze te mogą być opuszczone w dół przy pomocy rolek, zawieszonych na lince stalowej w ten sposób, że całość tworzy rodzaj kolejki linowej.

Szczegóły dotyczące konstrukcji, wagi i użyteczności oraz odmian sprzętu ratowniczego uzyskać można za pośrednictwem Prezydium U. I. A. A. lub od L. Deviesa, prezesa C. A. F., F. F. M. i G. H. M.

Wymieniony wyżej drugi typ sprzętu (nosze uniwersalne) wydał mi się specjalnie godnym zainteresowania dla Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Nie ulega wątpliwości, że sprowadzenie takiego sprzętu, lub wyprodukowanie go w Polsce w oparciu o wzory, którymi dysponuje U. I. A. A. lub F. F. M., jest żywotnym interesem T. O. P. R.

g) W czasie Kongresu U. I. A. A. spotkałem się z dużą życzliwością ze strony organizatorów i uczestników Kongresu, którzy bez wyjątku wyrażali swe zainteresowanie ruchem wysokogórskim w Tatrach i z jego dzisiejszym rozwojem.

Stanisław Siedlecki

Ocena fizjologiczna i zaprawa kandydatów na wyprawy wysokogórskie

Wśród spraw, które od dawna żywo interesowały alpinistów wybierających się w bardzo wysokie góry świata, były dwie związane z fizjologią:

1) wynalezienie metody badania kandydatów na wyprawy, która pozwoliłaby z góry orzec, jak dany człowiek zniesie ujemny wpływ obniżonego ciśnienia barometrycznego na organizm, czyli — inaczej mówiąc — osądzenie z góry zdolności danego człowieka do aklimatyzacji na wielkich wysokościach;

2) wynalezienie sposobu złagodzenia wpływu wielkich wysokości na organizm ludzki, czyli — innymi słowy — znalezienie sposobu zwiększenia zdolności aklimatyzacji na wielkich wysokościach.

Osądzenie zdolności aklimatyzacyjnej kandydata na wyprawę jest ważnym zagadnieniem dla organizatorów wyprawy już w wypadkach, gdy jest przewidziane, że kandydat ma osiągnąć wysokość przekraczającą jakieś 4 500 m, ponieważ już na tej wysokości zdarzają się nierzadko przypadki choroby górskiej. Na tej wysokości, tj. wysokości najwyższych szczytów alpejskich, ujemny wpływ rozrzedzonego powietrza na organizm przeciętnie zdrowego i przeciętnie wysportowanego człowieka jest tylko przemijający, gdyż organizm bardzo szybko aklimatyzuje się na tej wysokości, nawet w przypadkach, gdy w zasadzie przebywa się w dolinach, czy wysokogórskich schroniskach, a od czasu do czasu tylko wchodzi się na najwyższe szczyty alpejskie. Zdarzają się jednak zdrowi skądinąd taternicy, którzy już na większych wysokościach Alp okazują się — nawet po parotygodniowym tam pobycie — niepełnowartościowymi członkami wyprawy z powodu niedostosowania się ich organizmu nawet do tak stosunkowo nieznacznego rozrzedzenia powietrza, jakie tam panuje.

Gdy chodzi o większe wysokości, ok. 6000—7000 m, to już bardzo często zdarzają się na wyprawach wypadki — nazwijmy to — „fizjologicznej dyskwalifikacji“ poszczególnych uczestników oraz, mniej lub bardziej z tym związanej, „dyskwalifikacji psychicznej“, wywołanej lub tylko ujawnionej pod wpływem anoksemii (głodu tlenowego).

Wiadomo, jak liczne są współzależności między stanem fizycznym a psychicznym człowieka. Ujawniają się one szczególnie silnie w różnych ciężkich sytuacjach życiowych organizmu, w chorobie, głodzie itd., a także przy zmniejszonej ilości tlenu na wielkich wysokościach górskich.

Przed wyprawami w bardzo wysokie góry niejednokrotnie poddawano uczestników badaniom w komorze niskich ciśnień, chcąc z góry osądzić, jak się oni zachowają na wielkich wysokościach, ale wyniki takich badań często dawały o alpiniście opinię zupełnie sprzeczną z jego późniejszym zachowaniem w górach. Tak było z badaniami angielskimi przed wyprawami w Himalaje, i tak samo było z przedwojennymi badaniami polskimi przed wyprawami w Alpy i w Andy. Zdarzało się, że taternik z doskonałymi wynikami w komorze, nie znosił dobrze nawet wysokości alpejskich, a inny, z kiepskimi wynikami w komorze, dobrze znosił wysokości andyjskie.

Wynikało to niewątpliwie stąd, że wynik badania w komorze jest też zależny między innymi od chwilowego stanu fizycznego osoby badanej i od różnych, trudno uchwytnych czynników psychicznych. Z drugiej strony, w wysokich górach, zachowanie się alpinisty wobec niedoboru tlenu jest znowu zależne od jego stanu fizycznego w danym momencie i od różnych czynników psychicznych, pod których wpływem znajduje się on w tymże momencie.

Nic dziwnego, że badania w komorze niskich ciśnień straciły popularność wśród alpinistów, tym bardziej, że łatwo uzasadnić, iż na wyprawach górskich sprawa głodu tlenowego przedstawia się inaczej niż w komorze. W górach głód tlenowy występuje stopniowo i przy czynnym wznoszeniu się, co przyspiesza aklimatyzację, a w komorze — nagle i przy biernym zachowaniu się badanego.

Jednakże nowsze badania lekarzy radzieckich, chociaż przedsięwzięte w celu badania personelu lotniczego, nasuwają myśl, że i dla alpinizmu badania w komorze niskich ciśnień mogą jeszcze posiadać duże znaczenie i to dwojakie, mianowicie mogą one być pomocne w osądzaniu z góry zdolności badanego do aklimatyzacji oraz mogą wskazywać na sposób zwiększenia zdolności aklimatyzacji.

Ciekawe pod tym względem szczegóły przynosi praca pt. „Wpływ zaprawy w komorze niskich ciśnień na znoszenie głodu tlenowego“ (Wojenno Medicinskij Sbornik, tom I, 1944, s. 119-128). Autorami tej zespołowej pracy są Z. I. Barabaszowa, H. A. Golicka, A. G. Gineciński, A. G. Kuzniecowa i A. A. Sjergiejew. Wymienieni autorzy podkreślają

różnicę dwóch pojęć: aklimatyzacji i adaptacji organizmu ludzkiego do obniżonego ciśnienia barometrycznego. W dotychczasowej literaturze naukowej te dwa pojęcia były nieraz używane jako synonimy.

Aklimatyzacja polega na organicznym przystosowaniu do niedoboru tlenu i pozwala na lepsze znoszenie niskiego ciśnienia powietrza.

Adaptacja polega jedynie na przyzwyczajeniu do niedoboru tlenu i do związanych z tym nieprzyjemnych wrażeń; nie jest to więc przystosowanie organizmu do anoksemii, lecz zmienione psychiczne nastawienie danego człowieka do objawów tego stanu.

Autorzy przeprowadzili swe badania w komorze niskich ciśnień według następującego schematu:

1) badanie w komorze bez wznoszenia się na wysokość; 2) badanie w komorze po godzinnym przebywaniu na wysokości 4500—5500 m; 3) zaprawa według instrukcji dla oddziałów lotniczych; 4) powtórne badanie po zaprawie na wysokości 4500—5500 m.

Następujące oceny były stosowane: 1) test korekturowy Burdona; 2) badanie ostrości wzroku; 3) badanie zdolności rozróżniania barw; 4) test na koordynację ruchów; 5) badanie częstości tętna; 6) badanie ilości hemoglobiny; 7) subiektywna ocena badanego podczas przebywania w komorze; 8) protokołowanie zachowania się badanego; 9) subiektywna ocena badanego w komorze po podaniu tlenu.

Autorzy doszli do następujących wniosków:

A. Znaczna część badanych lepiej znosiła wysokość po zaprawie według instrukcji dla oddziałów lotniczych. W wypadkach, kiedy zaprawa daje dodatni wynik, następuje subiektywne przyzwyczajenie do wrażeń związanych z głodem tlenowym. Zmiany somatyczne grają przy tym prawdopodobnie rolę drugorzędną.

B. Na skutek powtarzanych pobytów w komorze niskich ciśnień wytwarza się aklimatyzacja i adaptacja do wysokości, wobec czego ilość pobytów w komorze powinna być dostateczna, aby człowiek przyzwyczaił się do wrażeń związanych z niedoborem tlenu.

C. Zaprawa w komorze niskich ciśnień jest korzystna, ponieważ wyjaśnia indywidualną zdolność znoszenia anoksemii, zaznajamia z wrażeniami anoksemii i usuwa obawę przed nimi, a około 50% poddanych zaprawie osiąga lepszą zdolność do znoszenia niedoboru tlenu na dużych wysokościach.

D. Osobniki, u których zaprawa nie daje dodatnich wyników, dzielą się na dwie kategorie: 1) osobniki, u których brak procesów adaptacji i które nie mogą przyzwyczaić się do niedoboru tlenu; 2) osobniki, które od samego początku dobrze znoszą niedobór tlenu.

F. Ani test korekturowy, ani badanie ostrości wzroku, ani zmiany w zdolności odróżniania barw nie są przydatne do oceny stanu anoksemicznego; jedynie prawidłowa ocena subiektywnego stanu badanego posiada wartość.

Powyższe badania lekarzy radzieckich wskazują na ciekawy kierunek, w jakim mogłyby pójść przyszłe badania, które posiadałyby praktyczne znaczenie dla alpinistów wybierających się w najwyższe góry świata.

W. H. Paryski

To i owo z alpinizmu radzieckiego

ZSRR liczy 17 zasłużonych mistrzów alpinizmu i 63 mistrzów alpinizmu. W liczbie tej niemal wszyscy posiadają wyższe wykształcenie. Zarówno zasłużeni mistrze jak i mistrze alpinizmu w Związku Radzieckim mają wszyscy przekroczone 30 lat, większość z nich jest w wieku 35 — 45 lat, a wielu powyżej tego. Jedyny wyjątek, najmłodszy, ma lat 27.

Wśród 63 mistrzów alpinizmu ZSRR jest 5 kobiet, wśród 17 zasłużonych mistrzów alpinizmu — 2 kobiety.

Alpiniści radzieccy, wybierając się na poważne drogi (Szczyt Szczurowskiego, pn. żebro Szcheldy itd.), chodzą zazwyczaj zespołami czwórkowymi, postępując dwójka tuż za dwójką, lub — na miejscach trudniejszych — wiążąc się w »tramwaj«. Dla przyspieszenia asekuracji drugi z pierwszego zespołu spuszcza linę z karabinkiem zaczepionym na pętli dla pierwszego z drugiej dwójki, który przyczepia karabinek do specjalnego pasa z odpowiednim uchwytem.

Wspinacze radzieccy narzekają, że liny sisalowe po użyciu na mokrej skale niebywale się niszczą i bardzo szybko zużywają.

W Związku Radzieckim nie wolno robić trudniejszych przejść górskich bez grupy rezerwowej.

Alpinizm radziecki teoretyczny przywiązuje szczególną wagę do opanowania przez alpinistów umiejętności rozpoznawania oznak pogody i niepogody. Meteorologia »utylitarna« jest jednym z ważnych przedmiotów teorii alpinizmu w ZSRR.

Jedną z najsłynniejszych czwórek alpinistów radzieckich jest zespół: Al. Maleinow zasłużony mistrz alpinizmu, inż. B. Harf mistrz alpinizmu, inż. G. Karawajew alpinista I stopnia, W. Mikłaszewski mistrz alpinizmu. Czwórka ta zdobyła m. in. Uszbę pn. ścianą.

Mniszki śniegowe, czyli penitenty, w górach Pamiru noszą miejscową nazwę »kalgaspory«.

Alpinistom sowieckim nie przeszkadza wiek w uprawianiu alpinizmu. Mikołaj Gubanow, ojciec mistrza alpinizmu, Jerzego Gubanowa, jeden z najstarszych, mający 68 lat, wszedł na nartach na wysokość 2800 m, by zwiedzić tam świeżo otwarty schron górski obozu »Lokomotywa«.

Rozkładane czekany znane są i w Związku Radzieckim. W razie potrzeby można z takiego czekana zrobić króciutki młotek lodowy, tzw. w Rosji »ajsbajl«.

Alpiniści radzieccy, idąc czwórką na wyprawę, zabierają na biwak śpiwór puchowy czteroosobowy i płachtę biwakową. Niekiedy biorą tylko dwa śpiwory, przy czym dwaj pozostali śpią pomiędzy śpiworami i zmieniają się w ciągu nocy. Dla jeszcze większej oszczędności na ciężarze nie biorą czasem wcale śpiworów (np. na Nakra Tau), i śpią w specjalnych ubiorach szturmowych.

Szanujący się alpinista w ZSRR nie nazwie — według zdania Al. Maleinowa — ścianą zbocza poniżej 50 stopni nachylenia.

Alpiniści radzieccy przed każdą wyprawą ostrzą starannie raki i czekany i sprawdzają wytrzymałość lin.

Aleksy Maleinow, zasłużony mistrz alpinizmu, jeden z najlepszych i najdoświadczeńszych alpinistów radzieckich, wyrusza na ścianę tylko przy pomyślnej prognozie pogody.

Każdy alpinista w ZSRR nosi ze sobą zawsze aneroid do mierzenia wysokości i przewidywania pogody.

Alpiniści radzieccy jako maszynki do gotowania na wyprawach wysokogórskich używają primusa, rzadziej maszynki spirytusowej lub mety. Za najlepszy napój, najbardziej kaloryczny, najszybciej wzmacniający i najbardziej smakujący uważają gorące kakao.

Zasada alpinistyczna obowiązująca w górach ZSRR: po opadzie śniegowym daj zejść lawinom świeżego śniegu i dopiero wtedy zabieraj się do wyprawy.

W razie zaskoczenia przez noc na dużej wysokości, najlepiej — według zdania alpinistów radzieckich — wykopać jamę w śniegu i spędzić w niej noc, nie śpiąc, i poruszając bez przerwy kończynami, by ich nie odmrozić.

W alpinizmie radzieckim jako zasadę stosuje się prawidło, że nie ma tragarzy w górach; każdy alpinista według przysłowia *omnia mea mecum porto*, niesie swój ładunek sam.

Na wyprawach pamirskich alpiniści radzieccy używali specjalnego typu butów, tzw. shackletony. Jest to obuwie brezentowe z wojłokowymi podkładkami i ciepłą wyściółką; podeszwy skórzane nabite trikuniami. Buty te mają wedle zdania wspinaczy radzieckich liczne braki; przede wszystkim przemakają, poza tym są bardzo mało trwałe: nie wytrzymują nawet jednej wyprawy. Wobec powyższego przy próbie wejść na Szczyt Zwycięstwa (Pik Pobiedy) w Tiań Szaniu użyto tzw. walenki filcowe (rodzaj kapców) z podeszwą skórzaną, okutą gwoździmi; górna część stopy również była skórzana.

Alpiniści radzieccy są zdania, że powyżej wysokości 6000 do 6500 m waga plecaka w żadnym wypadku nie powinna przekraczać 20 kg.

Przy zdobywaniu Szczytu Marmurowej Ściany spośród 10 uczestników ekspedycji najmłodszy miał 36 lat.

Gutman, jeden z czołowych alpinistów ZSRR uważa, że przesiedzenie w miejscu 2-3 dni na dużych wysokościach odbija się bardzo źle na formie fizycznej. Uważa on również, że zarówno w Pamirze, jak i w Tiań Szaniu z konieczności musi się wychodzić późno z biwaku, bo dopiero około godziny 10; wcześniej nie sposób wyjść z powodu wielkiego mrozu.

Zofia Radwańska-Paryska

W czterdziestolecie śmierci Mieczysława Karłowicza

W dniu 8 lutego 1949 roku minęło 40 lat od śmierci wielkiego kompozytora polskiego, słynnego taternika i pioniera tatrzańskiego narciarstwa, Mieczysława Karłowicza.

Dla uczczenia rocznicy tej zorganizowała SNPTT pod wodzą Józefa Fadena, a przy współudziale Klubu Wysokogórskiego obchód żałobny dnia 6 lutego.

Szkoda wielka, że zamierzany początkowo piękny pomysł marszu »szlakiem Karłowicza« nie doszedł do skutku. Zapewne z racji bardzo złej pogody kilka zaledwie osób odważyło się wyruszyć na nartach z punktu zbornego w Kuźnicach do schroniska na Hali Gąsienicowej. Reszta wolała ułatwić sobie drogę kolejką na Kasprowy i zjazdem na Halę.

O godzinie 12 w południe wyruszyło z Murowańca około 30 osób, w tym kilku przewodników tatrzańskich do kamienia Karłowicza pod Małym Kościelcem. Szare smutne niebo spowijało welonami gęstych mgieł szczyty górskie; mroźne podmuchy wiatru unosiły wirujący tuman śnieżnych płatków. Grubą powłokę świeżego, nietkniętego śniegu przekrajał sznur sunących zwolna jednym szeregiem nart. Wkrótce zebrano się przy kamieniu Karłowicza zasypanym śniegiem aż do górnych linii napisu.

Uroczystość rozpoczęto złożeniem na kamieniu dwóch wieńców: od SNPTT i od KWPTT, po czym prezes SNPTT, Józef Faden, wygłosił krótkie przemówienie, obrazujące działalność Karłowicza w narciarstwie i taternictwie, i wezwał zebranych do uczczenia Jego pamięci minutą milczenia. Następnie w imieniu KWPTT dr Zofia Radwańska-Paryska wygłosiła przemówienie następującej treści:

Mam mówić w imieniu Klubu Wysokogórskiego — ale o Karłowiczu tak wiele powiedziano, napisano tak wiele, że chcę tu jedynie podkreślić dwa bardzo ważne momenty:

Karłowicz był wyznawcą górnych idei w taternictwie. Głosił, że góry to coś znacznie większego niż boisko sportowe — to wielka, wspaniała świątynia przyrody. Karłowicz nie dzielił dróg na łatwe i trudne, nie wybierał tych trudniejszych tylko, tych dających większą sławę taternicką — wszystkie były mu jednako miłe, wszystkie dawały te głębokie przeżycia, których w górach szukał. O tym w obecnej dobie pogoni za rekordami pamiętać winien ten, co chce nosić miano taternika.

A drugi moment — to umiejętność pogodzenia narciarstwa z taternictwem. Narty otworzyły Karłowiczowi drogę do Tatr w zimie, ale nie stały mu się nigdy celem samym w sobie, były i pozostały mu środkiem do tego najwspanialszego, umiłowanego przezeń celu, jakim jest współżycie z Tatrami. Turystyka i wspinaczki latem, narciarstwo i wejścia zimowe kojarzył Karłowicz w jedną harmonijną całość. Czy dzisiejsze narciarstwo, dzisiejsze taternictwo nie wyciągnie z tego wniosków?

Zwykło się, w myśl zasady »de mortuis nihil nisi bene«, mówiąc o zmarłych nadużywać określeń w rodzaju »kryształowy człowiek, nieskazitelny charakter«, — ale w stosunku do Karłowicza takie wszystkie określenia byłyby o wiele za słabe, mdłe, czcze, bezbarwne; kim bowiem był On i czym się stała jego strata określiły może najlepiej pożegnalne słowa Sekcji Turystycznej w jego nekrologu:

»Taternictwo polskie straciło w nim jednego ze swych największych, który Tatry umiłowawszy, w niedostępne ustronia ich wnętrza się zapuszczając, Wieczystego Piękna w nich odnajdował źródło bijące. Najgłębszą swego ducha tęsknotą w milczenie turni wsłuchany, w ich skalistej samotni natchnienie czerpiąc, w sztuce je unieśmiertelnił. Z duszą Tatr w nierozłączne wstąpił przymierze.«

Zakończyło uroczystość opowiadanie Jędrzeja Marusarza — jednego z dwóch pozostałych dziś przy życiu uczestników wyprawy ratunkowej po Karłowicza — o przebiegu poszukiwań i odnalezieniu ciała wielkiego kompozytora i człowieka gór. — (*Z. R. P.*)

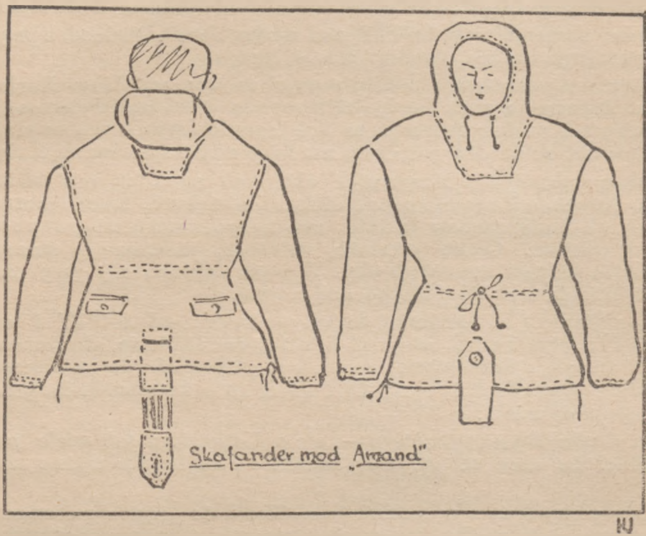
Dział techniczny

Nowy model skafandra

Skafander modelu Amand jest specjalnie przystosowany do wspinaczki wysokogórskiej letniej i zimowej i jako taki zdał w przeciągu ostatnich lat doskonale swój egzamin. Rozwinął się on z prototypu niemieckiej alpejskiej wiatrówki wojskowej i po okresie prób jest używany powszechnie przez taterników Koła Krakowskiego KWPTT.

Charakterystycznymi cechami tego skafandra jest całkowicie gładki przód, bez żadnych kieszeni i sznurowań czy zapinań, co jest szczególnie przydatne przy wspinaczce.

Kaptur jest wszyty bezpośrednio do skafandra i oprócz otworu twarzowego nie posiada innych zapięć (czasami dodawany jest zamek błyskawiczny, który daje pewne powiększenie wentylacji, ale wskutek możliwości zacięcia się jest niebezpieczny, szczególnie w zimie). Otwór twarzowy kaptura jest ściągany za pomocą tasiemki w ten sposób, że po całkowitym ściągnięciu daje pełną swobodę ruchów głowy przy równoczesnym odsłonięciu jedynie oczu i ust, lub nosa i ust.



Skafander jest ściągany w pasie przy pomocy taśmy; analogiczne ściąganie jest na dole skafandra, co jest przydatne w czasie biwaków i w czasie zimowych zjazdów po śniegu. Skafander posiada dwie duże kieszenie trochę ponad biodrami, z boku; są one tak umieszczone, iż przy zapieraniu się w kominie nie przeszkadzają.

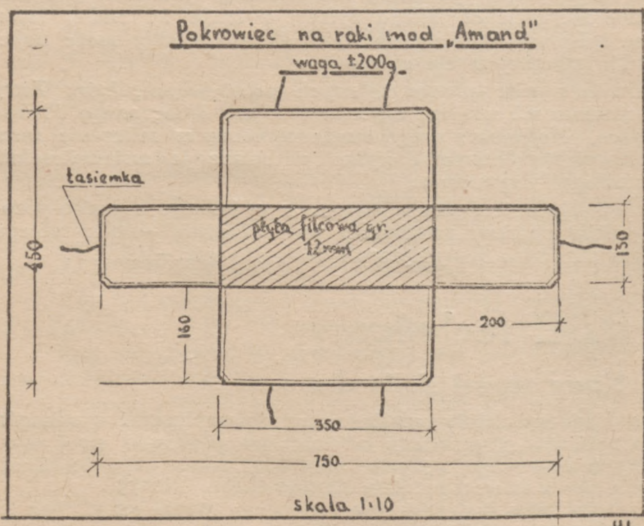
Celem uniknięcia podwijania się brzegu skafandra zastosowano tzw. ogon, tj. pas materiału, w środku przedzielony taśmą gumową, który nieużywany jest przypięty od wewnętrznej strony pleców skafandra. W czasie jego używania przechodzi on przez krok i jest zapięty z przodu skafandra na guzik. Zapobiega on w dużym stopniu podwijaniu się dolnego brzegu skafandra i — co za tym idzie — gromadzeniu się wody w podwinięciu. W czasie zjazdów zapobiega podwijaniu się skafandra i dostawaniu się śniegu między skafander a odzież. Guma umożliwia swobodę ruchów, np. przy wyciąganiu rąk. Rękawy są uszczelnione za pomocą gumki.

Wadą tego skafandra jest nienadzwyczajna wentylacja, co jest ogólną cechą wszystkich skafandrów.

Andrzej Manda

Przypisek Redakcji. — Skafandry tego samego modelu co opisany powyżej były znane za granicą już przed wojną, a nawet członkowie KWPTT używali takich skafandrów, pochodzenia niemieckiego i angielskiego.

Pokrowiec na raki



Pokrowiec na raki składa się z płyty filcowej i 4 brezentowych klap. Raki, jedne na drugich, układa się kolcami na filc, składa klapy na krzyż i zawiązuje tasiemkami. Zaletą tego pokrowca, oprócz nikłej wagi i zupełnego zabezpieczenia tkanin i innego sprzętu przed zniszczeniem przez kolce raków, jest możliwość użycia go jako podkładki do siedzenia itp. na zimowym biwaku, co przynajmniej w części może zastąpić brak musu kauczukowego.

Andrzej Manda

Itineraria

Mięguszowiecki Szczyt. *II całkowite przejście zimowe pn. ściany: Karol Jakubowski i Stanisław Worwa, 6 i 7 stycznia 1949 r.*

Wyjście ze schroniska o godz. 6,00. Wejście w ścianę (godz. 7,00) z lewej strony charakterystycznej buli żlebem wygładzonym lawinami, który wyprowadza na pole śnieżne ponad nią, pod spiętrzającą się tutaj ścianą, którą przecinają trzy promienisto biegnące kominy (dotąd twardy zbity śnieg). Najbardziej prawym z nich, najcharakterystyczniejszym, w górę aż do jego spiętrzenia (7,55). Tutaj wiążemy się liną i wychodzimy na prawą grzędę komina (nadzwyczaj trudno) z powodu słabego zaśnieżenia wnętrza i widniejących przewieszek. Jesteśmy zmuszeni w czasie wspinaczki do oczyszczania terenu z sypkiego, niezwiązanego z podłożem śniegu, co bardzo utrudnia pokonywanie ciężkiego terenu.

Ponad spiętrzeniem komina (60 m) jesteśmy o 10,30 i posuwamy się znów jego zaśnieżonym wnętrzem. W miejscu gdzie zaczyna się spiętrzać ponownie, trawers w lewo do malutkiego żlebku (trudno), nim na grządkę i wprost w górę na wielkie pole śnieżne, którym trawersujemy ok. 70 m w lewo popod płytami, do miejsca gdzie otwierają się możliwości pójścia w górę wielkim śnieżnym korytem. Nim ok. 50 m w górę, następnie trawers w lewo na skalną ściankę (40 m, b. trudno), która wyprowadza nas na rodzaj grzędy. Nią w górę do momentu, gdy wrasta w ścianę skalną, popod którą trawersujemy w lewo polem śnieżnym aż do wielkiego żlebu śnieżnego, wyprowadzającego nas na pn. grzędę Mięguszowieckiego Szczytu (15,00).

Grzędą ok. 80 m w górę do momentu, gdy wrasta ona w urwiska kopuły szczytowej. Dalej śnieżnym, b. stromym trawersem silnie w górę (zachód oddzielający kopułę szczytową od dolnych partii ściany), pomiędzy zerwami przewieszek, do miejsca biwaku pod ostatnią z nich (17,00).

Posiadany sprzęt biwakowy: prześcieradło gumowe, płachta namiotowa, śpiwór jednoosobowy i maszynka spirytusowa.

Dnia 7. I. 1949 od godz. 7,00 zwijamy biwak, a o godz. 9,00 ruszamy dalej trawersem w górę, mijając charakterystyczną grupę skał w polu śnieżnym. Stąd 60 m wprost w górę stromym polem śnieżnym, aż do momentu, gdy wrasta ono w skały. Stąd zachodem w prawo w górę, przechodząc przez nieliczne płaty śniegu wśród skał, przy zwiększających się stale trudnościach (zupełny brak firnu na skale), dochodzimy w pobliże grani. Tu skręcamy 60 m w lewo, otwierającymi się zachodzikami śnieżno-skalnymi, równolegle do niej, osiągając grań ponad jej środkowymi spiętrzeniami (13,30). Granią około 60 m na szczyt, który osiągamy o godz. 14,15.

Z e j ś c i e. Schodzimy od 14,45 początkowo granią, następnie żlebami i zachodami pd. ściany w trudnych warunkach z powodu panującej tu odwilży, wywołanej insolacją, na pola śnieżne po pd. stronie Hińczowej Przełęczy. Nimi na samą przełęcz (16,45) i żlebem (tutaj kopny, sypki śnieg) w dół ku pn. do tarasu, którego górną częścią dochodzimy na trawers pod Cubryną (17,30). Dalsze zejście przez Dolinę za Mnichem. Schronisko przy Morskim Oku osiągamy o godz. 19,00.

W a r u n k i   ś n i e ż n e. Do podstawy dolnego komina bardzo dobra lodoszreń, wyżej masy śniegu niezwiązanego z podłożem. W żlebach i na polach usuwający się śnieg (niejakim ułatwieniem w posuwaniu się naprzód były tory po lawinach). Na ściankach i skale sypki cukier śnieżny, zmuszający do oczyszczania terenu i wspinania się po skale czy trawie. Zupełny brak zimowego firnu, co bardzo utrudniało i opóźniało posuwanie się w ścianie. Temperatura nieco poniżej zera, w nocy do -5^{0} C.

Czas wspinaczki po odliczeniu biwaku 15 godz. 15 min. Całkowity czas przejścia ściany 31 godz.

Karol Jakubowski i Stanisław Worwa

Szczyrbski Szczyt. I wejście zimowe pn. ścianą: Luboš Šrámek, Zdenek Záboj i Václav Zachoval, 28 marca 1948.

H o r a r i u m: Wymarsz ze schroniska przy Popradzkim Stawie 7,30; Hlińska Przełęcz 10,00; wejście w pn. ścianę Szczyrbskiego Szczytu 10,30; wierzchołek 13,30 — 14,30; zejście do Doliny Młynickiej i przez Przełęcz nad Szerokim Żlebem do schroniska przy Popradzkim Stawie 18,15.

W a r u n k i: Śnieg w żlebie pn. ściany Szczyrbskiego Szczytu sprasowany, dobrze trzymający, miejscami zlodowaciały. Największe trudności napotkano w górnej części ściany, gdzie był puszysty śnieg w cienkiej warstwie na skale. Pogoda bezwietrzna, bezchmurna, słoneczna. W cieniu mróz.

Zdenek Záboj

Skalne drogi

Pościel Jasińskiego. Wprost z Dolinki Buczynowej. Jerzy, Kazimierz i Maciej Mischke, 26. VIII. 1949.

Drogi Chmielowskiego (nr 120 Przew. Ch. i Ś.) nie udało się nam zidentyfikować. Najprawdopodobniej biegnie ona poniżej opisanego w niej kominka w lewo na trawki popod Przełęczą Nowickiego. Z tekstu opisu wynika wprawdzie, że powinna ona iść właśnie w prawo, ale wtedy zwrot »w zygzak pośród« nie ma sensu, bo droga musiałaby uwzględniać charakterystyczny komin u podnóża zbocza. Komin ten trzeba by albo trawersować górą, albo też zejść jego dnem; obie alternatywy mogą nastręczać pewne trudności, no i nie mogłyby być pominięte w opisie.

W sensie wejścia obie alternatywy nie mają sensu, dlatego też poszliśmy inaczej, a mianowicie:

Z wcięcia w grani bezpośrednio na wsch. od Pościeli Jasińskiego opada trawiasto-skalny kominek, opisany w Przew. Ch. i Ś. (nr 120). W linii spadku kominka wcina się w podnóże ściany głęboki komin.

Do stóp komina trawiastym zachodem, po prawej stronie buli, z odchyleniem w lewo. Komin zwraca się nieco w prawo i spiętrza się 30-m. ścianką, którą pokonujemy wprost. Dalej 30 m, dnem rozszerzającej się i tracącej na nachyleniu rynny trawiastej. Rynnę opuszczamy w lewo na kazalniczkę, po czym trawkami do stóp na początku wzmiankowanego kominka. Jego dnem w górę, częściowo zapieraniem (luźne kamienie), po czym lewym odgałęzieniem na grań.

Droga częściowo dość trudna, interesująca. Czas przejścia 2$^1/_2$ godz. Czas normalny dla dwójki 1$^3/_4$ godz.

Maciej Mischke

Cubryna. I wejście lewym filarem pn.-wsch. ściany: Adam Truszkowski, Janusz Vogel i Paweł Vogel, 9—10 października 1949 (dolną część tej drogi — w czasie próby — przeszli w sierpniu 1948 r. Krystyna Jakubowska, Krzysztof Brun i Paweł Vogel). *Droga nadzwyczaj trudna, widokowo piękna; dużo traw, częściowo krucho; 9$^1/_2$ godz.* (Pierwsze przejście, w trzy osoby, trwało około 19 godzin, z biwakiem na lewym filarze, w siodełku przez które przechodzi droga 370 Przew. Ch. i Ś.).

Z piarżystego tarasu pod Cubryną i Przełęczą Hińczową wysuwa się ku Morskiemu Oku turnia kulminująca urwistą trójkątną ścianą, obramowaną pn.-zach. grzędą i pn.-wsch. filarem.

Wejście około 50 m przed miejscem, gdzie filar ostrogą skalną najniżej w piarg uchodzi (przed śniegowym żlebem), a bezpośrednio na lewo od urwistej ściany czarnymi porostami pokrytej.

Skałami z lewej strony jasnej po odpękniętych blokach ścianki, i w prawo w skos (ok. 10 m) nad nią. Wprost trawiasto-skalną depresją do krótkiego kominka (ok. 20 m). Z niego w prawo skos trawiastym kruchym zachodzikiem do nyży. Skośny trawers nad wielką płytą w prawo (ok. 20 m), dalej poziomo z nieznacznym obniżeniem przez górny kraj tej płyty na żeberko. Z niego w lewo i do góry po trawie, trawers (2 m) dokoła nosa skalnego i kilka m pionowym trawniczkiem w kierunku głębokiej nyży pod przewieszonymi skałami. Z niej w prawo na grzbiet żeberka i przez kosówkę na wielki trawiasty taras, pod następnym szerokim spiętrzeniem

Wprost w górę w kierunku wyraźnej białej plamy trawiasto-skalnym terenem (ok. 40 m). Gładka płyta z lewej i skały z prawej strony tworzą zacięcie. Wąskim trawiastym dnem tegoż w górę (ok. 20 m), dalej skalna przewieszka z pęknięciem, rozszerzające się zacięcie, kruchy trzy-metrowy stopień i koniec zacięcia w przewieszonych blokach. Trawers 2 m w lewo na urwiste kosówki, którymi do góry pod skały na grzbiecie filara. Skośnie w prawo (10 m) do rozwartej trawiastej depresji. Dalej w prawo przez skalne wysepki, trawiaste półki i przez ok. 30-m. płytową ściankę tuż na lewo od coraz bardziej zaostrzającej się krawędzi (kosówki) systemem zachodzików na siodełko ostrej grani filara.

Granią przez pierwszą turniczkę i w górę szczeliną następnego uskoku na szczyt pierwszej z 2 głównych turni. Z niej w dół na szerokie siodło, nad którym spiętrza się główna kulminująca turnia filara. Z przełączki żlebkiem w dół kilkanaście m w prawo i w górę w kierunku komina przecinającego pionowo blok szczytowy tej turni. Od ujścia komina w prawo w skos nad zielonawą płytą (ok. 30 m) i dalej w górę dachówkowatymi ściankami do zacięcia, którym na grań i w lewo na szczyt tej turni.

Rozszerzającą się granią na złomy rozległego tarasu pod Cubryną i Hińczową Przełęczą, skąd drogą 371 Przew. Ch. i Ś. (pn.-wsch. granią) na szczyt.

Adam Truszkowski

Mała Szarpana Turnia. Pd.-wsch. granią: František Plšek i Václav Zachoval, 9 września 1949. Droga nadzwyczaj trudna o pewnej skale i pięknej wspinaczce; wyżej wymienieni szli 6 godzin i użyli jako sztucznych ułatwień 16 haków.

Wspinamy się środkiem gładkich przewieszonych płyt urwiska stanowiącego dolną część pd.-wsch. grani Małej Szarpanej Turni (por. opis 563 Przew. Ch. i Š.). Po przejściu pierwszych dwóch długości liny osiągamy krawędź wprost nad Dolinką Rumanową. Przewieszkę zagradzającą nam dalszą drogę pokonujemy wprost. Stąd cofamy się nieco pod rzucającą się w oczy przewieszkę i pokonawszy ją jej lewą częścią, osiągamy drogę 563 Przew. Ch. i Š., w miejscu gdzie wchodzi na pd.-wsch. grań.

Stąd środkiem wyraźnie pochylonej płyty na ostrą grań, którą przez jej przewieszone odcinki na wierzchołek Małej Szarpanej Turni.

(Uwaga: granią tą wchodzili już inni taternicy słowaccy, ale nie wiadomo, czy w sposób identyczny).

Frantisek Plsek

Żółta Ściana. Nowa droga lewą połacią pn. ściany: podpisani, 25 września 1949 r. Droga nadzwyczaj trudna, bardzo eksponowana, po części w kruchej skale; czas pierwszego przejścia 6 godzin.

Wejście w ścianę w lini spadku dużej, pionowej, gładkiej płyty w dolnej części ściany. Z piargów zrazu kominem, który w dolnej części jest szeroki, następnie staje się przewieszony i wąski, do miejsca gdzie komin się przewiesza. Stąd w górę w prawo 20 m trawiasto—płytową półką, do miejca gdzie półka zwęża się i zatraca w ścianie, po czym wprost do góry przez stromą ściankę (6 m) z powrotem do omówionego komina i nim do góry (30 m) nadzwyczaj trudno. W górnej części komin ten zatraca się i przechodzi w głęboką i dosyć szeroką rysę. Nią do góry (najtrudniejsze miejsce) na wąski skalny gzyms z prawej strony rysy. Z gzymsu do góry przez stromą ściankę (6 m), przez którą przechodzi dalsza część wyżej omówionej rysy, na dużą płytę, nad którą z lewej strony jest charakterystyczny okap skalny. Z płyty w górę lekko w lewo przez skalne stopnie (25 m) na następną płytę. Z niej wprost w górę rodzajem szerokiego zacięcia płytowego, jakie tworzą tu dwie ścianki (nadzwyczaj trudno), w końcu przez krótki przewieszony kominek na płytę u wylotu 20-metrowego komina, przedzielonego w środku grzędą. W górę kominem (nadzwyczaj trudno) po prawej stronie grzędy, w środkowej części lewą stroną (2 m), następnie znowu prawą stroną na łatwe skalne stopnie. Nimi do szerokiej rynny (tu łączymy się z drogą 394 Skalnych Dróg) i rynną na wsch. krawędź Żółtej Ściany. Krawędzią tą na wierzchołek Żółtej Ściany.

Juli Parák i Eugeniusz Strzeboński

Środkowa Papirusowa Turnia. I wejście pd. ścianą: Jelena Rennerová, Karol Bocek i Jaromir Šadek, 15 sierpnia 1949. Droga w dolnej części nadzwyczaj trudna; 2 godziny.

Wejście w ścianę z zachodu wiodącego na Przełęcz Stolarczyka (p. droga 1135 Przew. Ch. i Š.), przed miejscem gdzie ściana Małej Papirusowej Turni tworzy nad zachodem przewieszkę. Przez czerwoną płytę 7 m skośnie w górę, po czym 5 m skośnym trawersem w prawo (najtrudniejsze miejsce) na małą płasienkę. Z prawej strony rynną 45 m w górę. Następnie 30 m łatwym terenem nieco w prawo na krawędź i teraz lewą ścianą wnęki na lewy skraj wierzchołka.

Karol Bocek

Nowe drogi w Alpach

Itinéraires nouveaux dans les Alpes

Schwarze Wand (3512 m.). Première (?) ascension par la face N: Adam Karpiński (KWPTT) et Laurent Żuławski (KWPTT et GHM), 17 août 1936 (récit L. Żuławski).

Du réfuge Neue Prager Hütte (2810 m.) suivre l'itinéraire dans la direction de Grossvenediger, puis à travers le glacier Schlattenkees jusqu'au pied de la face N de Schwarze Wand. Franchir la rimaye et atteindre le grand couloir central à l'aplomb du sommet. Remonter ce couloir verglacé, en taillant de marches pendant env. 100 m., jusqu'à ce que l'on puisse traverser facilement vers la gauche. Gagner par une courte cheminée la petite brèche au fil de l'éperon rocheux bordant à droite (orog.) le couloir. Escalader directement ce fil (difficultés moyennes, les rochers très instables) jusqu'au point ou l'éperon se termine. Traverser obliquement vers la droite, gravir la pente de neige très raide, surmonter un surplomb formé par une corniche et gagner le sommet.

Route intéressante, très directe. Belle course glaciaire et rocheuse, assez difficile (AD). Très mauvais rocher. De l'attaque au sommet 5 heures.

Karta żałobna

Eugeniusz Abałakow należał do ekstraklasy alpinistów radzieckich. Niezwykle wytrawny i doświadczony, młody jeszcze ten człowiek miał w swym dorobku osiągnięcia światowej miary. Był on pierwszym w Związku Radzieckim, który wszedł powyżej 7000 m, w czasie wyprawy dla zdobycia Szczytu Stalina (7495 m). Wszedł tam, jedyny spośród licznych uczestników, nadludzkim wysiłkiem woli, potykając się, padając i znów podnosząc, ostatnie metry już na czworakach. Zdobył najwyższy szczyt swej ojczyzny, czwarty co do wysokości zdobyty szczyt świata.

Działalność alpinistyczną rozpoczął Abałakow w r. 1931, w górach Kaukazu. Z bratem Witalisem i jego żoną (Czeredową) odbył pierwsze swe wejście alpinistyczne na Dych Tau. Odtąd rok rocznie przybywa w góry i dokonuje coraz śmielszych wejść, jak trawers Uszby, wejście na główny wierzchołek Szcheldy; w Pamirze osiąga wysokość 7000 m na Szczycie Lenina (7127 m), lecz schodzi z powodu choroby towarzysza. Staje się znawcą dróg górskich, wybiera szlaki, prowadzi wyprawy i ekspedycje naukowe i alpinistyczne. Dokonał wejścia w Tiań Szaniu na Chan Tengri (6995 m) w wyprawie 1936 r. Przeszedł trawers słynnej ściany Bezingi, trawers Dżuguturluczat i wiele pomniejszych szczytów kaukaskich. W pd.-zach. Pamirze zdobył szczyty Patchor i Karola Marksa. W 1947 r. zorganizował jeszcze jedną wyprawę w Pamir, gdzie wszedł na Szczyt Trzydziestolecia Państwa Radzieckiego, na szczyt Moskwa i inne.

W uznaniu jego zasług dla alpinizmu radzieckiego już w 1935 r. przyznano mu tytuł mistrza alpinizmu, a potem wkrótce zasłużonego mistrza alpinizmu. Wielokrotnie nagradzany dyplomami uznania za wejścia alpinistyczne i zasługi naukowe, odznaczył się również w dziedzinie swej pracy zawodowej, był bowiem bardzo zdolnym rzeźbiarzem.

Śmierć zaskoczyła go nieoczekiwanie w chwili, gdy organizował wyprawę dla zdobycia Szczytu Zwycięstwa (pik Pobiedy) w Tiań Szaniu.

Zofia Radwańska-Paryska

Frank S. Smythe (1900-1949) zmarł w czerwcu 1949 r., w wieku 49 lat, wskutek choroby nabytej w Bombaju (zatrucie pokarmowe, potem malaria, a nie jakaś tajemnicza choroba, jak podawały gazety). Był on wtedy w drodze w Himalaje Garhwalu (a nie na Everest).

Frank Smythe był jednym z najlepiej znanych alpinistów i himalaistów ostatnich czasów. W Alpach, które znał doskonale w lecie i zimie, dokonał wielu nowych dróg, wśród których są takie klasyczne osiągnięcia nowoczesnego alpinizmu jak dwie drogi przez Sentinelle Rouge na Mont Blanc.

W Himalajach był on pięć razy, po raz pierwszy w r. 1930 jako uczestnik międzynarodowej wyprawy prowadzonej przez Dyhrenfurtha, której celem była Kangchenjunga. Na tej wyprawie nauczył się on przede wszystkim czego n i e należy robić w najwyższych górach świata. Na następnych wyprawach zdobył Kamet (7756 m), Jonsong Peak (7459 m), Mana Peak (7272 m) i Nilgiri Parbat, oraz brał udział w trzech wyprawach na Mount Everest. Po wojnie kierował dwiema wyprawami w Góry Skaliste.

Jako pisarz górski o dużym talencie był on szeroko znany, nawet wśród nie-alpinistów. Najważniejsze jego książki to: The Kangchenjunga Adventure, Kamet Conquered oraz Camp VI (to ostatnie ukazało się też po polsku pt. Obóz Szósty). Był on też świetnym fotografem górskim. — (*W. H. P.*)

Giovanni Battista Piaz, jeden z najsławniejszych przewodników alpejskich, przezwany Diabłem Dolomitów, zginął rok temu, spadłszy z roweru. W swej długiej karierze alpinistycznej zdobył on wiele nowych dróg w Dolomitach, a w r. 1907 odbył tam szereg wspinaczek z inż. Januszem Chmielowskim, który już wtedy napisał: »Piaz, z którym we wspinaniu się po skałach nikt dziś w Dolomitach mierzyć się nie może . . .« (Tat. I, 1907, 92). — (*R.*)

Kronika himalajska

Wyprawa szwajcarska w Himalaje z r. 1949 obracała się w okolicy Kangchenjungi. Wzięli w niej udział René Dittert, Jakob Pargätzi, Alfred Sutter, Adolf Rubi i Annelies Lohner.

Dokonano wejść na Pyramid Peak (7132 m), Tang Kongma Peak (6250 m), Dzanye Peak (6610 m), a próba zdobycia Nupchu (7018 m) załamała się na wysokości 6800 m z powodu trudności lodowych.

Dittert, Pargätzi i Sutter, z piątego obozu na wysokości 6600 m, osiągnęli 6 czerwca pn.-wsch. wierzchołek Pyramid Peak, ale nie osiągnęli bliskiego już najwyższego punktu góry, ponieważ wieńczyły go 20-metrowe turnie lodowe o niepewnej równowadze. — *(R.)*

Wyprawa norweska w Himalaje jest projektowana. W maju 1949 r. dwóch alpinistów norweskich (Heen i Naess) udało się do Indii dla zbadania możliwości wysłania wyprawy. Norwegowie chcą skierować swą wyprawę na Nanga Parbat. — *(R.)*

Pauhunri (7065 m), w Himalajach Sikkimu, zostało zdobyte już 16 czerwca 1911 r. przez A. M. Kellasa z dwoma tragarzami. Drugiego wejścia dokonał C. W. F. Noyce z tragarzem Angtharkay, 25 września 1945 r.

Trzeciego wejścia dokonał Francuz, Robert Walter, 7 czerwca 1949 r. Jest to pierwsze wejście francuskie na szczyt himalajski. — *(R.)*

Schroniska w Himalajach. W Himalajach, mianowicie w Sikkimie, istnieją już schroniska dla alpinistów, zbudowane przez Himalayan Club. Schroniska te są niezagospodarowane, ale nieźle urządzone. W ich otoczeniu jest sporo niezdobytych szczytów 6-tysięcznych. — *(R.)*

Francuska wyprawa w Himalaje. Dotąd odbyła się tylko jedna wyprawa francuska w Himalaje, w r. 1936 w Karakoram (por. Tat. 21, 1936/7, 28), gdyż druga wyprawa, planowana na r. 1939, została udaremniona przez wojnę.

W końcu marca 1950 r. ma wyruszyć druga wyprawa francuska w Himalaje i to na teren Nepalu. Jak wiadomo, państwo to dotąd nie wpuszczało alpinistów w swoje granice z wyjątkiem małego skrawka w pn.-wsch. kącie swego terytorium. Wyprawa francuska będzie więc pierwszą, która będzie mogła działać w głębi Nepalu, na terenie lub na granicach którego wznosi się większość szczytów 8-tysięcznych, z Everestem na czele.

Celem wyprawy francuskiej jest niezbadany masyw Dhaulagiri (8172 m) i zdobycie szczytu 8-tysięcznego, przy czym Francuzi zamierzają zastosować system wyprawy lekkiej i szybkiej, obywając się przy samym wejściu prawie zupełnie bez miejscowych tragarzy. Uważają, że na wielkich wyprawach himalajskich szybkość daje szanse zwycięstwa i że wejście na szczyt himalajski należy przeprowadzić na sposób alpejski.

Jakaż wielka zmiana poglądów od r. 1936, kiedy to wyprawa francuska w Karakoram miała 600 kulisów i 40 tragarzy wysokogórskich z Dardżilingu.

Mimo wszystko obecna wyprawa francuska ma kosztować, już po ściśnięciu jej budżetu, około 14 milionów franków. Organizuje ją Fédération Française de la Montagne (F. F. M.), przy współpracy C. A. F i G. H. M. Popierają ją czynniki rządowe.

Po przerwie wojennej, walka o zdobycie szczytów 8-tysięcznych rozpoczyna się więc na nowo. — *(R.)*

Kronika alpinistyczna

Mustag Ata (7433 m), ogromny odosobniony szczyt leżący w Turkiestanie Chińskim na wsch. pograniczu Pamiru (i nie przez wszystkich zaliczany do właściwego Pamiru), był atakowany cztery razy przez Sven Hedina (ostatni raz w r. 1894) oraz przez Sir Aurel Steina, który w r. 1900 osiągnął wysokość 6100 m. W sierpniu 1947 r. podjęli próbę zdobycia tego szczytu znani himalaiści, Eric E. Shipton i W. H. Tilman z tragarzem Gyalgen (Szerp), i 13 sierpnia doszli do wysokości ok. 7300 m, skąd zawrócili z powodu wyczerpania, zimna i niekorzystnych warunków śniegowych. — *(R.)*

Notatki

Nowy film o Tatrach. Film krótkometrażowy pt. Flora Tatr, w dwóch częściach (Wiosna i Lato). Reżyser i operator: inż. Włodzimierz Puchalski. Kierownictwo naukowe i opracowanie tekstów spikerki: dr Zofia Radwańska-Paryska.

Niecodzienny ten film zasługuje na uwagę — poza wszystkimi bowiem zaletami technicznymi i dydaktycznymi jest wysoce artystyczny. Nie ma w tym filmie przypadkowości, jest przemyślana od początku do końca koncepcja, co wynika stąd, że scenariusz nie jest

dziełem laika, ale tak doskonałej znawczyni flory tatrzańskiej, jak dr Zofia Radwańska-Paryska. Jest to wskazówką, że do współpracy przy wszelkich tego rodzaju filmach, wymagających znawstwa przedmiotu, trzeba zapraszać przede wszystkim fachowców — uniknie się wtedy rażących niekiedy błędów, albo ckliwego sentymentalizmu.

Film F l o r a T a t r jest zdumiewający wprost przez uchwycenie natury tatrzańskiej *in flagranti*. Widzimy pierwszy wiew wiosny, od topnienia śniegów, od marcowych wiatrów halnych począwszy, poprzez kwitnienie krokusów, budzenie się do życia owadów i żab, aż do letniego przepychu wszystkich kolejno po sobie kwitnących roślin, najbardziej charakterystycznych dla Tatr. Wspaniałe zdjęcia nieba, gór, artystyczne zbliżenia kwiatów i fragmenty rodzajowe — to dzieło znakomitego operatora inż. Włodzimierza Puchalskiego. Trzeba podkreślić jeszcze bardzo dobry montaż i czystość zdjęć.

Ilustracja filmu muzyczna i słowna — bardzo pomysłowa i stonowana; starannie dobrane recytacje prozy i poezji o tematyce tatrzańskiej Tetmajera, Witkiewicza, Asnyka, Pola, Nowickiego, Kasprowicza i innych. Widz uświadamia sobie, czym jest przyroda tatrzańska i jak trzeba szanować to jedyne w swoim rodzaju piękno. Taki film jest najlepszą propagandą ochrony przyrody i z tego względu ma doniosłe znaczenie społeczne.

Film ten powinien być pokazywany wszystkim wczasowiczom, przyjeżdżającym do Zakopanego. Skondensowane w nim jest bowiem całe bardzo intymne piękno przyrody tatrzańskiej, które tylko ktoś bardzo, bardzo dobrze znający jej tajemnice i kaprysy, może podpatrzeć — i to polując miesiącami na moment, który by miał taką siłę wyrazu. Na to trzeba kochać naturę tatrzańską i być nie tylko przyrodnikiem, ale i artystą.

Hanna Pieczarkowska

Reorganizacja i plany taternictwa słowackiego. Klub Slovenských Turistov a Lyziarov (KSTL) postanowił dnia 6 sierpnia 1949 r. wstąpić do Sokoła (Jednotná Telovýchovna Organisacia Sokol — JTO Sokol), wraz z wszystkimi swoimi oddziałami, a więc i ze Sborem Tatranských Horolezcov JAMES. Oficjalne wcielenie KSTL w JTO Sokol przeprowadzone zostało w dniach 23 i 24 września 1949 r. na uroczystym zgromadzeniu KSTL w Bratysławie. Sbor Tatranských Horolezcov JAMES przemienił się w Horolezecké ustredie JTO Sokol — JAMES.

Obecny zarząd JAMESu przedstawia się następująco: prezes Albert Brnćal, I wiceprezes Jan Oruziński, II wiceprezes Jozko Kajan, naczelnik (kierownik techniczny) inż. Alo Huba, sekretarz dr Radek Roubal (Bratislava, ul. Nár. povstania 9).

Zarząd postanowił, że wszędzie tam, gdzie jest najmniej 6 członków JAMESu, założony będzie przy miejscowym kole Sokoła oddział taternicki. Tam, gdzie jest mniej niż 6 taterników, zgłoszą się oni do oddziału turystycznego miejscowego koła Sokoła. Warunki przyjęcia nowych członków do oddziałów taternickich pozostają te same, jak dotychczas obowiązujące w JAMESie.

JAMES ogłosił następujący program działalności na rok 1950:

1. Wysłanie swoich członków na kursy taternictwa zimowego KWPTT w Polsce,
2. szkolenie kierowników wysokogórskich turystyki letniej i zimowej,
3. kurs taternictwa letniego dla początkujących,
4. dwudziesty ósmy tydzień taternicki JAMESu w sierpniu 1950 r.,
5. szkolenie instruktorów taternictwa letniego i zimowego,
6. obóz zimowy dla członków JAMESu,
7. reorganizacja pogotowia ratunkowego i zawodowego przewodnictwa w Tatrach Słowackich, i uzyskanie nowych członków dla tych dwóch instytucji,
8. stworzenie stałej Szkoły Taternictwa i Turystyki Górskiej w Schronisku Bilika w Tatrach,
9. wysłanie latem 1950 r. czterech grup taternickich do Polski oraz po dwie do Bułgarii i Rumunii,
10. wysłanie dwóch członków na przewidywaną wyprawę polską w Pamir.

A. Veverka

Skala trudności dróg alpinistycznych w górach ZSRR. Górskie przejścia alpinistyczne w Związku Radzieckim podzielono na dwa typy: przejścia szczytów i przejścia przełęczy. Dla szczytów ustalono 10 kolejnych stopni trudności, dla przełęczy zaś tylko 6. Skala trudności jest oznaczona cyframi od 1 do 5, przy czym na każdym stopniu są 2 kategorie: A i B, w ten więc sposób oznaczanie wzrastających trudności wygląda następująco: 1A, 1B, 2A, 2B itd. aż do 5B — najwyższej dotąd ustalonej kategorii trudności.

Jak dotychczas, sklasyfikowano tylko — i to nie wszystkie — przełęcze i szczyty Kaukazu i Tiań Szania, być może, ze względu na obecność w tych górach obozów szkoleniowych.

Wejścia na szczyty Pamiru, wystrzelające o wiele ponad 5000 m, zaliczają się już do specjalnej kategorii wypraw wysokościowych i nie posiadają klasyfikacji trudnościowej technicznej.

Ciekawą rzeczą niewątpliwie jest to, że sklasyfikowanych dróg o najwyższej kategorii trudności jest tylko 7 i wszystkie na Kaukazie. Są to: pd. ściana wsch. wierzchołka Dombaj Ulgen, trawers całej ściany Bezingi, trawers Dych Tau — Miżirgi Tau — Kosztan Tau, wschodnia grań Kosztan Tau, trawers z pn. na pd. (lub odwrotnie) Kosztan Tau, trawers wszystkich wierzchołków Szcheldy Tau, pn.-zach. ściana Szczytu Szczurowskiego.

Dla porównania podamy, że ważniejsze wejścia, dokonane przez wyprawę polską KWPTT na Kaukazie w 1935 r. przedstawiają się następująco:

Dych Tau pd. ścianą (drogą Mummery'ego) — 4B (III wejście W. Ostrowski z Aleksym Maleinowem, wtedy jeszcze młodziutkim nowicjuszem); Szchara wsch. granią — 4B (J. Bujak i S. Bernadzikiewicz); Noakau-soch-zajne (tzw. u nas Nookau-sauz-kaya) z lodowca Karaugom — 2A (I wejście T. Bernadzikiewicz, B. Chwaściński, T. Wojsznis); Burdżula z lodowca Karaugom pn. granią — 2B (I wejście J. Bujak, S. Bernadzikiewicz, M. Sokołowski). — *(Z. R. P.)*

Obozy szkoleniowe w górach ZSRR. Liczne stowarzyszenia i kluby sportowe Związku Radzieckiego zorganizowały sobie w górach stałe obozy szkoleniowe, gdzie szkoli się nowicjuszy, trenuje wprawnych i odbywa wejścia i przemarsze zaliczane na odznakę »Alpinista ZSRR«.

Obozów takich jest w Tiań Szaniu dwa: na wysokości 2700 m i 2650 m. Na Kaukazie jest 12 obozów: najwyższy na 2320 m, najniższy na 1580 m.

Obozy te są założone w strefie leśnej, na polanach i brzegach potoków. Mają dojścia turystyczne do najbliższych wsi lub osad, stamtąd zaś stałe połączenia automobilowe i samolotowe z miastami okręgu.

Obóz taki składa się z kilkunastu, lub więcej, dwu- i czteroosobowych namiotów (rzadziej lekkich drewnianych domeczków), gdzie sypia się na łóżkach polowych, lub materacach ze śpiworami. Obozy są zaopatrzone w całkowity sprzęt alpinistyczny: czekany, raki, haki, liny, karabinki, płachty biwakowe, ubiory szturmowe etc. Większość obozów jest zelektryfikowana. Wszystkie posiadają biblioteki, czytelnie z codziennymi pismami i periodykami, gry sportowe pokojowe i boiska sportowe, instrumenty muzyczne i radio, ciemnie i laboratoria fotograficzne, prysznice zimne i gorące, czasem łaźnie lub otwarte baseny.

W obozach jada się trzy razy dziennie. Obowiązuje surowe przestrzeganie rozkładu zajęć i bardzo ostra dyscyplina. W razie przekroczenia winny zostaje ukarany, aż do wydalenia z obozu ze zwrotem wszystkich kosztów włącznie.

Za jeden z najlepszych uchodzi obóz »Adył-su« klubu »Lokomotywa«, położony w środkowej części głównego grzbietu Kaukazu, po stronie północnej, na terenie gruzińskiej SRR, w rejonie Elbrusa. Czynny jest zimą i latem. — *(Z. R. P.)*

Najnowocześniejszy typ schronu wysokogórskiego. Schron taki zmontowano w Swanecji (Centralny Kaukaz), w dolinie Adył-su, na wysokości ok. 2800 m na morenie Baszkarskiego lodowca. Opracował projekt i prowadził roboty wychowanek Moskiewskiego Instytutu Architektury, M. W. Milakow. Schron obliczony na 10—12 osób, może pomieścić ich do 20 w razie potrzeby.

Dach poligonalny, bez strychu warunkuje lepsze wykorzystanie wewnętrznej przestrzeni. Wnętrze — to 1 izba i sionka. Przestrzeń wykorzystana znakomicie: dwupiętrowe prycze wzdłuż trzech ścian (przy czym w dolnych pryczach połowy podnoszone dla wykorzystania miejsca, gdy się nie śpi), półki na rzeczy wzdłuż ścian, schowek (nad sionką) na produkty, wysuwany stół na środek izby i drugi mniejszy przy ścianie. Okno z boku ściany szczytowej, pod nim stół-półka, mająca na dole specjalne urządzenie na suszenie butów; drugie mniejsze okienko w drugiej ścianie rzuca światło na piecyk gazolinowy do grzania izby i gotowania, z suszarką na odzież. Jest i miejsce na ścianie na małą radiostację (nadawczą i odbiorczą), bez której nie obejdzie się żadne schronisko ani obóz radziecki.

Ściany zewnętrzne z płyt duralowych, wewnętrzne z forniru bakelitowego, o bardzo dużej wytrzymałości. Termoizolatorem są dwie warstwy orgalitu o grubości każda 12 mm. W ten sposób trzy warstwy powietrza pomiędzy ściankami zabezpieczają od zimna. Drzwi zewnętrzne, z sionki na dwór, mają 3 warstwy orgalitu; wewnętrzne, do izby, są z bakelitu z dwiema warstwami orgalitu. Pod podłogą — jedna warstwa orgalitu na specjalnej izolującej podściółce.

Ogólna waga całości schronu 700 kg — daje się po rozłożeniu przewieźć z łatwością na kilku małych osiołkach. — *(Z. R. P.)*

W oczekiwaniu na powrót zdobywców szczytu (fragment z wyprawy radzieckiej). »W obozie niepokój. Z namiotu co jakiś czas wychodzi kierownik lub jego zastępca i długo, uporczywie wpatruje się w stronę szczytu. Niżej, w obozie Nr 2 fotograf nie odchodzi od lornetki skierowanej w tęż stronę.

— No i co tam? Jak towarzysze?

To pytanie jest we wszystkich spojrzeniach, we wszystkich myślach. Radiostacja obozu Nr 2 odbiera toż samo pytanie z komendy pogranicza: jak tam z czwórką ze szczytu?

I alpiniści to wiedzą: zdarzy się nieszczęście — i na pomoc im ruszą ludzie, dziesiątki i setki ludzi! Podniosą się w niebo samoloty!

Alpiniści radzieccy, wybierając się na trudną i niebezpieczną wyprawę, czują za sobą poparcie całej swej potężnej Ojczyzny«. (Z książki D. M. Zatułowskiego pt. Na lednikach i wierszinach Sriedniej Azji).

W Związku Radzieckim rozumieją znaczenie i potrzebę popierania alpinizmu. *(Z. R. P.)*

Trąba powietrzna. W dniu 26. VII. 1949 mieszkańcy przysiółka Tarasówka gromady Małe Ciche gminy Poronin byli świadkami następującego zjawiska:

Około godz. 18 przeszła przez Tarasówkę trąba powietrzna (górale nazywają to »powichrem«), powstała, zdaje się, na polach Małego Cichego położonych na wschód od chałup Małego Cichego. Potężny wir powietrzny przesunął się ku północy przez zbocze Tarasówki. Trwał bardzo krótko, nie był poprzedzony żadnymi prądami powietrza, i po nim nastąpiła cisza. Dzień był słoneczny i spokojny. Zjawisko miało charakter ściśle lokalny. Znajdując się o kilkaset metrów od centrum wiru nie odczułem żadnych ruchów w atmosferze. Wir miał postać olbrzymiego stożka odwróconego. Lżejsze przedmioty, które dostawały się w orbitę działania wiru, zataczały coraz większe koła po spirali wstępującej i ginęły w przestworzach. W ten sposób zabrane zostały z pól Tarasówki znaczne ilości siana. Osobom idącym od Bukowiny przedstawiało się to jak olbrzymie stado krążącego ptactwa.

W dniu 28. VII. 1949, będąc na wycieczce w Tatrach znalazłem znaczne ilości siana w kotle Zmarzłego Stawu pod Zawratem. Zwłaszcza na dwóch płatach śniegu leżały spore naręcza siana. Poza tym przyprószone sianem były same pola śnieżne i usypiska. Siano nie było zrudziałe czy zbielałe, miało naturalny kolor świeżego siana. Śnieg pod sianem był czysty. Wszystko zaś świadczyło o tym, że siano tam leżało od paru dni zaledwie. Przypuszczam, że siano wyniesione bardzo wysoko zostało następnie przez panujące wówczas wiatry północne przeniesione na tę odległość.

Tarasówka, 31. VII. 1949. *Dr Wacław Brzeziński*

Nagroda za prace geologiczne w Tatrach.

Mgr Andrzej Michalik, pracownik Państwowego Muzeum Ziemi i kustosz działu geologicznego Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem, który od 1945 r. prowadzi badania geologiczne w Tatrach, otrzymał w jesieni 1949 r. nagrodę naukową Ministerstwa Oświaty za całokształt prac nad krystalinikum Tatr.

Praca mgra Michalika wnosi nowe poglądy i nowe metody badań nad problemami zróżnicowania mas granitowych trzonu krystalicznego Tatr i jest przez wymienionego prowadzona nadal pod opieką Państwowego Instytutu Geologicznego. — *(S. S.)*

W odpowiedzi na notatkę pt. »Wyczyn wrocławski«. W związku z tym, że upłynęło już dużo wody od czasu, gdy ukazała się w Taterniku notatka pt. »Wyczyn wrocławski« (Tat. XXX, 136) i sprawa w niej poruszana nareszcie się zdeaktualizowała, w odpowiedzi na nią ograniczymy się tylko (jakkolwiek z wielkim żalem) do uczynienia Redakcji kilku rzeczowych uwag, bez wylewania na nią »kubła zimnej wody« czy też, co gorsza — pompy (jak to w stosunku do nas uczyniono), bez silenia się na odpowiedź w tym stylu, w którym nas zaatakowano. Styl ten poza tym, że jest, powiedzmy niegrzeczny, prowokuje do polemiki. Nie odpowiadamy więc kol. Redaktorowi tą samą bronią, którą nas zaatakował, chcąc zakończyć wreszcie i taternickie echa owego hałasu, który rozlegał się wokół Iglicy.

Oto owe kilka uwag: Pierwsza dotyczy tonu i stylu notatki. Wykazuje on wybitną tendencję do wytworzenia u czytelnika postawy lekceważenia nie tylko niewątpliwego (naszym zdaniem) wysiłku umysłowego, psychicznego i fizycznego, towarzyszącego wejściu na Iglicę, ale także do wytworzenia u czytelnika postawy lekceważenia nas sa-

mych (zaciekawia nas z jakiego to powodu). W tym też celu wykorzystała Redakcja wejście Francuzów na wieżę Eiffla, dokonane bezcelowo, dla efektu czy reklamy. Niewyszukanymi chwytami polemicznymi, zwalcza Redakcja (urojonego zresztą) przeciwnika swych poglądów, przez domyślne imputowanie nam sądów, od których byliśmy zawsze i jesteśmy dalecy. (Chodzi mianowicie o nasze rzekome uważanie wejścia na Iglicę za wyczyn taternicki).

Uważamy, że było rzeczą wybitnie niewłaściwą wykorzystanie artykułu kol. Jaworowskiego pt. »Nowe drogi na Ziemiach Odzyskanych«, do zasugerowania czytelnikowi poglądu, jakoby między oboma zdobywcami Iglicy zaistniała różnica zdań.

Rozdzieranie szat z powodu firmowania (zresztą w końcowej fazie) naszego wejścia na Iglicę przynależnością klubową jest tylko formalnie słuszne, gdyż jesteśmy przekonani, że przyniosła ona Klubowi i PTT pewne reklamowe korzyści, może nawet w większym stopniu niż działalność Referatu Prasowego czy choćby s a m e j Komisji Szkolenia Górskiego. Mamy czyste sumienie chociażby nawet i z tego powodu, że działaliśmy w tak specjalnych warunkach, że nie mogło być mowy o jakimkolwiek porozumieniu się z Zarządem Klubu w tej sprawie.

Uważamy również, że nie należy do kompetencji fachowego czasopisma jakim jest Taternik, wydawanie sądu na temat, czy czyn nasz był »społecznie błahy«, czy też nie, oraz czy był z punktu widzenia przygotowania przemyślany należycie. Sąd na oba te tematy został wydany przez instytucję bardziej do tego powołaną niż Redakcja Taternika, czy też zebranie kilku starszych panów, a mianowicie przez specjalną komisję złożoną ze specjalistów inżynierów z prof. drem Hemplem na czele, a powołaną przez Komisarza Rządu dla Spraw Wystawy Ziem Odzyskanych przy Prezydium Rady Ministrów. Z powyższych powodów nad notatką »Wyczyn wrocławski« przechodzimy do porządku dziennego. Wszystko co pozostaje nam do uczynienia to jest: *guarda e passa.*

Zbigniew Jaworowski *Wojciech Niedziałek*

Przypisek Redakcji. — Sprawa »wyczynu wrocławskiego« została więc oświetlona z dwóch różnych stron: w powyższej notatce i w Taterniku z ubiegłego roku (XXX, 136). Redakcja nie korzysta ze sposobności, aby dorzucić cokolwiek do tej polemiki, ponieważ już wystarczająco określiła swe stanowisko w poprzedniej notatce. Jeżeli obie notatki dały czytelnikowi okazję do pewnych refleksyj ogólniejszej natury — cel ich wydrukowania został osiągnięty i rzeczywiście można nad tą błahą czy niebłahą (jak kto woli) sprawą przejść do porządku dziennego.

Sprawy Klubu

Nowe władze Klubu. Po wyborach na ostatnim Walnym Zgromadzeniu KW, po ukonstytuowaniu się Zarządu i po wyznaczeniu delegatów, Zarząd ma obecnie następujący skład: prezes dr J. K. Dorawski, I wiceprezes J. T. Wojsznis, II wiceprezes dr S. Siedlecki, sekretarz J. Szumski (dokooptowany do Zarządu na miejsce śp. A. Nunberga), skarbnik M. Paully, członkowie A. Manda, dr T. Orłowski (dokooptowany) i dr Z. Radwańska-Paryska; delegaci do Zarządu KW: Zarządu Głównego PTT dr K. Piotrowski, Koła Krakowskiego KW F. Kędzior, Koła Warszawskiego KW prof. J. W. Żuławski, Koła Zakopiańskiego KW J. Zubek.

Komisja Rewizyjna: dr W. Łaba, dr S. Kowenicki i inż. Z. Schneigert; zastępcy dr M. Korowicz i dr T. Orłowski (ten ostatni — wskutek kooptacji do Zarządu — ustąpił z Komisji Rewizyjnej).

Sąd Koleżeński: inż. Janusz Chmielowski, prof. dr W. Goetel i inż. J. Maślanka; zastępcy: dr A. Kroebl i dr K. Piotrowski.

Na posiedzeniu w dniu 13 listopada 1949 r. Zarząd Klubu wybrał następujące komisje i delegatów:

Redaktorem Taternika pozostaje nadal W. H. Paryski. Komitet Redakcyjny Taternika: M. Babiński, dr J. K. Dorawski i B. Małachowski.

Komisja Szkolenia Górskiego, działająca już od lipca 1949 r. jako wspólny organ KW i PTT, pozostaje na razie bez zmian aż do ustalenia nowego regulaminu, a więc w składzie: J. T. Wojsznis (przewodniczący), W. H. Paryski, mgr T. Pawłowski, dr Z. Radwańska-Paryska i Z. Wójcik.

Komisja Wypraw Wysokogórskich: prof. J. W. Żuławski (przewodniczący), W. H. Paryski, prof. dr B. Pawłowski, dr S. Siedlecki i prof. dr R. Wojtusiak.

Komisja Planowania: inż. Jan Chmielewski (przewodniczący), W. H. Paryski, dr Z. Radwańska-Paryska, J. T. Wojsznis i T. Zwoliński — z prawem kooptacji.

Komisja Imiennictwa Tatrzańskiego w składzie dotychczasowym: W. H. Paryski (przewodniczący), J. G. H. Pawlikowski, dr. Z. Radwańska-Paryska, dyr. J. Zborowski i T. Zwoliński.

Referat Sprzętu Wysokogórskiego: A. Manda (kierownik).

Referat Prasowy: H. Czarnocki, dr J. Hajdukiewicz i inż. M. Mischke.

Delegatem do Zarządu Głównego PTT wybrano dra S. Siedleckiego.

Delegatami do Komisji Przewodnictwa Tatrzańskiego wybrano ponownie W. H. Paryskiego (jako przewodniczącego) i Z. Wójcika.

Delegatami do Zarządu T. O. P. R. wybrano W. H. Paryskiego i Z. Wójcika, ale zwołanie Zarządu T. O. P. R. jest zależne od decyzji Zarządu Głównego PTT i dotychczas nie zostało dokonane. Zamiast Zarządu T. O. P. R. funkcjonuje nadal wyznaczony przez Zarząd Główny PTT kurator w osobie S. Zwolińskiego.

Członkowie Klubu. Na listę członków zwyczajnych Klubu wpisani zostali: z dniem 21 lutego 1949 dotychczasowi członkowie uczestnicy Koła Krakowskiego Karol Jakubowski i mgr Marian Marcinkowski; z dniem 27 sierpnia 1949 Jan Słupski; z dniem 19 czerwca 1949 dotychczasowy członek uczestnik Koła Krakowskiego Wincenty Kwapiński i członek uczestnik Koła Zakopiańskiego Mieczysław Grzegorczyk, ten ostatni z przydziałem do Koła Śląskiego; z dniem 27 sierpnia 1949 dotychczasowi członkowie uczestnicy Koła Warszawskiego dr Paweł Czartoryski, Krzysztof Hirszel, Krystyna Jakubowska-Gajczakowa, Elżbieta Kowalska, Jerzy Sawicki, mgr Jan Strzelecki, Witold Trzeciakowski i Jan Ziemilski; z dniem 8 maja 1949 dr Damazy Mikiewicz, reaktywowany jako były członek STAZS Kraków, z przydziałem do Koła Śląskiego.

Na członków zwyczajnych przyjęci zostali: z dniem 1 stycznia 1949 Aleksandra Czajówna (Kraków), z przydziałem do Koła Krakowskiego oraz mgr Kazimierz Guzik (Warszawa), Władysław Gąsienica, Józef Krzeptowski, Szymon Zarycki i Józef Zubek (wszyscy z Zakopanego), z przydziałem do Koła Zakopiańskiego; z dniem 15 maja 1949 mgr Edward Kaźmierczak (Katowice) z przydziałem do Koła Śląskiego, Franciszek Obstarczyk (Kraków) z przydziałem do Koła Krakowskiego, Helena (Kowalska-) Hajdukiewiczowa (Zakopane) i Eugeniusz Strzeboński (Zakopane) z przydziałem do Koła Zakopiańskiego.

Zarząd Klubu zatwierdził przyjęcie na członków uczestników: do Koła Krakowskiego następujące osoby: z dniem 1 stycznia 1949 Jan Godzicki, Aleksander Halpern, Zdzisław Jakubowski, Anna Klemensiewicz, Włodzimierz Kot, Elżbieta Kowalska, Stefan Kozłowski, inż. Władysław Manduk, inż. Henryk Nadziakiewicz, Zygmunt Pociecha, Andrzej Rodecki, Jan Słupski, Jerzy Wacławik, mgr Władysław Warchał; z dniem 21 lutego 1949 Krzysztof Birkenmajer, Jerzy Sawicki, Stanisław Szczęk; z dniem 15 maja 1949 Adam Chrzanowski, Anna Kural, Erazm Janczyk, dr Stanisław Rokita, Alina Starczewska. Do Koła Warszawskiego następujące osoby: z dniem 1 stycznia 1949 dr Paweł Czartoryski, Józef Szamborski, Jan Ziemilski; z dniem 15 maja 1949 Krzysztof Brun, Stefania Grodzieńska-Jurandot, Krzysztof Hirszel, Anna Sobocińska, mgr Jan Strzelecki. Do Koła Zakopiańskiego następujące osoby: z dniem 1 stycznia 1949 inż. Olgierd Biskupski, Izabela Czecz, Andrzej Jasiński, Leszek Michalski, Tadeusz Rogowski, lek. Zygmunt Sieńkowski; z dniem 15 maja 1949 Józef Faden, Alina Kaszyn, Lesław Krok, Bolesław Kwiatkowski, Ignacy Mydlarz, Witold Popielewicz, Adam Truszkowski.

Wystąpili z Klubu: dr Konstanty Narkiewicz-Jodko (członek zwyczajny) 27. VIII. 1949, dr Krystyna Sinko-Popielowa (członek zwyczajny) w czerwcu 1949, Danuta Szaflarska (członek uczestnik Koła Warszawskiego) 11. X. 1949.

Zmarli członkowie: dr Tadeusz Świerz-Zaleski, inspektor Lasów Państwowych w Krakowie, członek zwyczajny Klubu od 1920 r., zmarł 13. VI. 1949; Andrzej Nunberg i Jerzy Woźniak, studenci, członkowie zwyczajni Klubu, zginęli tragicznie w sierpniu 1949 r. pod Gankową Przełęczą.

Zgodnie z § 7 Statutu Klubu Zarząd Klubu podaje do wiadomości, że wpłynęły następujące podania o przyjęcie w poczet członków uczestników Klubu:

do Koła Krakowskiego: Stanisław Biel, uczeń liceum; Danuta Fedeczko, asyst. U.J.; Wojciech Komusiński, ucz. lic.; Jerzy Krasikow, stud. med.; Władysław Maciołowski, technik-elektryk; Maciej Mazur, stud. U. J.; Wiesława Mazur, lekarz; Edward Noszka, mistrz ślusarski; dr Zdzisław Przybyłkiewicz, lekarz; Kazimierz Sak, technik-elektryk; mgr Jadwiga Siemińska, asyst. U.J.; Marian Tłuszcz, uczeń; Andrzej Truszkowski, abs. Ak. Handl.; inż. mgr Wojciech Truszkowski, starszy asystent A. G. H.; Józef Urbanek, student Wych. Fiz. — wszyscy z Krakowa;

do Koła Śląskiego: Stanisław Nitka, technik-elektryk; Zbigniew Sawka, technik elektryk — obaj z Katowic;

do Koła Warszawskiego: Krzysztof Blauth, student; Stanisława Kowalska, stud. — oboje z Warszawy; Lech Pawłowski, stud., Łódź; Jan Robakiewicz, stud. Warszawa;

do Koła Zakopiańskiego: Maria Berger, asystentka U. P., Poznań; Jadwiga Bryda, biuralistka, Zakopane; Aleksandra Stachowiak, studentka, Poznań.

Działalność Koła Krakowskiego KWPTT. Zarząd: przewodniczący mgr Kazimierz Paszucha, zastępca Fryderyk Kędzior, członkowie Stanisław Worwa, Zenon Węgrzynowicz, Juliusz Szumski, Adam Górka; Referat Sprzętu: Stanisław Słupski; Referat Szkolenia: F. Kędzior, A. Górka, S. Worwa, J. Szumski.

Działalność swą Koło zaplanowało na zebraniu Zarządu w dniu 16. X. 1948 na cały rok następny. Plan prac obejmował szkolenie młodzieży przez organizowanie kursów turystyki i techniki wspinaczkowej, oraz organizowanie odczytów, pogadanek, herbatek etc. Wykonano co następuje:

1) Wieczór gwiazdkowy 14. XII. 1948.
2) Kurs wspinaczkowy w dolinkach podkrakowskich od 1.V. — 1.VI.1949 (45 osób).
3) Kurs taternicki w Tatrach dla tych, którzy odbyli kurs w dolinkach, od 15.—21. VII.1949 (20 osób).
4) Kurs wspinaczkowy w dolinkach podkrakowskich od 1. X. — 1. XI. 1949 (38 osób).
5) Herbatka towarzyska w dniu 30. XI. 1949.
6) Odczyty i pogadanki w ilości 31.

Program kursów miał na celu zapoznanie z historią taternictwa, zasadami obchodzenia się ze sprzętem wysokogórskim oraz przeszkolenie wspinaczkowe. W kursach brały udział również koleżanki, które wykazywały duże zacięcie i zainteresowanie tym sportem. Prócz urządzanych kursów w dolinkach, na których frekwencja wszystkich członków Koła dochodziła do liczby 70, Koło Krakowskie obsadzało kursy taternickie zimowe i letnie, urządzane przez Komisję Szkolenia Górskiego KWPTT w Zakopanem, oraz wyprawę wysokogórską do Czechosłowacji.

Aktywność Koła Krakowskiego objawiała się w wybitnych tatrzańskich przejściach członków, do których można zaliczyć tak piękne drogi jak Mięguszowiecki Szczyt pn. ścianą zimą (Worwa i Jakubowski oraz — osobno — Hajdukiewicz i Staszel), Mnich wsch. ścianą drogą Stanisławskiego (3 przejścia), Mięguszowiecki Szczyt pn. filarem (2 przejścia) i wiele innych zrobionych na terenie Tatr, których z braku miejsca nie podajemy. W sumie można podać liczbę 175 przejść letnich i 45 zimowych, dokonanych przez członków Koła w Tatrach.

W sierpniu 1949 r. Koło Krakowskie straciło swego członka Jerzego Woźniaka, który razem z Andrzejem Nunbergiem zginął śmiercią górską pod Gankową Przełęczą. Młodość, siła, niezwykłe zdolności taternickie, jakie cechowały obu, zostały przecięte przez siły wyższe przez zmianę nagłą pogody, przez burzę śniegową i fatum. Żal i strata dwóch najlepszych Kolegów, którzy byli wybrani na wyprawę w Alpy Francuskie, jest dla nas nieodżałowana.

Na rok 1950 Zarząd Koła Krakowskiego, będący w tym samym składzie co roku poprzedniego, zaprojektował bogaty plan prac, który przy dobrej woli członków i dotychczasowym entuzjazmie powinien być nie tylko wykonany, ale z pewnością przekroczony.

Kazimierz Paszucha

Powstanie Koła Śląskiego KWPTT. W ostatnich czasach zaznaczył się żywy rozwój turystyki wysokogórskiej na terenie Górnego Śląska. Ruchem tym opiekował się Oddział Górnośląski PTT w Katowicach, a prowadzili go zamieszkali na terenie Śląska członkowie KWPTT. W toku liczebnego rozwoju i technicznego postępu tamtejszego środowiska taternickiego nasunęła się potrzeba ściślejszego związania go z Klubem Wysokogórskim.

Dnia 12 października 1949 r. odbyło się w Katowicach zebranie, na którym ukonstytuowano Koło Śląskie KWPTT z siedzibą w Katowicach. Przewodniczącym Koła został wybrany kol. prof. dr Marek Korowicz, zastępcą kol. dr Damazy Mikiewicz, sekretarzem kol. Franciszek Kłosiński. Komisję Rewizyjną stanowią koledzy mec. Edmund Kaźmierczak, inż. Zbigniew Abgarowicz i inż. Zdzisław Dziędzielewicz. Do Koła przystąpiło od razu 7 członków zwyczajnych i 7 uczestników KW; obecnie jest już 9 członków zwyczajnych i 14 uczestników, a dalsze podania znajdują się w toku załatwiania. Ponadto przy Kole gromadzą się absolwenci kursów jako adepci. Seniorem Koła jest inż. Janusz Chmielowski, który bierze czynny udział w zebraniach i pracach organizacyjnych.

Koło zorganizowało 26. X. 1949 odczyt pt. „Osiągnięcia alpinizmu radzieckiego", który wygłosił kol. inż. Z. Abgarowicz, a dnia 23. XI. 1949 wieczór dyskusyjny na temat tragedii na ścianie Rumanowego Szczytu, o której referowali kol. Andrzej Manda z Koła Krakowskiego i kol. dr D. Mikiewicz.

Koło Śląskie ma wszelkie widoki pomyślnego rozwoju, a znajdując się w centrum robotniczego Śląska będzie dążyło do propagandy taternictwa w jak najszerszych masach pracujących.

Działalność Koła Warszawskiego KWPTT. Wybrany na ogólnym zebraniu Koła Warszawskiego w dniu 7 lutego 1949 r. Zarząd ukonstytuował się jak następuje: Wawrzyniec Żuławski (przewodniczący), Andrzej Nunberg (sekretarz), Danuta Schiele (skarbnik), Krystyna Jakubowska (gospodarz) i Stanisław Michalski (członek Zarządu). Ponieważ kol. Michalski z powodu przeciążenia zajęciami zawodowymi nie mógł brać udziału w pracach Zarządu, dokooptowano kol. Krzysztofa Bruna i powierzono mu sprawy sprzętu.

Zarząd postawił sobie, jako główne zadanie, odbudowę wyniszczonego przez wojnę warszawskiego środowiska wysokogórskiego, przysporzenie mu nowych aktywnych jednostek, zachęcenie licznych rzesz młodzieży do uprawiania taternictwa. Dla uzyskania żywszego i łatwiejszego kontaktu z sympatykami sportu wysokogórskiego Zarząd wprowadził stałe cotygodniowe dyżury, połączone w miarę potrzeby z posiedzeniami Zarządu. Dyżury takie odbywały się początkowo w biurze PTT (ul. Wilcza 22), a od połowy września br. w lokalu Ligi Morskiej (ul. Widok 10). Odbyto na nich ogółem 18 posiedzeń Zarządu. Niezależnie od tego dwa razy w miesiącu odbywały się w lokalu Ligi Morskiej zebrania klubowe połączone z pogadankami i herbatką, na które oprócz członków uczęszczali liczni sympatycy. Zebrań takich odbyło się dotychczas 10, pogadanki wygłaszali na nich kol. Jerzy Maślanka, Andrzej Nunberg, Tadeusz Orłowski, Aleksander Schiele, Justyn Wojsznis i Wawrzyniec Żuławski. Dla spopularyzowania zagadnień wysokogórskich i zachęcenia do czynnego uprawiania taternictwa Zarząd zorganizował w sali odczytowej Stow. „Ognisko" (dawniej YMCA) przy ul. Konopnickiej 6 cykl złożony z 10 wykładów o sporcie wysokogórskim połączony z pokazem przeźroczy i filmów. Cykl ten odbył się w czasie od 2 maja do 13 czerwca 1949 r. Wykładowcami byli kol. Zofia Radwańska-Paryska, Kazimierz Guzik, Stefan Jarosz, Janusz Klarner, T. Orłowski, A. Schiele, J. A. Szczepański, J. Wojsznis i W. Żuławski. Przeciętna frekwencja na wykładach wynosiła ok. 60 osób, spośród których wielu zapisało się następnie na kursy praktyczne w Tatrach.

Kursy te zorganizowano z inicjatywy Zarządu Koła przy współudziale Komisji Szkolenia Górskiego KWPTT (która je częściowo finansowała). Dla usprawnienia prac organizacyjnych powołano do życia Referat Szkoleniowy przy Zarządzie Koła w składzie: T. Orłowski (przewodniczący), K. Brun i A. Nunberg. Kursy odbyły się na dwóch szczeblach:

1) Kurs dla początkujących (32 uczestników, w tym 11 kobiet) obejmował kurs przeprowadzony przez Komisję Szkolenia Górskiego KWPTT (11—17. VII. 1949) na kierowników wycieczek zbiorowych pod kierunkiem W. H. Paryskiego oraz kurs taternicki (18—23. VII. 1949 na Hali Gąsienicowej i przy Morskim Oku) pod kierunkiem T. Orłowskiego. Uczestnicy zaznajomili się w szeregu wykładów i zajęć praktycznych z terenem wysokogórskim oraz głównymi elementami wspinaczki skalnej i asekuracji. Pomimo fatalnej pogody uczestnicy pod kierunkiem instruktorów odbyli szereg wspinaczek jak: grań Kościelca i Małego Kościelca, Mnich i Zadni Mnich, Żabia Czuba itd. oraz ćwiczenia praktyczne. Ukończyło kurs 29 osób.

2) Kurs dla zaawansowanych (25—31. VII. 1949 przy Morskim Oku) obejmował członków uczestników Koła Warszawskiego KWPTT, oraz wybijających się uczestników kursu poprzedniego. Wzięło w nim udział całkowicie 16 osób, częściowo 7, ogółem 23 (w tym 7 kobiet). Kierownikiem był T. Orłowski. Zadaniem kursu było dokładne zaznajomienie uczestników z techniką asekuracji, wspinania się, oraz wynajdowania dróg w dużych ścianach górskich. Pod kierunkiem instruktorów (Z. Krysa, Cz. i J. Mierzejewscy, E. Strzeboński, W. Żuławski, oraz kierownik T. Orłowski), ale całkowicie samodzielnie, niejednokrotnie prowadząc w drugiej partii linowej — uczestnicy przeszli szereg dróg długich i trudnych, lub krótszych i bardzo trudnych, takich jak Mięguszowiecki Szczyt pn. ścianą (dwukrotnie) i lewą połacią wsch. ściany, Mięguszowiecka Grań (dwukrotnie), Mięguszowiecki Szczyt Środkowy III i IV w. lewym filarem pn.-wsch. ściany, Mięguszowiecki Szczyt nad Czarnym poprzez Kazalnicę, Wołowa Szczerbina II w. wprost od pn., Niżnie Rysy środkowym filarem zach. ściany; z dróg krótkich: Żabi Mnich II i III w. pd.-wsch. ścianą na niższy wierzchołek, III w. pn.-zach. ścianą na główny wierzchołek, pn.-zach. kominem, pn. i pd.-zach. granią, Żabi Szczyt Niżni zach. ścianą (trzykrotnie), Żabia Czuba IV w. zach. ścianą, Mnich pn.-wsch. ścianą i pn. ścianą (dwukrotnie), oraz Zadni Mnich pn. ścianą (dwukrotnie). Kurs ukończyli wszyscy uczestnicy.

Nadmienić należy, że dzięki uzyskaniu przez Zarząd paszportów do Czechosłowacji większość uczestników i instruktorów tego kursu uprawiała w pierwszej połowie sierpnia 1949 r. indywidualną działalność górską w Tatrach słowackich, uzyskując m. in. II w. pd. ścianą Małego Kołowego Szczytu, całkowite przejście środka pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu, drogi na ścianach Durnego, Baranich Rogów i Staroleśnej, częściowo nowe drogi na pd. ścianie Małego Lodowego Szczytu i pn. ścianie Wysokiej, a z nowych wejść: I w. na Łomnicę pn.-wsch. grzędą, ściśle pn. granią Wielickiego Szczytu, I w. pn.-wsch. żebrem Żabiego Szczytu Niżniego, lewym filarem zach. ściany Niżnich Rysów oraz pd.-zach. żebrem Mięguszowieckiego Szczytu Środkowego.

W bieżącym sezonie Koło Warszawskie poniosło ciężką, niepowetowaną stratę na skutek tragicznego wypadku śp. kol. Andrzeja Nunberga w ścianie Gankowej Przełęczy. Śmierć tego wybitnego przedstawiciela młodego pokolenia taternickiego, dzielnego, wytrwałego pracownika na terenie organizacyjnym, niezastąpionego kolegi i przyjaciela — wywołała duże przygnębienie i głęboki żal w warszawskim środowisku taternickim.

Po śmierci kol. Nunberga skład Zarządu został zdekompletowany. Na posiedzeniu w dniu 28. IX. 1949 postanowiono obowiązki sekretarza Zarządu powierzyć kol. K. Brunowi, ponadto dokooptować kol. Krzysztofa Hirszla i St. Podleckiego, powierzając im sprawy sprzętu, wyodrębnione w osobny Referat Sprzętowy. Zreorganizowano również Referat Szkoleniowy, który działa obecnie w składzie: T. Orłowski (przewodniczący), Anna Sobocińska i Jerzy Mierzejewski. Referat ten zorganizował obecnie teoretyczny kurs taternictwa, mający na celu pogłębienie poziomu wiadomości o problemach związanych z taternictwem i alpinizmem wśród młodych wspinaczy przeszkolonych na kursach praktycznych. Kurs ten ma objąć ogółem 25—30 wykładów. Niezależnie od niego, na zaproszenie Ministerstwa Obrony Narodowej odbywa się cykl wykładów popularnych dla wojska. W planach Referatu Szkoleniowego jest kurs zimowy dla początkujących, oraz kurs, którego organizację już rozpoczęto, mający na celu przeszkolenie kadry do wypraw egzotycznych, w warunkach możliwie zbliżonych (a więc w zimie, z biwakowaniem, zakładaniem obozów etc.).

Dla utrzymania kontaktu z członkami i sympatykami Zarząd wydaje co pewien czas komunikaty informujące o bieżących sprawach Koła. Komunikatów takich ukazało się dotychczas 8.

Największą trudnością jest w dalszym ciągu brak własnego lokalu. Brak ten staje się coraz większą przeszkodą w pracy, zważywszy, że Koło — które rok temu posiadało dosłownie trzech aktywnych członków — liczy obecnie kilkudziesięciu młodych obiecujących wspinaczy (w tym kilkunastu reprezentuje już dziś poziom godny uwagi), nie licząc sympatyków, stale uczęszczających na pogadanki i inne imprezy Koła. Zarząd czyni obecnie energiczne starania o uzyskanie lokalu i istnieją podstawy do przypuszczenia, że starania te dadzą pozytywne wyniki.

Wawrzyniec Żuławski

Działalność Koła Zakopiańskiego KWPTT. Dnia 19 grudnia 1949 r. odbyło się Walne Zebranie, na którym wybrano nowy Zarząd w składzie: Józef Januszkowski (przewodniczący), Józef Zubek (zastępca przewodniczącego i bibliotekarz), Eugeniusz Strzeboński (sekretarz), mgr Zdzisław Kozioł (skarbnik) i Michał Gajewski (gospodarz). Komisja Rewizyjna: Alina Kaszynowa, inż. Kazimierz Schiele i Józef Wawrytko.

Nowy Zarząd postawił sobie za jeden z głównych celów propagandę turystyki wysokogórskiej i taternictwa wśród młodzieży zakopiańskiej drogą pogadanek i odczytów w sezonie zimowym, a drogą urządzania wycieczek i kursów (w porozumieniu z Komisją Szkolenia Górskiego) na wiosnę i w lecie.

Przy Kole powstała Delegatura Referatu Sprzętu Wysokogórskiego KWPTT dla rozprowadzania sprzętu wśród członków Koła zamieszkałych w Zakopanem.

Biblioteka Koła jest do dyspozycji członków, jak również wspólna świetlica w lokalu Komisji Szkolenia Górskiego, na I piętrze hotelu Morskie Oko w Zakopanem. — *(R.)*

Komunikat Referatu Sprzętu Wysokogórskiego KWPTT.

1) RSW, po całkowitym rozprowadzeniu posiadanego sprzętu, przygotowuje obecnie produkcję nowej partii sprzętu, którego wykonanie oparte będzie na zeszłorocznych doświadczeniach. Ze spisu sprzętu, będącego w posiadaniu RSW w roku ubiegłym odpadają definitywnie raki wszelkich numerów, natomiast dojdą prawdopodobnie haki ze stali profilowanej, młotki lodowe i letnie, i czekany w wybitnie poprawionej jakości materiałów, kształcie i przede wszystkim wykonaniu.

2) RSW posiada obecnie: karabinki (analogiczne jak roku ubiegłego) w cenie za sztukę zł 200, woreczki żywnościowe z białego płótna trzech wielkości w cenie zł 50 za sztukę, wiatrówki z płacht amerykańskich w cenie zł 2500 (model jak na str. 69-70).

W najbliższej przyszłości RSW posiadać będzie: overole (granatowy trykot z kottonem) w 3 wielkościach, cena zł 1500-3000 (zależnie od nowej ceny materiału), spodnie wspinaczkowe (pumpy) z bronzowego struksu, szyte na miarę (podawać należy obwód w pasie, długość wewnętrzną i zewnętrzną nogawki w maksymalnej swojej długości), cena zł 2200-2500, pokrowce na raki (model jak na str. 70), cena ok. zł 350.

Z nowych, dotąd nie posiadanych asortymentów sprzętu dojdą ponadto według wszelkiego prawdopodobieństwa plecaki wysokogórskie, wory ładunkowe, liny steelonowe, liny z włoskich konopi i w razie otrzymania odpowiednich materiałów — śpiwory. Prowadzone są też prace nad rekonstrukcją namiotu szturmowego modelu Akar-Ramada, jako typu zbliżonego do ideału.

Oprócz tego czynione są starania o importowanie ze Szwajcarii maszynek do gotowania, których brak tak dotkliwie daje się odczuwać.

3) Celem usprawnienia rozdziału sprzętu, przy poszczególnych Kołach KW powstały Delegatury RSW. Mają one za zadanie przejęcie całości spraw sprzętu w Kołach KW, oprócz Koła Krakowskiego, a tym samym obniżenie kosztów indywidualnej przesyłki sprzętu oraz usprawnienie pracy. Od chwili obecnej wszelkie zamówienia na sprzęt składają członkowie do Delegatury RSW na terenie swojego Koła, które centralnie zamawia sprzęt i rozprowadza na swoje odcinki. Delegatury będą zaopatrzone w katalogi i modele sprzętu. O posiadanym sprzęcie będą członkowie KW powiadamiani komunikatami. Wyjątek stanowią członkowie Koła Krakowskiego, ze względu na siedzibę RSW w Krakowie, oraz członkowie KW zamieszkali poza siedzibami swoich Kół, którzy będą nadal indywidualnie zaopatrywani w sprzęt, na podstawie zamówień kierowanych na adres: Andrzej Manda, Kraków, Długa 27/8.

4) Sprzęt będzie rozdzielany proporcjonalnie do ilości członków poszczególnych Kół. Okres rezerwowania przydziału, w razie posiadania niewielkich ilości sprzętu, będzie ograniczony do kilku tygodni.

5) Sprzęt jest zdobywany ogromnym wysiłkiem organizacyjnym i finansowym i stanowi własność wszystkich członków KW i jest t y l k o i w y ł ą c z n i e dla nich przeznaczony. Sprzętu jest stosunkowo mało, ale niestety, zdarzają się wypadki posiadania sprzętu przez osoby spoza KW, podczas gdy członkowie KW cierpią na jego brak. Aby uniknąć podobnej sytuacji na przyszłość, Zarząd KWPTT uchwalił, iż każdy kupujący sprzęt członek KW podpisze deklarację zobowiązującą go do niesprzedawania sprzętu. W razie chęci pozbycia się sprzętu, zostaje on odesłany do RSW za zwrotem aktualnej wartości.

Nieprzestrzeganie powyższej zasady pociągnie za sobą daleko idące konsekwencje ze strony Klubu.

Wydanie nowego przewodnika taternickiego, tzw. Przewodnika Monograficznego znów utknęło na martwym punkcie. W r. 1948 Zjazd Delegatów PTT uchwalił 100.000 zł na przygotowanie wydawnictwa do druku, a w r. 1949 w budżecie PTT, zatwierdzonym przez Ministerstwo Komunikacji, figurowało nawet 700.000 zł na rozpoczęcie druku wydawnictwa, ale z powyższych sum nic nie udało się zrealizować na powyższy przewodnik. Na posiedzeniu Zarządu KWPTT w dniu 13 listopada 1949 r. uchwalono następujący wniosek J. T. Wojsznisa:

„Zarząd KW uważa, że Przewodnik Monograficzny powinien ukazać się w najbliższym czasie, tj. przed najbliższym sezonem letnim. Do pracy nad jego wydaniem należy przystąpić natychmiast. Zarząd KW zobowiązuje Prezydium do podjęcia największych wysiłków i natychmiastowego zrealizowania funduszów, przeznaczonych na ten cel".

W międzyczasie — jak doniosło Centralne Biuro PTT — Ministerstwo Komunikacji skreśliło z subwencji przyznanej Polskiemu Tow. Tatrzańskiemu na r. 1949 część sumy przeznaczonej na wydawnictwa, wobec czego z budżetu na r. 1949 PTT nic nie przeznacza na druk przewodnika.

Świetlica Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Zakopanem. W życiu wewnętrznym Klubu Wysokogórskiego oraz w ogóle Polskiego Tow. Tatrzańskiego i jego Sekcji Narciarskiej na terenie Zakopanego odczuwało się od dawna brak odpowiedniego lokalu na miejsce zebrań, pogadanek, odczytów itp., w ogóle miejsca spotkań członków. Chodziło zresztą nie tylko o lokal, w którym możnaby podtrzymywać życie towarzyskie wśród członków wymienionych organizacji, ale w którym można by prowadzić akcję propagandy turystyki, wychowawczą i kulturalno-oświatową.

W ostatnich czasach doszedł do tego jeszcze jeden czynnik, to jest uaktywnienie działalności Związków Zawodowych na terenie Zakopanego, mianowicie rozwój tej działalności wśród pracowników PTT, którzy wszyscy mają być zgrupowani w jednym związku: Związku Zawodowym Pracowników Instytucji Społecznych. Z chwilą kiedy to nastąpi, praca związkowa na terenie PTT w Zakopanem będzie mogła pomyślnie się rozwinąć z korzyścią nie tylko dla pracowników, ale również dla samego PTT, jak to widzimy na przykładzie innych instytucji w Zakopanem i gdzieindziej. Zanosi się też na to, że koło związkowe przy PTT stanie się liczebnie jeszcze silniejszym, gdyż mają do niego należeć pracownicy wszystkich instytucji społecznych na terenie Zakopanego z wyjątkiem pracowników Funduszu Wczasów Pracowniczych, którzy będą tworzyć osobne koło. Jednym z warunków rozwoju życia związkowego jest — jak wiadomo — posiadanie odpowiedniej świetlicy.

Sprawy związkowe na terenie PTT były ostatnio omawiane na walnym zebraniu Związku Zawodowego Pracowników Instytucji Społecznych w Zakopanem, w dniu 11 li-

stopada 1949, na którym przemawiali m. i. T. Zwoliński (w imieniu PTT) i W. H. Paryski (w imieniu Komisji Szkolenia Górskiego KWPTT).

W wyniku jeszcze dalszych rozmów między przedstawicielami wszystkich wyżej wymienionych instytucji uzgodniono, że utworzy się wspólną świetlicę Związku Zawodowego Pracowników Instytucji Społecznych (koło przy PTT Zakopane), Komisji Szkolenia Górskiego KWPTT, Koła Zakopiańskiego KWPTT, Oddziału Zakopiańskiego PTT i Sekcji Narciarskiej Oddz. Zakopiańskiego PTT.

Świetlica będzie się mieścić w sali na pierwszym piętrze hotelu Morskie Oko w Zakopanem, znajdującej się od dłuższego czasu pod zarządem Komisji Szkolenia Górskiego KWPTT, użytkującej ją dotychczas przede wszystkim do celów kursów — na wykłady, ćwiczenia, bibliotekę etc. W sali tej znajdowała się również biblioteka Koła Zakopiańskiego KWPTT. Gospodarzem sali pozostaje nadal Komisja Szkolenia Górskiego KWPTT, ale wymienione organizacje wyłoniły wspólny komitet do uzgadniania całej akcji na terenie świetlicy i bezpośredniej nad nią opieki. W skład tego komitetu weszli Witold H. Paryski (przewodniczący) w imieniu KSG i KWPTT, Wincenty Makowiecki w imieniu PTT i SNPTT oraz Józef Zubek w imieniu pracowników PTT zrzeszonych w Związku Zawodowym Pracowników Instytucji Społecznych.

W dniu 23 grudnia 1949 r. w związku z urodzinami Stalina nastąpiło uroczyste otwarcie świetlicy w obecności przedstawicieli wspomnianych instytucyj oraz innych zaproszonych organizacji i władz, jak Miejska Rada Narodowa, Zarząd Miejski, Miejski Komitet PZPR, Powiatowa Rada Związków Zawodowych, Główny Urząd Kultury Fizycznej, Polski Związek Narciarski, Liga Kobiet etc. Na tej uroczystości nastąpiło też rozdawnictwo nart dla młodzieży wiejskiej, jako czyn Sekcji Narciarskiej PTT w Zakopanem w ramach ogólnej akcji upowszechniania kultury fizycznej i jako czyn Sekcji z okazji urodzin Stalina.

Stworzenie takiej świetlicy ma doniosłe znaczenie jako wyraźny dowód tendencji do jak największego uspołecznienia działalności PTT. Dodatnim też objawem jest to, że ta uspołeczniona działalność ma być prowadzona zespołowo przez wszystkie komórki organizacyjne PTT na terenie Zakopanego, które dotychczas pracowały każda z osobna. — *(R.)*

Taternicki obóz zimowy KWPTT w 1949 r. odbył się przy Morskim Oku, od 11—30 kwietnia w dwóch turnusach: dla zaawansowanych i dla początkujących. Zorganizował go Zarząd KW przy pomocy subwencji Głównego Urzędu Kultury Fizycznej. Obóz był przygotowany i obesłany zgodnie z pierwotną koncepcją obozu kondycyjno-treningowego, ale w ostatniej chwili GUKF zarządził jego zmianę na kurs instruktorski. Ze względu na spóźnioną porę dało się to uczynić tylko w pewnym zakresie. W kursie wzięło też udział 6 taterników z Czechosłowacji. Kierownikiem kursu był dr J. Hajdukiewicz. Kursiści dokonali całego szeregu wejść w otoczeniu Morskiego Oka, niektóre wysokiej klasy.

Po zakończeniu obu turnusów przeprowadzono egzaminy praktyczne z zakresu taternictwa zimowego. Ustalono, że egzaminy teoretyczne przeprowadzi w terminie późniejszym Komisja Szkolenia Górskiego KWPTT. Egzaminów tych jednak KSG nie przeprowadziła, gdyż uznała, że przed egzaminami na instruktorów kandydaci muszą przejść jeszcze specjalny kurs instruktorski.

Członkowie KW na kursach w Tatrach Słowackich. Sbor Tatranskych Horolezcov JAMES zaprosił w lecie r. 1949 na kurs taternicki w Tatrach Słowackich grupę członków KWPTT. Wskutek późnego otrzymania wizy polscy taternicy mogli wziąć udział jedynie w ostatnich dwóch dniach kursu, po czym chodzili na własną rękę. Kierownikiem polskiej grupy był Witold Ostrowski.

Druga grupa członków KWPTT, pod kierownictwem Mariana Paully'ego, wzięła w sierpniu 1949 r. udział w taternickim kursie instruktorskim, zorganizowanym przy Zielonym Stawie Kiezmarskim przez Ceskoslovenską Obec Sokolską — na zaproszenie tej ostatniej.

Kurs na pomocników instruktorów taternickich został zorganizowany przez Komisję Szkolenia Górskiego KWPTT w dniach od 28 grudnia 1949 do 6 stycznia 1950 r. na Hali Gąsienicowej w Tatrach. Kurs ten, z powodów od Komisji niezależnych, został zorganizowany w ostatniej chwili i obesłany kandydatami wyznaczonymi przez poszczególne Koła KW. Wśród tych kandydatów było kilku uczestników obozu zimowego KWPTT z kwietnia 1949 r. Kierownikiem kursu był W. H. Paryski.

Po odbytym kursie i egzaminach Komisja Szkolenia Górskiego stwierdziła (zresztą zgodnie z opinią uczestników Konferencji Taternickiej, o której szczegóły niżej), że niektóre Koła KW wyznaczyły na kurs częściowo ludzi zupełnie nie nadających się do szkolenia na instruktorów, i że chcąc postawić kadrę instruktorską na odpowiednim poziomie, KSG nawet najlepszych uczestników tego kursu nie może mianować pomocnikami instruktorów, póki nie przejdą oni jeszcze dodatkowego szkolenia instruktorskiego.

Konferencja Taternicka. Pragnąc przedyskutować w szerszym gronie różne zagadnienia związane ze szkoleniem taternickim, a w pierwszym rzędzie sprawę szkolenia instruktorów — Komisja Szkolenia Górskiego KWPTT zwołała Konferencję Taternicką, która odbyła się w dniach od 27 grudnia 1949 do 9 stycznia 1950 r. na Hali Gąsienicowej. KSG zaprosiła na tę Konferencję taterników o dużym wieloletnim doświadczeniu i o poważnym ustosunkowaniu się do spraw szkoleniowych. Nie wszyscy zaproszeni mogli wziąć udział. Przewodniczącym Konferencji był W. H. Paryski z ramienia KSG, a jego zastępcą prof. dr Marek Korowicz.

Uczestnicy Konferencji zapoznali się z bardzo obfitym materiałem informacyjnym z dziedziny alpinistycznego szkolenia i organizacji (głównie na podstawie najnowszej literatury radzieckiej) oraz wygłosili i przedyskutowali cały szereg referatów o problemach związanych ze szkoleniem taternickim. Z natury rzeczy musiano też zająć się pewnymi problemami turystyki i w ogóle taternictwa i alpinizmu polskiego, wychodzącymi poza ścisłe ramy szkolenia taternickiego.

Konferencja ta dała wiele cennych wytycznych do dalszej pracy szkoleniowej oraz przygotowała niezwykle obfity materiał jako podstawę do dalszych jeszcze rozważań i opracowań już przez inne zespoły, takie jak KSG, KWPTT, Zarząd Główny PTT, pewne instytucje państwowe i społeczne itd.

Wnioski uchwalone przez Konferencję są częściowo bardzo daleko idące i przewidują dość gruntowne przemiany nie tylko w metodach szkolenia, ale w taternictwie i turystyce w ogóle. Z braku miejsca przedstawienie wyników Konferencji musi być odłożone na później.

Unifikacja instruktorów taternickich. Dotychczas było w Polsce zaledwie paru oficjalnie uznanych instruktorów taternickich i wobec tego na poszczególne kursy i obozy zarówno Komisja Szkolenia Górskiego KWPTT, jak i Zarząd i Koła KW były zmuszone wyznaczać dorywczo różnych taterników do spełniania roli instruktorów. Ten stan rzeczy był niezadowalający, gdyż w wielu wypadkach ci dorywczy instruktorzy — choć nieraz dobrzy taternicy — nie byli przygotowani do pracy instruktorskiej, co często odbijało się ujemnie na metodach i wynikach szkolenia.

Wobec pilniejszych spraw związanych z masowym ruchem turystycznym, KSG dopiero ostatnio mogła się zająć bliżej zagadnieniem szkolenia instruktorów taternickich. W dniach od 28. XII. 1949 do 6. I. 1950 KSG zorganizowała kurs na pomocników instruktorów (p. wyżej), a w dniach od 27. XII. 1949 do 9. I. 1950, w ramach Konferencji Taternickiej na Hali Gąsienicowej (p. wyżej), KSG urządziła kurs unifikacyjny dla instruktorów, zapraszając nań jedynie taterników z dużym doświadczeniem i jak najwszechstronniej nadających się do tak odpowiedzialnej roli, jaką jest obecnie praca instruktorska w każdej dziedzinie sportu.

W wyniku kursu następujące osoby zostały mianowane starszymi instruktorami taternickimi: mgr Stanisław Groński, prof. dr Marek Korowicz, Henryk Mogilnicki, Witold H. Paryski, dr Zofia Radwańska-Paryska, dr Stanisław Siedlecki, Jan Staszel, Justyn T. Wojsznis, a stopień instruktora taternickiego otrzymali dr Ryszard Schramm i Zygmunt Wójcik.

Dalsi instruktorzy będą mianowani dopiero po pomyślnym przejściu przez kandydatów odpowiedniego kursu instruktorskiego. W okresie przejściowym — do chwili odbycia się dalszych kursów — KSG w razie koniecznej potrzeby, wobec szczupłości kadry instruktorskiej, może powierzać spełnianie roli instruktora czy pomocnika instruktora na poszczególnych kursach czy obozach taternikom bez stopnia instruktorskiego.

Z piśmiennictwa

H. W. Tilman: Mount Everest. Cambridge University Press, London 1948. Stron 160 z 49 fotografiami, dwiema mapami i dwoma szkicami.

Wielka saga zdobywania Everestu ma już wcale pokaźną literaturę. Z siedmiu wielkich wypraw, sześć pierwszych wydało w okresie przedwojennym pięć obszernych tomów na doskonałym papierze, z pięknymi ilustracjami i doskonałymi mapami.

Opóźnione o dziesięć lat przez burzę wojenną sprawozdanie z wyprawy siódmej ukazało się dopiero w r. 1948 i cóż za różnica! Owszem książka wydana schludnie, 160

bitych stron z małym marginesem, z drobnymi przeważnie ilustracjami — ale nie ma ani śladu dawnego brytyjskiego luksusu, kolorowych map, lub wielkich fotografii na kredowym papierze. Ciężkie czasy powojennej Anglii odbiły się wyraźnie na zewnętrznej szacie książki Tilmana.

Nie dotyczy to jednak treści, która jest zupełnie fascynująca. Styl autora jest bardzo zwięzły, sprawozdawczy z dużą ilością cytat, ale zaprawiony pewną dozą zjadliwego humoru nieuleczalnego optymisty.

Tilman jest, jak wiadomo, gorącym zwolennikiem tzw. małych wypraw — optymistycznej teorii, że grupa kilku alpinistów, nie obciążona bagażem łatwiej osiągnie sukcesy niż wielkie wyprawy, które są w stanie wprawdzie prowadzić długie »oblężenie góry«, ale które nie mają ruchliwości i tempa wypraw lekkich i mniejszych. Zdaniem Tilmana nie należy obciążać wyprawy nie tylko luksusową żywnością, aparatami radiowymi lub naukowymi, ale również dodatkowym personelem lekarskim lub naukowym.

Badania naukowe mogą — zdaniem autora — dać te same rezultaty na niższych szczytach bez potrzeby osiągania wierzchołka Everestu. Lekarz (dr Warren) brał udział w wyprawie, ale raczej jako alpinista (wbrew teorii Tilmana — jak wynika z książki — przydał się bardzo właśnie jako lekarz). Co do pożywienia, Tilman zastrzega się, że wcale nie wymaga od everestowców odżywiania się grzybkami i pędami młodego bambusu, którą to dietę yogów stosował sam w czasie jednej ze swoich lekkich wypraw himalajskich w towarzystwie Shiptona. Jednak znany brak apetytu na wielkich wysokościach pozwala — zdaniem autora — na znaczne ograniczenia. Konkluzja: wszystko co nie jest konieczne dla sprawności i bezpieczeństwa jest gorsze niż niepotrzebne.

Te kwestie, jak również kwestia używania aparatów tlenowych, są przedmiotem dyskusji i omówienia w specjalnym rozdziale dodatkowym. Doświadczenia z tymi aparatami w czasie wyprawy były raczej nijakie, to znaczy nie pomagały i nie szkodziły. Nie są one jednak ciągle dostatecznie lekkie. Jak wynika z opisu specjalisty Lloyda ważyły 35 funtów ang., co na wielkich wysokościach jest jednak dużo, i wystarczały na $5^1/_2$ godziny.

Wyprawa 1938 r. wydała zaledwie 2 500 funtów ang. i spisała się nie gorzej niż wyprawy z lat 1924 i 1933, które kosztowały kilka razy więcej i miały warunki atmosferyczne znacznie lepsze.

Na ogół wyprawa posuwała się starym szlakiem poprzednich ekspedycji wzdłuż Wschodniego Lodowca Rongbuk i przez Przełęcz Północną. Dokonano również wywiadu przez zachodni kar Lodowca Rongbuk, wchodząc na Przełęcz Północną od zachodu. Stwierdzono jednak, że jest to strata czasu i sił w porównaniu z klasyczną już drogą od wschodu, osłoniętą od nieustannego pn.-zach. wiatru.

Warunki 1938 r. były bardzo złe. Potwierdza to charakterystyczna ilustracja nr 30: Frank Smythe na tzw. trawersie Nortona na wysokości ok. 8 500 m, brnący po pas w śniegu. Na fotografii widać dość wyraźnie konsystencję śniegu, suchego, sypkiego piasku — śniegu, który spadł kilka dni przedtem, ale zupełnie nie osiadł. To właśnie jedna z głównych przeszkód terenowych, które zatrzymały wyprawy 1924 i 1933 r. na tej samej wysokości. Inne równoległe trudności, to intensywne zimno i najważniejsze — wysokość.

Tilman cytuje słowa Shiptona, towarzysza Smythe'a w czasie ataku szczytowego: «Wspinacz w górnych partiach Everestu jest jakby chorym człowiekiem, wspinającym się we śnie...» (str. 84).

Tilman zwraca uwagę, że małe wyprawy mogą być organizowane częściej, co z powodu krótkich okresów względnej dostępności Everestu jest bardzo ważną okolicznością. Wchodzi tutaj również w rachubę polityka — trudności jakie stawia rząd tybetański.

(W ostatniej chwili otrzymaliśmy wiadomość, że właśnie Tilman otrzymał zezwolenie na odbycie wyprawy do Nepalu. Kraj ten, dawniej zupełnie zamknięty dla eksploracji alpinistycznej, zmienia obecnie stanowisko i być może ta okoliczność odegra pewną rolę w dalszym rozwoju zdobywania najwyższej góry świata).

Szkic o geologii Everestu, napisany przez starego everestowca Odella i uwagi o florze i faunie uzupełniają książkę.

Również w osobnym dodatku rozważana jest tajemnica »śnieżnego człowieka« (Abominable Snowman), sprowadzająca się do zagadnienia, czy ślady na śniegu w okolicach Everestu i innych częściach Himalajów należą do wielkiego niedźwiedzia *Ursus arctus pruinosus*, czy do jakiegoś potwora-ducha. Jest to raczej materiał anegdotyczny na pograniczu zoologii i spirytyzmu, i nie ma nic wspólnego ani ze zdobywaniem Everestu, ani z alpinizmem. — *(JOR)*

F. V. Kroutil — A. Veverka: Základy Horolezectví. Nakladatel Vladimir Zikeš, Praha 1948. Stron 272 z licznymi rysunkami + 9 fotografii. Cena 190 koron.

Jest to już drugie dzieło pierwszorzędnej wagi, jakie ukazało się w czechosłowackiej literaturze taternickiej od czasów wojny. Pierwszym był przewodnik po Tatrach Wysokich Kroutila i Gellnera (p. Tat. XXIX 126), a drugim powyższy podręcznik zasad alpinizmu.

W literaturze czechosłowackiej było już kilka krótkich podręczników zasad taternictwa czy wspinaczki, ale obecny jest pierwszym obszerniejszym. Od wybuchu ostatniej wojny ukazało się już w Europie i Ameryce sporo podręczników wspinaczkowych czy alpinistycznych, i wśród nich ten czechosłowacki podręcznik zajmuje — mimo pewnych błędów i braków — całkiem poczesne miejsce.

Autorzy, obaj znani ternicy, potraktowali — i słusznie — swój podręcznik jako alpinistyczny, a nie tylko taternicki. Uwzględnili prawie wszystkie tematy, mogące zainteresować alpinistę działającego nie tylko w Tatrach, ale i w górach wyższych, lodowcowych. Co więcej, mamy tu tematy w mało których podręcznikach uwzględniane, jak np. fizjologia wysokościowa, a inne szerzej potraktowane niż to się zwykle zdarza. Ciekawe między innymi są rozdziały o alpinizmie narodów słowiańskich, o alpinizmie kobiecym i o górach poszczególnych części świata z krótkimi danymi o ich dziejach alpinistycznych.

Podręcznik jest ożywiony licznymi cytatami z dzieł alpinistycznych, miejscami może zbyt rozwlekłymi, jeżeli chodzi o omawiane zagadnienie, które mają ilustrować. Szata zewnętrzna, druk, rysunki i fotografie na bardzo wysokim poziomie. Wśród fotografii jest jedna polska, z Kaukazu, dra Romana Wojtusiaka.

Widać, że autorzy włożyli w swe dzieło wiele pracy, ale wiedza alpinistyczna rozrosła się już do takich rozmiarów, iż trudno się dziwić niejednemu błędowi, jaki zakradł się do ustępów historycznych czy topograficznych. Np. wiadomości o wejściu Miss Peck na Huascaran są błędne (zresztą wzięte, zdaje się, ze źródeł niemieckich z pominięciem bardziej wiarogodnych, choćby szwajcarskich), a Rickmersowej przypisali autorzy całkiem fałszywie wejście Dyhrenfurthowej na jeden z wierzchołków Queen Mary Peak, umieszczając go na domiar złego w Pamirze zamiast w Karakoram! Błędów historycznych jest więcej, a są też błędy w wysokościach, nazwach i nazwiskach — częściowo z omyłek samych autorów, a częściowo wynikłe z powodu opierania się nie na najlepszych czy najnowszych źródłach. Można by też w niejednym wypadku wytknąć autorom, że uwzględnili mniej ważne zdarzenia i nazwiska, a pominęli ważniejsze, chociażby w ustępie o alpinizmie polskim, czy w tabelce wejść tatrzańskich.

W części podręcznika poświęconej ściśle technice alpinistycznej autorzy starali się wziąć pod uwagę najnowsze zdobycze i piszą m. i. dość obszernie o technice hakowej. Uważam jednak, że niektóre rzeczy są niewystarczająco opisane (w stosunku do objętości i zakresu książki), np. liny, haki, młotki, karabinki.

Nie zgodziłbym się też z wszystkimi poglądami autorów na asekurację, zwłaszcza bez haków, chociaż niektóre te poglądy popierają cytatami z pism znanych alpinistów, ale właśnie dziś już nie najnowszych, a wiemy przecież, że w dziedzinie asekuracji poglądy uległy znacznym zmianom w ostatnich latach. Widocznie autorzy nie mieli dostępu do najnowszej literatury tego tematu, zwłaszcza radzieckiej, amerykańskiej, angielskiej i francuskiej.

Inne natomiast zagadnienia z techniki są potraktowane lepiej, niektóre doskonale. Wiele jest jeszcze rzeczy, które w tym podręczniku warto by zganić (tych jest mniej), czy też pochwalić (tych jest więcej), lub też na temat których warto by podyskutować, ale brak tu na to miejsca.

Należy stwierdzić, że mimo różnych braków i błędów jest to podręcznik o wielu zaletach i w zasadzie stanowiący bardzo cenną pozycję w literaturze alpinistycznej. Autorzy podjęli się bardzo trudnego zadania, zakreślając swemu dziełu bardzo szerokie ramy, ramy zresztą potrzebne rozwijającemu się alpinizmowi w dzisiejszej Czechosłowacji. A że pod ciężkim, naprawdę ciężkim brzemieniem takiego zadania autorzy miejscami trochę się ugięli, należy się im tylko zachęta, aby błędy poprawili, braki uzupełnili i aby w przyszłości wypuścili nowe, lepsze wydanie. Jednak nawet obecne wydanie — pionierskie co do zakresu w literaturze czechosłowackiej — przyniesie taternictwu i alpinizmowi w Czechosłowacji niewątpliwie wielki pożytek.

W. H. Paryski

Zofia i Witold Paryscy: Zakopane; Gubałówka i doliny reglowe; Dolina Kościeliska w Tatrach; Giewont i Czerwone Wierchy; Kasprowy Wierch w Tatrach; Morskie Oko w Tatrach; Bukowina Tatrzańska. (Warszawa 1949). Tomiki XIII—XIX Popularnej Biblioteki Krajoznawczej pod redakcją dra Kazimierza Saysse-Tobi-

czyka, nakładem Polskiego Archiwum Krajoznawczego i Fotografii Dokumentarnej oraz Spółdzielczego Instytutu Wydawniczego. Każdy tomik: 8 stron + 4 strony okładki z rotograwiurami i mapkami szkicowymi; w tekście panoramy. Cena tomika 40 zł.

Siedem małych, estetycznych książeczek, z których każdą przyjemnie jest wziąć do ręki — wypełnia bardzo istotną lukę w naszej literaturze przewodnikowej, jeśli chodzi o Tatry i okolice. Mamy bowiem sporo niezłych przewodników dla mniej i bardziej wyrobionych turystów i taterników, nie mieliśmy jednak dotychczas odpowiednich popularnych wydawnictw, przeznaczonych przede wszystkim dla wczasowiczów. A przecież właśnie świat pracy jest obecnie w Zakopanem elementem dominującym. Ten świat pracy, który przyjeżdża z dalekich zakątków Polski i często po raz pierwszy styka się z górami. Ma na poznanie ich dwa tygodnie czasu — tyle, ile trwają wczasy. Z tego przeciętny wczasowicz zwykle tydzień traci nieproduktywnie, wałęsając się nie tam, gdzie trzeba. Jest porwany pięknem gór, chce do nich dotrzeć, chce je poznać — i nie zawsze robi to w sposób właściwy, albo też traci masę energii i czasu, zanim to zorganizuje.

Przewodniczki tatrzańskie Zofii i Witolda Paryskich są nie tylko estetyczne i dobrze zredagowane, są także bardzo m ą d r e, bo spełniają zadanie wszechstronnie: dydaktycznie, artystycznie i społecznie. Tak społecznie nastawionych przewodników w polskiej literaturze dotąd nie mieliśmy.

Przewodniczków tych jest siedem: Zakopane, Gubałówka i doliny reglowe, Dolina Kościeliska, Giewont i Czerwone Wierchy, Kasprowy Wierch, Morskie Oko, Bukowina Tatrzańska. W każdym tomiku, na ośmiu stronach tekstu, jest wszystko, co może być pożyteczne w tak popularnym wydawnictwie: opis rzeczowy i żywy, z uwzględnieniem legend czy folkloru, wszystkie praktyczne informacje potrzebne dla turysty, wycieczki najpopularniejsze, opisane w sposób tak jasny, że człowiek po raz pierwszy wybierający się w góry nie będzie miał żadnych wątpliwości co do trasy i ekwipunku, wreszcie sprawa ochrony przyrody i kultury wycieczkowej. Te ostatnie uwagi powtarzane są — jakże słusznie — w każdej książeczce, choć w każdej nieco odmiennie, aby czytającemu dobrze wbiły się w pamięć, a także, aby kupujący jedną książeczkę z cyklu miał te najważniejsze zasady turysty przy sobie na wycieczce i stosował się do nich.

Wygodny format, niska cena, ładna szata zewnętrzna i — trzeba i to podkreślić — bardzo piękny język, jakim książeczki te są napisane, stawiają te przewodniki w rzędzie najlepszych wydawnictw tego typu. Pożyteczne są przy tym nie tylko dla początkujących turystów, a posiadanie ich sprawi przyjemność każdemu, kto ocenia piękną szatę zewnętrzną, zajmującą treść i układ graficzny. Mapki i panoramy przejrzyste, z których każdy, najbardziej niedoświadczony wczasowicz dobrze się zorientuje w terenie.

Doskonałe, pożyteczne i mądre przewodniczki!

Hanna Pieczarkowska

Stanisław Sokołowski: Tatry Bielskie. Geologia zboczy południowych. Warszawa 1948. Prace Państwowego Instytutu Geologicznego, tom IV, 1948. Stron 47 + 14 tablic + 1 tablica nlb + errata.

Tatry Bielskie i ich geologia — ale praca, która cytuje Taternika i do której wykonania potrzebna była technika taternicka, aby autor mógł dotrzeć w skalne urwiska i »pionowe trawniki« tego pasma górskiego.

O stronie czysto naukowej tej pracy nie będziemy zabierać głosu, ale chcemy zwrócić uwagę na parę jej szczegółów mogących zainteresować każdego turystę tatrzańskiego czy taternika.

Na str. 33-34 mamy opis starych sztolni pod Rakuską Przełęczą (w Tatrach Wysokich), nigdzie indziej chyba tak dokładnie nie opisanych. Na str. 37 i na dołączonej mapie mamy bodaj jedyny prawdziwy obraz wszystkich stawków w Dolinie Białych Stawów.

O tym, że w Tatrach Wysokich zdarzają się skały osadowe wie niejeden taternik, ale chyba mało komu wiadomo, że występują one też na Jagnięcym Szczycie i że granity zachodzą małym rąbkiem w Tatry Bielskie. Warto taternikowi i z innych względów choćby przekartkować tę pracę.

Dzieło jest zaopatrzone w szereg bardzo pouczających panoram, obejmujących zresztą i kawałek Tatr Wysokich. Szkoda tylko, że ich reprodukcja nie stoi na najwyższym poziomie.

Dodany spis literatury stanowi wartościowy materiał do bibliografii tatrzańskiej.

(W. H. P.)

F. S. Smythe: Snow on the Hills. London 1948. Z 47 fotografiami autora.

Materiał ilustracyjny tej nowej książki Smythe'a poprzedzają dwa rozdziały, z których pierwszy stanowi reminiscencję autora, a drugi, bardziej ścisły, omawia technikę fotografowania gór w śniegu.

Pełnostronicowe tablice in quarto i krótkie omówienia każdej z nich są ugrupowane tematycznie i dzielą się na następujące rozdziały: góry brytyjskie, Alpy, kanadyjskie Góry Skaliste i wreszcie Himalaje. Te ostatnie stanowią najciekawszą bodaj część książki, aczkolwiek wszystkie reprodukowane zdjęcia są robione na wiele lat przed ubiegłą wojną. Na szczególną uwagę zasługują też zdjęcia z Gór Skalistych, dokonane przez Smythe'a z samolotu w zimie 1943/44 roku. — *L. N. Szubert.*

D. Ł. Andrejew i S. N. Matwiejew: Zamieczatielnyje issliedowatieli gornoj sriedniej Azji. Moskwa 1946. Stron 96, ilustr., mapki.

Jest to biografia i opisy podróży czterech sławnych rosyjskich badaczy gór Środkowej Azji w XIX wieku. Byli to: P. P. Sjemionow Tiańszański, M. A. Sjewiercow, A. P. Fiedczenko, I. W. Muszkietow.

Piotr Sjemionow Tiańszański położył olbrzymie zasługi w badaniach pasma Tiań Szań. W podróżach swych przebył szereg wysokich przełęczy górskich, odkrył nieznane lodowce, poczynił zbiory przyrodnicze, prowadził badania geologiczne i geograficzne, m. in. zbił błędne twierdzenie geografa niemieckiego, Humboldta o zjawiskach wulkanicznych w Tiań Szaniu. Napisał i wydał wiele cennych prac — i jako uznanie swych zasług otrzymał tytuł: Tiańszański. Zwiedził też niektóre góry Europy: Pireneje i Wogezy, był także na Wezuwiuszu.

Mikołaj Sjewiercow, poważny i wielostronny uczony, zasłużony podróżnik i badacz, w swych wyprawach zwiedził Tiań Szań, Pamir, Ałaj i pomniejsze pasma górskie Środkowej Azji. Opracował fizyczną geografię Turkiestanu, zarys orografii Pamiru, oddał wielkie usługi dla nauki zoologii i zoogeografii.

Aleksy Fiedczenko, pierwszy i niezwykle zasłużony badacz Fergany i Ałajskiego pasma, odkrywca pasma Zaałajskiego, organizował i brał udział w licznych wyprawach w góry Środkowej Azji, odbywanych w towarzystwie żony, pomagającej mu gorliwie w badaniach. W podróżach swych odkrył najważniejszy lodowiec u źródeł rzeki Isfary i nadał mu nazwę Lodowca Szczurowskiego. Fiedczenko marzył o wyprawie w Pamir — niestety, to marzenie się nie zrealizowało. Ale pamiętni jego zasług następcy nazwali jego imieniem najdłuższy pozaarktyczny lodowiec świata, odkryty w Pamirze — Lodowiec Fiedczenki. Śmierć tego młodego, a tak czynnego badacza i podróżnika była dziwnie tragiczna: zmarł w Chamonix, po niedokończonej wycieczce na Mont Blanc, gdzie w burzy śnieżnej opuścili go towarzysze, a przybyli na ratunek znieśli go już nieprzytomnego. Z braku pomocy lekarskiej nie doprowadzono go do przytomności i nie podtrzymano działalności serca. Zmarł mając zaledwie 29 lat.

Iwan Muszkietow, geolog z wykształcenia i zamiłowania, należał też do grona najbardziej zasłużonych badaczy i podróżników rosyjskich XIX wieku. Prowadził w 1874 r. geologiczne badania Turkiestanu, w 1875 r. odbył wielką wyprawę w Tiań Szań. Badał również Urai pod względem geologicznym. Zwiedził Ałaj, Pamir, pasmo Fergańskie, badał szczegółowo lodowce Azji Środkowej. Stał się jednym z najlepszych znawców Turkiestanu i został nagrodzony za pracę przez Akademię Nauk i Towarzystwo Geograficzne.

Warto przeczytać tę niewielką ale interesującą i pełną ciekawych a mało znanych szczegółów książkę. Orientację przy czytaniu ułatwiają mapki szkicowe, przedstawiające trasy wypraw tych czterech wymienionych podróżników.

Z. Radwańska-Paryska

D. M. Zatułowski: Na lednikach i wierszinach Sriedniej Azji. 1948. Wydawca: Ogiz, Gosudarstwiennoje izdatielstwo gieograficzeskoj litieratury. Stron 292 + ilustracje i mapki.

Książka, traktująca o radzieckich górach Azji Środkowej: Tiań Szaniu i Pamirze. W obszernym wstępie autor podaje ogólny zarys podziału geograficznego pasm i grzbietów górskich tego terenu; oraz część ogólno-historyczną, streszczając w krótkości ważniejsze momenty poznawania i zdobywania »białych plam« w Pamirze i Tiań Szaniu. Uwzględnił on tu wszystkie celniejsze badania naukowe, wyprawy kombinowane naukowo-alpinistyczne i najważniejsze osiągnięcia alpinistyczne. Wstęp ten kończą wskazówki i opisy, jak organizować wyprawy w góry wysokie, jak należy podchodzić do wielkich górskich masywów, oraz uwagi o znaczeniu i wpływach alpinizmu w sensie ogólnym i pod szczegółowszym kątem widzenia.

Na treść właściwą książki składają się bardzo interesujące opisy wypraw na wszystkie ważniejsze szczyty wspomnianych gniazd górskich. Opisom tym towarzyszą cenne uwagi krytyczne w stosunku do każdej wyprawy, podkreślające jej walory, a wytykające braki i niedociągnięcia. W szczególności uderzyła nas tak bardzo słuszna i trafna krytyka nieuważnego schodzenia w nastroju radości zdobycia szczytu — przyczyny częstych wypadków.

Z każdego niemal opisu dowiadujemy się wielu ciekawych szczegółów, dotyczących techniki skalnej i lodowo-śnieżnej, taktyki zdobywania szczytów, rodzaju ekwipunku, sposobów asekuracji i biwakowania, oraz wielu innych rzeczy ściśle związanych z wyprawami w góry wysokie. Poznajemy również radzieckich alpinistów, dotąd nieznanych nam nawet z nazwiska. Postacie ich, kreślone żywo i barwnie nabierają plastyki i życia. Po przeczytaniu książki ma się niemal wrażenie, że dopiero co przestaliśmy z nimi rozmawiać, a jeszcze to i owo zostało do zapytania, do poinformowania się, do przedyskutowania.

Każdego alpinistę zainteresuje ta książka, poruszająca rzeczy tak dla nas ciekawe, a tak — z tamtych terenów — mało znane.

Zofia Radwańska-Paryska

Pobieżdionnyje wierszyny. God 1948. Jeżegodnik sowietskowo alpinizma. Wydawca: Ogiz, Gosudarstwiennoje izdatielstwo gieograficzeskoj litieratury. 1948. Stron 468 + ilustracje i mapki.

Alpinistyczny rocznik radziecki, który tytułem i rodzajem ujęcia przypomina nasze Wierchy, zaś rodzajem treści Taternika. Jest to kopalnia wiadomości dla wszystkich interesujących się alpinizmem radzieckim. O jego znaczeniu dla państwa tak mówi słowo wstępne wydawców: »Alpinizm radziecki słusznie nazywają szkołą męstwa i patriotyzmu. W walce z surowym górskim żywiołem wypróbowuje się i urabia — równocześnie z wyjątkowym fizycznym zahartowaniem — charakter człowieka, obywatela kraju radzieckiego, budowniczego komunistycznej społeczności«.

O rozwoju alpinizmu radzieckiego i jego pierwszorzędnych osiągnięciach informuje nas artykuł wstępny A. Gusiewa, zamieszczony w tłumaczeniu niemal w całości w niniejszym zeszycie Taternika.

Treść rocznika została podzielona na 8 zasadniczych rozdziałów, z których każdy obejmuje kilka artykułów.

W rozdziale zatytułowanym »Wejścia sportowe« podano ciekawe i żywo opisane najlepsze wejścia ostatniego okresu, zarówno ścianowe, jak i bardzo obecnie rozpowszechnione wielkie trawersy, dokonywane grupowo. Autorzy tych opisów, najlepsi alpiniści ZSRR, m. i. W. Abałakow, Al. Maleinow i inni, kreślą swe przeżycia alpinistyczne w sposób szczery i bezpośredni. Wejścia te dotyczą wyłącznie Kaukazu.

Rozdział »Ekspedycje wysokościowe« z artykułami piór E. Abałakowa, D. Zatulowskiego, A. Letawieta i innych, dotyczy wielkich wypraw w Pamir i Tiań Szań.

»Nauka i alpinizm« w osobnym rozdziale podaje ciekawe notatki fizjologiczne wysokościowe, badania jaskiń, oraz najciekawszy, bardzo starannie i szczegółowo opracowany artykuł pt. »Teoria i praktyka asekuracji górskiej«. Jest to — podkreślimy jeszcze raz — prawdziwa kopalnia wiadomości o linach, hakach, karabinkach i sposobie asekurowania. Zwłaszcza badania naukowe i sprawdzanie lin przynoszą liczne rewelacyjne wyniki.

Materiały historyczne zgrupowano w rozdziale »Z historii sportu wysokogórskiego«. Mamy tu i spojrzenie retrospektywne w przeszłość lat dawnych, i próby ujęcia historycznego wydarzeń stosunkowo świeżych, jak w artykule »35 lat w górach« — o rozwoju alpinizmu ukraińskiego. Zamieszczono również artykuł o działalności alpinistycznej zmarłego niedawno świetnego alpinisty radzieckiego, Eugeniusza Abałakowa.

Rozdział »Praktyka i doświadczenie« obejmuje trzy artykuły: o zastosowaniu fotokamery w fototopografii, schron wysokogórski (streszczenie w niniejszym zeszycie Taternika) i zawody wspinaczkowe.

»Krytyka i bibliografia« zawiera liczne i niezwykle ciekawe artykuły krytyczne, dotyczące wielu zagadnień alpinistycznych, oraz obszerne recenzje różnych wydawnictw, chwalące to, co należy pochwalić, ale nie cofające się — co trzeba z uznaniem podkreślić — przed bardzo nieraz ostrym wytknięciem błędów, braków i wad tam, gdzie one są.

Rozdział »Za granicą« jest reprezentowany przez jeden tylko artykuł, omawiający krytycznie wydawnictwo szwajcarskie »Berge der Welt«.

Wreszcie ostatni rozdział »Materiały informacyjne« jest rzeczywiście rogiem obfitości z informacjami. Tu ciekawy czytelnik może dowiedzieć się niemal wszystkiego o alpinizmie radzieckim. Mamy tu spis mistrzów i zasłużonych mistrzów alpinizmu z danymi personalnymi, i opis obozów alpinistycznych, i szczegółową kronikę alpinistyczną w ZSRR za lata 1943—1947, i nawet ścisłe dane co do jubileuszowego trawersu Elbrus—Kazbek w 1947 r. z dokładną panoramą górską trawersu i tablicą ułożoną tak, że informuje nas o grupach, uczestnikach trawersu, przebytych szczytach, ich trudności, rodzaju trasy etc.

Ten pierwszy rocznik wydawnictwa jest książką niezwykle ciekawą, wartościową i zajmującą.

Zofia Radwańska-Paryska

O. Archangielska: Sputnik junowo turista. Moskwa–Leningrad 1948. Stron 408, ilustr.

Podręcznik turystyczny dla młodzieży, uwzględniający w pewnym stopniu także i turystykę wysokogórską. Znajdujemy tam m. i. opis sposobów przeprawiania się przez rzeki, co odgrywa tak wielką rolę przy wyprawach alpinistycznych w góry radzieckie. Podany jest również regulamin odznaki turystycznej »Turysta ZSRR« i wymagania na nią, które bardzo wszechstronnie uwzględniają wiadomości krajoznawcze, społeczne, turystyczne, a nie stanowią li tylko kolekcjonowania punktów za przebyte trasy. – *(Z. R. P.)*

B. Kudinow: Alpinistskije łagieri profsojuzów SSSR. Izdatielstwo WCSPS. 1949. Stron 132, ilustr.

Mała lecz nadzwyczaj interesująca książeczka, z której dowiadujemy się bardzo szczegółowo o organizacji alpinistycznych obozów szkoleniowych w górach radzieckich, warunkach przyjmowania i pobytu w obozie, o prowadzeniu kursów na młodszych instruktorów alpinizmu etc. Omawiane są również krótko alpiniady i zawody wspinaczkowe, przepisy na otrzymywanie pozwoleń na wejścia górskie, rozporządzenia i przepisy WCSPS (Centralna Rada Związków Zawodowych) dotyczące alpinizmu. Zamieszczone są także wymagania i normy na poszczególne stopnie alpinistyczne i na odznakę »Alpinista ZSRR«, obejmujące szeroki zakres wiadomości teoretycznych i umiejętności praktycznych. Uzupełnia książeczkę spis dróg alpinistycznych na szczyty i przełęcze, sklasyfikowanych według trudności. – *(Z. R. P.)*

Bolesław Hryniewiecki: Wycieczka naukowa na górę Ararat. Warszawa 1949. Nadbitka z Rocznika Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, rok XLI, 1948. Strony 127–147, z mapką okolic Araratu i rysunkami + 2 tablice.

W pracy tej autor daje dokładny i wszechstronny opis Araratu, oparty częściowo na jego własnych badaniach, historię legendy o lądowaniu arki Noego na szczycie tej góry, rzeczywiste dzieje zdobywania Araratu oraz dokładny opis własnej wyprawy, nie uwieńczonej zresztą całkowitym powodzeniem (por. Tat. XXX 100). Pisze on też o innych polskich wyprawach na Ararat: Chodźki i Młokosiewiczów.

Rzecz jest napisana źródłowo i z wielką erudycją, a równocześnie zajmująco; stanowi ważną pozycję do dziejów polskich wejść na Ararat, i w ogóle do dziejów tej góry. Ilustracje Araratu – przeważnie ze starych sztychów – ciekawe. Jest też portret Chodźki. Warto również wspomnieć, że z wyprawy swej poza bogatymi zbiorami botanicznymi autor przywiózł kolekcję chrząszczy, dostarczoną później znanemu rosyjskiemu badaczowi, Sjemionowowi Tiańszańskiemu, o którym jest mowa gdzieindziej w niniejszym zeszycie Taternika (na str. 90). – *(W. H. P.)*

Jerzy Pytlakowski: Olimpijczyk. Wydawnictwo »Prasa Wojskowa«. Warszawa 1948. Stron 21 + 7 rycin.

»Człowiek w góralskim stroju« zdobywa Wielką Ścianę, którą autor usiłuje przedstawić jako problem 6-go stopnia. Czytającemu narzuca się jednak inna charakterystyka drogi: dolna część nieco trudna, górna wiedzie terenem skalnym o rzadko spotykanej konfiguracji geometrycznej, utworzonej z graniastosłupów i walców z irygacją. Każdy wiersz książeczki zdradza, że autor nie ma pojęcia ani o górach, ani o wspinaczce z »uchwytami, uciekającymi w przepaść pod dotykiem palców rąk i nóg«.

Pomimo to jednak wydawało mi się, że rozumiem o co autorowi na jego ceperski sposób może chodzić... aż w ostatnim ustępie książeczki natrafiłem na takie subtelne ujęcie ideologii taternictwa: Bohater zdobywa szczyt i natychmiast spada z niego, zabijając się w najgłupszy sposób. Ale autora to wcale nie martwi. Stwierdza on, że »to jedno jest najważniejsze: Pierwszy zdobył Wielką Ścianę«.

Tu już – pomimo ładnej szaty graficznej wydawnictwa i licznych ilustracyj – przestałem rozumieć powody, które mogły skłonić Jury Przedolimpijskiego Konkursu Literackiego do odznaczenia opowiadania najwyższą nagrodą w dziale epiki, przyznaną w roku 1948.

M. Mischke

J. E. Q. Barford: Climbing in Britain. Pelican Books, 1947. Stron 160 + fotografie.

Jest to podręcznik wspinaczkowy, dostosowany do potrzeb tych, którzy wspinają się jedynie w górach brytyjskich, a więc w górach niezbyt wysokich i pozbawionych lodowców. Nie jest to też podręcznik wyczerpujący nawet wyznaczony zakres, ale zawiera wiele ciekawych rzeczy na temat techniki wspinaczkowej i sprzętu, a także ratownictwa i brytyjskich towarzystw alpinistycznych i wspinaczkowych. – *(W. H. P.)*

Wierchy, Organ Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, tom XIX, Kraków 1949. Stron 312 + ilustracje i mapki. Cena 1000 zł (dla członków PTT 700 zł).

W roczniku tym, poświęconym wszystkim górom polskim, najciekawsze dla taternika są dwa artykuły kaukaskie (B. Hryniewieckiego i E. Rühle'go), artykuł S. Zwolińskiego o grotach tatrzańskich i J. Zborowskiego o podręczniku górskiej turystyki z 1796 roku, oraz różne wiadomości z kroniki. Nie omawiamy szerzej tego wydawnictwa choćby dlatego, że jest ono dostępne taternikom. — *(R.)*

The Journal of the Fell and Rock Climbing Club of the English Lake District. Edited by E. Banner Mendus, No. 42, Vol. XV, 1948.

Jest to oficjalny organ jednego z lokalnych angielskich towarzystw (Fell and Rock Climbing Club), którego członkowie uprawiają wspinaczki przede wszystkim w tzw. English Lake District. W wydawnictwie tym dużo miejsca poświęca się oczywiście miejscowym sprawom i wspinaczkom, o długości do stu kilkudziesięciu metrów; w opisach nowych dróg są częste wzmianki o drzewach jako punktach asekuracyjnych, a nawet o pokrzywach jako punktach orientacyjnych. Jednakże znajdujemy też sporo wiadomości z całego świata i sprawach, które mogą zainteresować każdego alpinistę.

A. P. Rossiter w artykule o samotnych wspinaczkach podaje ciekawe uwagi o asekuracji w ogóle. O fotografii górskiej pisze interesująco W. A. Poucher, ilustrując swoje wywody odpowiednimi zdjęciami. W bardzo pouczającym artykule o wytrzymałości lin, zwłaszcza starych, R. P. Mears podaje też wyniki własnych badań.

Z szerszego świata jest m. i. tłumaczenie artykułu W. Welzenbacha o Mont Blanc i oryginalny artykuł J. H. Fleminga z Himalajów. Dział recenzji jest dość obfity.

W całości — ciekawe czasopismo. — *(W. H. P.)*

André Roch: Climbs of My Youth. Lindsay Drummond, London 1949. Stron 159 + 17 fot.

Opisy letnich i zimowych wypraw tego znanego alpinisty szwajcarskiego w Alpach Zachodnich. Jeden z ciekawszych rozdziałów opisuje głośne pierwsze zejście pn. ścianą Aiguille du Dru. — *(R.)*

Rudolf Skuhra: Sturm auf die Throne der Götter. Himalaya-Expeditionen 1921 bis 1948. Wiener Volksbuchverlag, Wien 1949. Stron 195, 24 fot., 2 szkice.

Książka opisująca wszystkie ważniejsze wyprawy w Himalaje od r. 1921 do 1948. Jest to nowe, uzupełnione wydanie (pierwsze ukazało się w r. 1938 w Berlinie). — *(R.)*

James Ramsey Ullman: La Grande Conquête. B. Arthaud, Grenoble et Paris, 1949. Stron 376, ilustr., mapki.

Książka ta, tłumaczona z angielskiego oryginału pt. High Conquest, jest historią alpinizmu w całym świecie. — *(R.)*

The Journal of the Ladies' Alpine Club 1949. London. Stron 39 + ilustr.

W roczniku tym znajdujemy m. i. opis wycieczki w afrykańskie Góry Smocze (Drakensberg), zorganizowanej w r. 1948 przez Natal Mountain Club. Góry te są alpinistycznie mało ciekawe, choć podróżniczo interesujące. Elizabeth Jillard daje opis swojego niedawnego wejścia na Kilimandżaro. Opis ten jest ciekawy, gdyż unaocznia nam wielkie zmiany, jakie zaszły w ciągu stosunkowo niewielu lat na tym najwyższym szczycie Afryki. Wyprawę fachowo zorganizował dla autorki zarząd hotelu w Marangu, dostarczając tragarzy i zawodowego przewodnika (Murzyna). Po drodze na szczyt trzy schroniska (niezagospodarowane), w których się kolejno nocuje: Bismarck Hut, Peter's Hut i Kibo Hut. Na trzech punktach krateru (Gillman's Point, Hans Meyer Point i Kaiser Wilhelm Spitze) — książki do wpisywania nazwisk gości i przewodnika. W drodze powrotnej autorka spotkała już następną partię dążącą na szczyt, z innym przewodnikiem. — *(R.)*

Fritz Rometsch: Rettung aus Bergnot. Fritz Schmitt (Bergwacht Bücherei), München 1948.

Niewielka, ale doskonała książeczka o ratownictwie w górach, z uwzględnieniem najnowszych metod i sprzętu. Szeroko potraktowany jest również improwizowany sprzęt ratowniczy. — *(R.)*

Der Bergsteiger, znane sprzed wojny niemieckie czasopismo alpinistyczne, od kwietnia 1949 r. wychodzi na nowo (w Monachium). — *(R.)*

Cordillera Blanca (Peru), Südteil - Parte sur. 1 : 100.000. Herausgegeben vom Deutschen Alpenverein, Innsbruck. (Por. Tat. XXX, 128).

Mapa ta, wydana już w czasie wojny, jest wynikiem prac wyprawy niemieckiej z r. 1939 w Cordillera Blanca. Pracę w terenie i ostateczne obliczenia i opracowanie wykonali K. Heckler, H. Kinzl, E. Gotthardt, O. Lacmann, E. Schneider i F. Ebster. Mapa

opiera się w znacznej części na triangulacji i stereofotogrametrii, a poza tym na fotografiach i innych materiałach. Objaśnienia są dwujęzyczne: niemieckie i hiszpańskie.

Jest to niewątpliwie — obok amerykańskiej mapy fotogrametrycznej Sierra Nevada de Santa Marta i niemieckiej mapy pn. części Cordillera Blanca — jedna z najlepszych map jakiejkolwiek części Andów. Jest ona też przykładem, co może dać współpraca alpinistów z naukowcami na wyprawie w wysokie góry. — *(W. H. P.)*

W. H. Paryski: Spostrzeżenia faunistyczne w południowej Atakamie. Wszechświat, Kraków, rocznik 1949, zeszyt 7 (1790), str. 207-209.

Jest to artykuł omawiający spostrzeżenia faunistyczne poczynione przez autora w latach 1936-1937 w czasie II Polskiej Wyprawy Andyjskiej, zorganizowanej przez KW PTT. Jednym z ciekawszych spostrzeżeń było zaobserwowanie południowo-amerykańskiego strusia (rhea) na wysokości aż 4700 m. Interesujące też są uwagi autora o kondorach w Andach.

Zbiory zoologiczne przywiezione przez autora z Andów argentyńsko-chilijskich zostały dotąd tylko częściowo opracowane, gdyż brak w Polsce specjalistów od niektórych działów; wśród opracowanych okazów określono dotąd dwa całkiem nowe dla nauki gatunki owadów bezskrzydłych: *Deuterosminthurus paryskii* Stach oraz *Proisotoma parva* Stach.

Jest to pierwsza publikacja dotycząca spostrzeżeń naukowych II Polskiej Wyprawy Andyjskiej. — *(M.)*

Ronald Clark: The Splendid Hills. The Life and Photographs of Vittorio Sella 1859 — 1943. London 1948. Stron X + 118 (w tym liczne tablice).

Książka ta jest zwięzłym, gdyż zaledwie 35 stron zawierającym opisem życia i działalności największego niewątpliwie fotografa górskiego. Reprodukcje jego zdjęć, robionych przed blisko pół wiekiem przy pomocy prymitywnego i kilkadziesiąt kg ważącego sprzętu fotograficznego, stanąć mogą dziś jeszcze obok najlepszych osiągnięć fotografiki górskiej lat ostatnich — z całym ich ogromnym postępem technicznym.

Materiał ilustracyjny, zaczerpnięty przez autora z biblioteki fotograficznej rodziny Selli w Biella (Włochy), prócz trzech portretów Selli podzielony jest na siedem części, obejmujących 80 stron zdjęć. Pierwsza część zawiera zdjęcia z wczesnych lat Selli, druga — zdjęcia historyczne, jak np. otwarcie schroniska na Monte Rosa w obecności królowej włoskiej, trzecia — to zdjęcia z Alp, czwarta — z Kaukazu, piąta — z Góry św. Eliasza, szósta — z Ruwenzori, wreszcie siódma — z Himalajów i Karakoram.

Szczególnie piękne są zdjęcia panoramiczne, złożone z kilku klisz. Duży format książki, 22 × 29 cm dodaje wartości umieszczonym w niej reprodukcjom.

L. N. Szubert

Tatrzański Orzeł. The Tatra Eagle. Passaic, New Jersey (U. S. A.). Vol. I (1948), No. 3, 4; Vol. II (1949), No. 1, 2, 3. Redaktor: Tadeusz G r o m a d a.

Jest to dwujęzyczny (polsko-angielski) kwartalnik wydawany przez Stowarzyszenie Tatrzańskich Górali (Polish Tatra Mountaineers' Alliance) w Passaic. Na treść składają się opowiadania i legendy góralskie (oryginalne i przedrukowane), wiadomości z Podhala i Tatr, jak np. o wypadkach w górach, o budowie schronisk przez PTT, o różnych rocznicach (Sabała, Szymanowski, Powstanie Chochołowskie) itd. Pismo to zawiera wiadomości z Podhala i Tatr, których na próżno szukalibyśmy gdzieindziej, zwłaszcza odkąd przestała wychodzić Gazeta Podhalańska. — *(R.)*

Od Redakcji

Z powodu trudności finansowych niniejszy zeszyt Taternika ukazuje się z wielkim opóźnieniem. Druk jego ukończono dopiero w końcu stycznia 1950 r. W związku z długą przerwą w ukazywaniu się Taternika i wielkiego nagromadzenia się materiału, możemy dać tylko fragmentaryczny obraz tego, co może interesować polski świat taternicki i alpinistyczny. Widoki na regularniejsze i częstsze w przyszłości wydawanie Taternika są — jak nas zapewniają — raczej dobre. Prosimy więc wszystkich współpracowników o nadsyłanie dalszych materiałów, chociaż dotychczasowe nie zostały jeszcze całkowicie wykorzystane.

Natychmiast rozpoczynamy — z funduszów Komisji Szkolenia Górskiego KWPTT — druk następnego zeszytu Taternika, podobnej objętości jak obecny. Będzie to zeszyt specjalny, zawierający materiały do szkolenia z punktu widzenia masowego ruchu turystycznego, ze szczególnym uwzględnieniem Tatr.

Taternika otrzymują obecnie członkowie KWPTT bezpłatnie, ale tylko o ile nie zalegają z wkładką za ubiegły rok.

ТАТЕРНИК

ОРГАН ПОЛЬСКОГО ВЫСОКОГОРНОГО КЛУБА

ТОМ XXXI (1949) № 1—2

Закопане, Польша, ноябрь 1949

ОГЛАВЛЕНИЕ И КРАТКОЕ СОДЕРЖАНИЕ

Журнал „Татерник'' выходит 6 раз в год и издается Польским Высокогорным Клубом.

Редактор: В. Х. Париский, Закопане, Польша, вилла Смигло, Анталовка.

Журнал „Татерник'' охотно высылается в обмен на альпинистские, географические и т. п. издательства.

TATERNIK

CRGAN OF THE POLISH MOUNTAINEERING CLUB

VOLUME XXXI (1949), Nos. 1-2

Zakopane (Poland), November, 1949

CONTENTS AND SUMMARIES

page

The current issue of the Taternik is mostly devoted to an account of the 1939 Polish Himalaya Expedition. The account is not complete. Further materials will be published at a later date.

The journal „Taternik" is published six times a year by the Polish Mountaineering Club (Klub Wysokogórski P. T. T.).

Editor: W. H. Paryski, Zakopane, Poland, Villa „Śmigło", Antałówka.

The journal "Taternik" is gladly sent in exchange for mountaineering or geographical publications.

Wydawca: Klub Wysokogórski P.T.T. **Redaktor: Witold H. Paryski**

Druk. „Polonia" Zakopane. M-1-10125, Nr zam. 804.1.50. szt. 1000, Papier bezdrz. 70x100.

WYDAWCA: Klub Wysokogórski Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, Kraków, ul. Stalina 5 (telefon 571-04).

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Witold H. Paryski, Zakopane willa »Śmigło«, Antałówka (telefon 11-08).

Wszelkie wpłaty na Taternika i na rzecz Klubu należy uskuteczniać na konto czekowe Klubu Wysokogórskiego P.T.T. w P.K.O. Kraków Nr IV-1324, albo wprost do Klubu lub Redakcji.

Przypomina się członkom Klubu i prenumeratorom Taternika, że o zmianach adresu winni zawiadamiać Zarząd Klubu lub Administrację Taternika.

Cena bieżącego zeszytu (Nr 1-2/1949): 300 zł. Dla członków P.T.T. 200 zł (zniżkowe tylko w Biurach P.T.T. w Zakopanem i Krakowie oraz Administracji). Członkowie Klubu otrzymują bezpłatnie.

Karta tytułowa, spis rzeczy i skorowidz alfabetyczny dla rocznika XXX (1948) do nabycia w cenie 80 zł (dla członków P.T.T. 60 zł). Członkowie Klubu otrzymują bezpłatnie. Stałym odbiorcom Taternika wysyła się razem z niniejszym zeszytem.

Powojenne zeszyty Taternika (za rok 1947 i 1948) do nabycia w Biurach P.T.T. w Krakowie i w Zakopanem oraz wprost w Administracji.

Przedwojenne roczniki Taternika do nabycia tylko w Biurze P. T. T. w Krakowie (ul. Stalina 5).

Prenumeratę Taternika należy załatwiać przez Administrację (W. H. Paryski, Śmigło, Antałówka, Zakopane).

Taternika wysyła się na wymianę za wydawnictwa o pokrewnych zainteresowaniach (turystyczne, krajoznawcze, geograficzne itd.).